

ADAM BAHDAJ

STAWIAM NA TOLKA BANANA

Data wydania: 1987

Wydanie IV

ADAM BAHDAJ
STAWIAM NA TOLKA BANANA

Data wydania: 1987

Wydanie IV

SPIS TREŚCI

[SPIS TREŚCI](#)

2

[ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)

4

[ROZDZIAŁ DRUGI](#) 50

[ROZDZIAŁ TRZECI](#) 84

[ROZDZIAŁ CZWARTY](#) 112

[ROZDZIAŁ PIĘ](#)

[TY](#) 161

[ROZDZIAŁ SZÓSTY](#) 182

[ROZDZIAŁ SIÓDMY](#) 241

2

[ROZDZIAŁ ÓSMY](#) 283

[ROZDZIAŁ DZIEWIĘ](#)

[TY](#) 340

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1

— Luluniu, pani Teczka mówiła, że wczoraj znowu oglądałaś w telewizji jakiś kryminalny film — powiedziała pani Seratowiczowa.

Siedzieli na werandzie. Było duszno. Wielkie chmury wyłaniały się spoza linii dachów, zalewając czystą przestrzeń nieba.

— Amerykański — odparł po chwili chłopiec. — Straszna bzdura. Pewien facet zastrzelił barmana z baru „Savoya” w Miami. . .

4

— Przecież prosiłam, żebyś nie oglądał tych filmów. Od ilu lat był dozwolony?

— Od szesnastu, ale koń by się uśmieł. Ten facet zastrzelił go tylko dlatego, że barman nie podał mu w porę szklaneczki whisky. Zupełna lipa. Czy można za to zastrzelić człowieka?

— Nie można, ale ja prosiłam cię. . .

— Wiem, mamó, tylko co miałem robić. Strasznie się nudziłem. I w ogóle film był zupełnie do kitu. Ten facet kochał się w jakiejś Meksykance, która tańczyła w tym lokalu. Nic nie robił, tylko kupował jej rozmaite brylanty i futra, a ona jednak wołała jednego toreadora, który podczas corridy zakatrupił byka. Ja też bym wołał, bo tamten ładowany facet był gangsterem i przemycał z Hongkongu narkotyki.

Pani Seratowiczowa westchnęła boleśnie.

— A ty na to patrzysz.

— Gdybym wiedział, że to taka bzdura, to nawet nie otworzyłbym telewizora.

Świetny był tylko pościg za tym gangsterem przez pustynię w Nowym Meksyku. On nawiewał helikopterem, ale wysiadł mu silnik i musiał nająć mulników. Podobno muły 5

mogą iść przez pustynię cały tydzień bez jedzenia i bez wody. Tak mówił Krzyś Sekociński, a on wszystko wie. . .

— Właśnie — podjęła głosem znużonym pani Seratowiczowa. — Czy zamiast oglądać ten nedorzeczny film, nie mogłeś zadzwonić do Krzysia i zaprosić go do siebie?

— Już wolę oglądać takie filmy.

— Czego ty właściwie chcesz od Krzysia? Przecież to bardzo miły chłopiec.

— Za bardzo. Mama nawet nie wie, jaki on miły. Ja przy nim słowa nie mogę powiedzieć, bo on wszystko wie lepiej. On nawet wie, kiedy Napoleon przechodził koklusz i kto wynalazł maszynkę do wrywania włosów z nosa. Genialny chłopiec, daję słowo, czyta już angielskie książki, a na obiad mówi: lunch. Kichać mi się chce, jak na niego patrzę. I w ogóle. . .

Pani Seratowiczowa uważniej spojrzała na chłopca.

— Przesadzasz, mój drogi. Krzyś jest świetnie ułożony i bardzo bym chciała, żebyś się z nim zaprzyjaźnił.

— Dziękuję. Zdaje mi się przy nim, że jestem matosem.

— On by cię podciągnął, zajął. . .

6

— Dziękuję — uśmiechnął się cierpko. — Zanudziłby mnie na cacy.

— Jak ty się wyrażasz?

— Przecież tak się mówi.

— To chyba jacyś chuligani używają takich zwrotów.

— Nie chuligani, tylko morowi chłopcy.

— I dziwię się bardzo. . . — zawahała się chwilę. Naraz ujęła dłoń chłopca i spojrzała mu w oczy.

— Powiedz mi, mój drogi, dlaczego ty nie masz kolegów?

Chłopiec zachnął się.

— Mama by chciała, żebym miał kolegów, a jak kiedyś przyprowadziłem Antosia Fuflewicza, to przez dwa dni wietrzyła mama mieszkanie.

— Bo, delikatnie mówiąc, Fuflewicz nie mył sobie nóg.

— Nie mył nóg, ale za to morowy chłopiec. Żeby mama widziała, jak on gra w gałę.

— W co?

— No, w piłkę. Jest najlepszym napastnikiem i zawsze gra na prawym skrzydle.

— A ty, na jakim grasz skrzydle?

Przez jasną twarz chłopca przeniknął cień rozpaczy.

7

— Mnie nigdy jeszcze nie wstawili do składu.

— Dlaczego?

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Eee. . . - westchnął — mówią, że jestem patałach.

— Przecież nieźle grasz w tenisa.

— Tenis u nich się nie liczy, u nich najważniejsza gała.

Pani Seratowiczowa chciała ogarnąć go ramieniem. Chłopiec odsunął się gwałtownie.

— Co ci się stało?

— Nic. Mama i tak mnie nie zrozumie.

— A któż cię zrozumie lepiej ode mnie?

— Mama by chciała, żebym tylko siedział w domu i czytał książki. . . i dyskutował

z Krzyśkiem. . . — Zagryzł wargę i twarz jego nagle stężała. — Dlatego chłopcy nie chcą się ze mną kolegować. Mówią, że jestem patałach, i nabijają się ze mnie.

— Bo szukasz zawsze nieodpowiedniego towarzystwa. Masz przecież miłych kolegów: Wiesia.

8

— Taki sam lalusz, jak ja. Może jeszcze gorszy. Nawet nie umie grać w tenisa.

— A Marek Stanisław?

— Łamaga i do tego skarży na kolegów.

Pani Seratowiczowa rozłożyła szeroko ręce.

— Luluniu, widzę, że się nie rozumiemy. Masz takie dobre warunki. Ojciec przysyła ci najdroższe rzeczy, a ty stale chodzisz skwaszony. Czego ci jeszcze potrzeba?

Chłopiec cmoknął zniecierpliwiony.

— Właśnie! Niczego mi nie brak, a mama mnie nie rozumie.

— Może zaprowadzić cię do psychiatry? Pani doktor Sekocińska mówiła, że zna świetnego specjalistę.

Chłopiec zachnął się gniewnie.

— Tego jeszcze brakowało. Gdyby się chłopcy dowiedzieli, to dopiero ładnie bym wyglądał. Powiedzieliby, że mam szmergla w głowie.

— Co takiego?

— Mama by chciała, żebym był pośmiewiskiem.

— Przecież nikt się nie dowie, że byłeś u lekarza.

— To się mama myli. Oni zaraz skapują.

— Chłopcze, jak ty się wyrażasz — westchnęła żałośnie pani Seratowiczowa. Chciała jeszcze coś dodać, ale w tej chwili rozległ się dzwonek. — Pewno goście na brydża — powiedziała jakby do siebie.

Chłopiec spojrział na nią z rozpaczą.

— Znowu brydż?

— Przecież wiesz, że w niedzielę zapraszam gości.

— Wiem — wyszeptał.

Nie spojrzawszy na matkę, skierował się w głąb domu. Minął wielki hall z palmami, przedpokój, zatrzymał się przy schodach. Zastanawiał się, co robić, lecz czuł, że na nic nie ma ochoty. Wolnym krokiem wspiął się na pierwsze piętro. Wszedł do swego pokoju. Naraz ogarnął go żal. Uniósł dłonie do twarzy i zapłakał gorzko bez łez.

*

*

*

Chciał być innym. Nieraz, kiedy spojrział w lustro, czuł wstręt do siebie. Patrzył: niby normalny chłopiec, wszystko na swoim miejscu — oczy, usta, nos, a tymczasem 10

całkiem nie to, co powinno być. Wykrzywił się do swego odbicia, pokazywał język i chętnie dałby sobie porządnego kuksańca, żeby przynajmniej coś się zmieniło.

Inni chłopcy mieli kolegów, mieli swoje kłopoty, zmartwienia, a on czuł tylko nudę.

Nudzić umiał się za pięciu.

Najbardziej nudził się w niedzielę popołudniu, kiedy do matki przychodzili goście na brydża. Zjawiał się zwykle mecenas Dylewicz, redaktor Rząska i pani doktor Sekocińska, która wycinała mu kiedyś migdałki i od tego czasu uważa, że powinien być jej za to bezgranicznie wdzięczny.

— Lulusiu — szczebiotała — gdyby nie ja, do tej pory każdej zimy przechodziłbyś anginę, a tak, chwała Bogu, rośniesz i coraz większy z siebie kawaler.

Zaciskał zęby, powtarzał, jak go matka uczyła:

— Dziękuję, pani doktor, rzeczywiście od tego czasu nie choruję na anginę, ani na inną chorobę.

Mecenas Dylewicz poprawiał okulary, kręcił z podziwu głową

— Ho, ho. . . jaki ten nasz Luluś rezolutny i jaki mądry. Mówię ci, chłopcze, zrobisz karierę.

11

Redaktor Rząska dodawał:

— Jeszcze nieraz będziemy o nim pisali w gazecie. Zobaczycie, państwo — i klepał chłopca po ramieniu.

Julka aż skręcało. Miał ochotę powiedzieć redaktorowi, że ma w nosie jego i jego gazetę, ale uśmiechał się cierpko i mówił przez zęby:

— Bardzo mi będzie miło, gdy pan kiedyś napisze o mnie.

Wiedział, dlaczego goście matki są dla niego tacy słodcy. Dzięki temu, że ojciec jest znakomitym specjalistą od budowy nowoczesnych cukrowni, stale przebywa za granicą i przysyła matce kupę forsy, matka może zapraszać gości na brydża, urządzać wystawne przyjęcia i częstować zagranicznymi trunkami. Ot, cała tajemnica. Sam by w to nie uwierzył, gdyby kiedyś nie usłyszał rozmowy mecenasa z redaktorem w łazience. Nie podsłuchiwał. Po prostu nie zamknęli drzwi, a on właśnie przechodził tamtędy.

— Tej Teresie przewróciło się w głowie — mówił szeptem mecenas Dylewicz. —

Sama już nie wie, co na siebie włożyć i na jaki kolor ufarbować sobie włosy.

— Niech pan da spokój — zaśmiał się redaktor. — U kogo popijalibyśmy taki koniak i mielibyśmy taką wyżerkę.

12

— Swoją drogą kuchnię to oni mają wyśmienitą. . . wyśmienitą, daję słowo.

Reszty rozmowy Julek nie usłyszał, bo odkręcono kran i szum wody wszystko za-głuszył.

Miał powiedzieć o tym matce, lecz był nieśmiały i nie chciał jej robić przykrości.

Zrozumiał jednak, dlaczego był dla nich taki rezolutny i dlaczego będą o nim kiedyś pisali w gazecie.

2

Była lipcowa niedziela. Popołudnie. Na tarasie grali w brydża. Julek leżał u siebie, na górze. Nie było mu ani smutno, ani wesoło, tak jakby był, a właściwie go nie było.

Po prostu okropnie się nudził i zdawało mu się, że wszyscy i wszystko nudzi się dokoła.

Marzył o tym, żeby nagle coś się stało. Coś okropnego. A tu nic, tylko mucha łązi po suficie, a z werandy dochodzą głosy brydżystów: karo. . . pik. . . dwa trefle. . . dwa kara. . . dwa piki. . . pas. . . pas. . . I osa brzęczy między szybami.

13

A wszystko jakby na niby. Niby jest niedziela, niby ojciec wyjechał do Akry, niby mama zaprosiła gości, niby on jest Julianem Seratowiczem, ma trzynaście lat, przeszedł

do siódmej klasy i pani doktor Sekocińska wycięła mu migdałki. Po co? Czy z migdał-

kami bardziej by się nudził? Chyba nie. Mógłby przecież mieć teraz anginę, a to byłoby zabawniejsze. Bolałoby go gardło, a wieczorem matka, zamiast iść z całym towarzy-stwem do teatru, grałaby z nim w warcaby lub w remi. . .

A tak nic mu się nie chciało, nawet zejść do kuchni po szklankę wody sodowej, ba, nawet myśleć, dlaczego mu się nie chce. I to było najokropniejsze. Pragnął jedynie, żeby się coś stało. Niestety, nic się nie chciało stać.

Wtedy pomyślał, że pójdzie do parku Skaryszewskiego. Będzie się wałęsał, będzie patrzył na bezchmurne niebo, na ludzi, drzewa. . . może nareszcie coś przerwie tę piekielną nudę.

Zszedł na dół. Niestety, musiał przejść przez werandę, gdyż frontowe drzwi były zamknięte. Miał jednak nadzieję, że go nie zauważą, lecz gdy był już na schodkach, usłyszał za sobą głos matki:

— A ty dokąd, Lulusiu?

14

— A. . . tak sobie — odparł nie odwracając się.

— Jak to: tak sobie? Bez opowiedzenia?

— Młody człowiek chce się trochę przewietrzyć — zauważył mecenas Dylewicz, śmiejąc się ni w pięć, ni w dziewięć. A pani doktor Sekocińska dorzuciła sponad wa-chlarza kart:

— Tak, tak, Tereso, jemu potrzeba trochę więcej ruchu.

— No, dobrze — zgodziła się matka. — Tylko uważaj na jezdni. Tyle teraz wypadków.

Powiedział, że będzie uważał. Cóż mu to szkodziło. Mógł nawet dodać, że nie bę-

dzie pił w budce sodowej wody, bo można się zarazić jakąś chorobą; będzie unikał

złego towarzystwa, ukłoni się spotkanym znajomym, nie włoży rąk do kieszeni ani nie podłoży

nikomu nogi. . .

*

*

*

Szedł zamyślony. Nie spostrzegł, kiedy się znalazł na rondzie Waszyngtona, minął pomnik żołnierzy radzieckich i skierował się w główną aleję parku.

15

Był piekielny upał. Ludzie siedzieli na ławkach, patrzyli tępo przed siebie, jedli lody, milczeli. Dwaj żołnierze spacerowali z dziewczyną w różowej sukience. Pod ich twardymi podeszwami zgrzytał żwir, a dziewczyna szła jakby za chwilę miała unieść się w powietrze. I szpaki szukały w trawie owadów. I było jeszcze nudniej niż w domu.

Szedł przed siebie, nie wiedząc, dokąd idzie. Naraz zatrzymał się. Przed nim wzno-siła się wysoka siatka druciana, wokół ciągnęły się gęste krzaki i zarośla, wśród nich biegła wąska ścieżka. Zorientował się, że jest przy kortach tenisowych. Było zupełnie cicho, tak cicho, że słyszał szelest trawy i głuchy odgłos tenisowych piłek.

Naraz wyczuł, że ktoś skrada się w krzakach. Chciał się odwrócić. W tej samej chwili ktoś gwałtownym ruchem zarzucił mu na głowę kawał miękkiego materiału. Krzyknął, lecz głos utknął mu w gardle. Szarpnął się, ale ktoś zręcznym ruchem przydusił go do ziemi.

Po chwili ze zdumieniem usłyszał głos dziewczyny:

— Zaprowadzić go do meliny.

— Może go związać? — zapytał ten, który go trzymał.

— Nie trzeba — odparła dziewczyna. — Nie stawia oporu.

16

Schwycili go pod ramiona, unieśli i prowadzili w nieznanym kierunku. Na głowie miał cuchnący stęchlizną worek, pod stopami czuł miękki trawnik, a w głowie chaos.

Po chwili pomyślał, że to może kidnaperzy. Złapali go, żeby wyłudzić od rodziców okup. Wieczorem zadzwonią do domu i podadzą miejsce, w którym matka będzie musiała złożyć forszę. Ciekawe tylko, ile? Pewno ze sto tysięcy, a może i więcej. To zależy, na ile go ocenią. Matka, oczywiście, będzie się okropnie bała i nie zawiadomi milicji. Dziwna sytuacja. Matka, jak gdyby nigdy nic, licytuje z panią doktor szlemika, a tu jej syn w rękach niebezpiecznych przestępców. Ładna historia! Wtedy ogarnął go strach. Wyobraził sobie, że zaprowadzą go do ciemnej piwnicy i będą trzymali o chlebie i

wodzie. Nogi się pod nim ugięły, poczuł, że się poci. . .

Zatrzymali się. Ktoś zerwał mu worek z głowy. Julek zamrugał odwykłymi od światła oczami. Nie chciał wierzyć. . . Przed nim stała dziewczyna; czternastka, może najwyżej piętnastka, jak to mówią chłopcy. I do tego bardzo ładna. . .

*

*

*

Stali naprzeciw siebie bez słowa. Naraz z boku usłyszał głos chłopca: 17

— Cegielka, daj mu w ucho, żeby wiedział, z kim ma do czynienia.

Czekał na cios. Może nareszcie dowie się z kim ma do czynienia. Ale chłopiec, który miał go uderzyć, podsunął mu tylko pięść pod nos i powiedział:

— Szkoda się babrać, to mięczak.

Dziewczyna uśmiechnęła się wzgardliwie.

— Nawet się nie broni.

A drugi chłopiec, który stał za nim, dodał:

— Grzeczny i potulny jak nowo narodzone niemowlę.

Dziewczyna podeszła bliżej, wysunęła głowę do przodu, przymrużyła oczy i zapytała:

— Boisz się?

— Nie — odparł.

— Ale najadłeś się strachu?

— Nie.

— A wiesz, z kim masz do czynienia?

— Nie, ale, bardzo chciałbym się dowiedzieć.

18

— To sobie zapamiętaj: z gangiem Karioki. A Karioka to ja.

— Bardzo mi miło — wydusił Julek z zaciśniętego gardła.

Dziewczyna pokiwała z politowaniem głową.

— Miło, miło. . . Mogłabym kazać przefasonować ci tę twoją gładką buziuchnę.

Babcia by cię nie poznała.

— Przepraszam — wtrącił nieśmiało — ale nie mam babci.

— Szczeniak — prychnął stojący za nim chłopak.

— I jeszcze się szarpie — dodał drugi z boku. — Mędrkuje.

— Wcale nie mędrkuje — zachnął się Julek — tylko. . . tylko bardzo mi się podo-bacie i chciałbym należeć do waszego gangu.

Roześmiali się, a Karioka podeszła jeszcze bliżej, złapała go za ramięczko szelek, naciągnęła je i puściła, aż zapiekło.

— Za słaby jesteś dla nas.

Uśmiechnął się gorzko, chciał coś powiedzieć, lecz w tej chwili zbliżył się z boku chłopiec, którego nazywali Cegielką.

— Jakie szalowe szelki — powiedział z błyskiem w oczach. — Skąd je masz?

19

— Ojciec przywiózł mi z Paryża.

Cegielka gwizdnął z podziwu.

— Francuskie? Oryginalne?

— Mogę ci je dać, bo mam jeszcze jedne.

— Bez łaski — wtrąciła Karioka. — To my możemy ci wziąć, jeżeli nam się spodo-ba.

— Możecie, ale przyjmijcie mnie do gangu.

— Takich nam nie trzeba — zaśmiała się dziewczyna. — Na takich to my napadamy.

— To możecie na mnie jeszcze raz napaść, zabrać mi szelki, a potem przyjąć mnie do gangu — powiedział błagalnie.

— Masz babo placek! — jęknęła Karioka. — Nic nie rozumie. I co z takim robić?

— Musimy się naradzić — odezwał się chłopiec, który stał za Julkiem.

— Dobra — zgodził się szef gangu. Skinęła na chłopców. Po chwili wyszli z szopy.

Został sam. Było ciemno, pachniało zeschniętymi liśćmi. Nie wiedział, gdzie się znajduje. W melinie? Ale w jakiej? Dopiero po chwili ujrzał w kącie wielką skrzynię na piasek, a obok narzędzia ogrodnicze. Domyślił się, że jest w szopie za kortami, gdzie 20

ogrodnicy przechowują narzędzia. Właściwie wcale go to nie interesowało, gdzie się znajduje. Był natomiast ogromnie przejęty i ciekawy, co z nim zrobią. Do tej pory zachowywali się zupełnie przyzwoicie, ale kto to wie, co takim może strzelić do głowy.

A nuż zechce im się przefasonować mu buziuchnę? Już coś o tym wspominali.

Było ich troje, a może więcej. W ciemności nie zdołał ich policzyć. Karioka, Cegieł-

ka, ten, który stał cały czas za nim, i jeszcze jeden, którego nie widział. Ładny komplet, sztuka w sztukę. I dobrze im z oczu nie patrzyło. Aż dziw, że do tej pory tak się z nim cackali.

Najbardziej zainteresowała go dziewczyna. Skąd się wzięła między nimi? Ładna, szkoda gadać, i do tego szef gangu. Sensacja największego kalibru.

Spoza ściany dochodziły podniesione głosy. Kłócili się, co zrobić z jeńcem. Julek wspiał się na palce i drobnymi krokami zbliżył się do drzwi, lecz zanim dotarł do szpary, zza paki usłyszał piskliwy głos:

— Nie ruszaj się! Mam cię na muszce.

Przez moment zdawało mu się, że ktoś woła do niego zza ściany, wnet jednak w kącie, za paką, ujrzał chłopca z wymierzonym w jego kierunku bębenkowcem.

21

— Ręce do góry — rozkazał malec. — A jak się ruszysz, to cię sprzątnę jak muchę.

Julek uniósł szybko ręce. Zrobiło mu się mdło. Czuł, że za chwilę upadnie, lecz z wielkim wysiłkiem opanował się. Nie wypadało. Chłopiec, który trzymał go na muszce, był chyba o połowę mniejszy od niego. Miał twarz dziecka i oczy błyszczące jak węgielki wbite w przyrumienione ciasto.

— Daj spokój — powiedział Julek. — Widzisz, że nie mam ochoty uciekać.

— Spróbuj! — zaśmiał się chłopiec. — Sprzątnę cię jednym strzałem.

— Wcale nie chcę próbować.

Na chwilę zapanowała zupełna cisza. Julek słyszał tylko własny oddech, widział okrągły otwór lufy i czuł, że jest zupełnie mokry od potu.

Wreszcie chłopiec zapytał:

— Te szelki to naprawdę z Paryża?

— Z Paryża — odparł Julek z ulgą.

— To zdejmuj.

— Jak mogę zdjąć skoro ręce trzymam do góry.

— To opuść, tylko gazem!

22

Bez szemrania spełnił jego życzenie. Szybko odpiął szelki.

— Rzuć! — rozkazał tamten.

Julek rzucił szelki w jego stronę. Chłopiec schwycił je w locie, zwinął pospiesznie i włożył za koszulę.

— A teraz możesz usiąść — zezwolił wspaniałomyślnie. — Tylko nie mów im o tych szelkach, boby mi zabrali.

— Bądź spokojny — odparł — na szelkach mi nie zależy. Sam chciałem wam oddać.

— Tak brać za darmo to niehonorowo.

Julkowi wydawało się to nieco dziwne: wziąć — niehonorowo, a wymusić pod lu-fą — honorowo. Wnet jednak pomyślał, że nie zna jeszcze ich zwyczajów.

— Co oni ze mną zrobią? — zapytał spokojnie.

— To zależy.

— Od czego?

— Od humoru Karioki.

— A w jakim humorze jest dzisiaj Karioka?

23

Chłopiec nie zdążył odpowiedzieć, gdyż nagle zaskrzypiały drzwi, a do szopy wsypała się cała trójka. Pierwsza weszła Karioka. Była wysoka, smukła, zgrabna. Miała czarne włosy, twarz śniadą, wielkie szare oczy. Ogromnie podobała się Julkowi. Po-myślał nawet, że chętnie poszedłby z nią do kina. W tej sytuacji nie śmiał jednak zaproponować spotkania. Ona tymczasem stanęła przed nim, uśmiechnęła się pogardliwie i zapytała:

— Jak się nazywasz?

— Julian Seratowicz.

— Gdzie mieszkasz?

— Na Dąbrówki.

— Klawo. A twój staruszek czym się zajmuje?

— Jest inżynierem, specjalistą od urządzeń i maszyn cukrowniczych.

— Aha. . . — zamienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia, jakby fakt, że ojciec jest specjalistą, wzbudził w nich podejrzenie.

— Może jaki dyrektor? — zagadnął z respektem Cegiełka.

— Nie — odparł — tylko dobry specjalista.

24

— I zarabia mnóstwo forsy — dokończyła Karioka.

— Tak — powiedział bez namysłu. Postanowił być wobec nich szczery, żeby nie myśleli, że chce się wyłgać. — Przywozi mi rozmaite rzeczy. Mógłbym wam przynieść. . .

— Co? — wyrwał się ten trzeci, który stale stał za nim.

— Cicho, Cygan — ofuknęła go Karioka. Naraz podeszła do Julka i strzeliła mu pod nosem na palcach: — A amerykańską gumę do żucia masz?

— Nie, gumy nie mam, bo mi się skończyła, ale mogę wam przynieść aparat fotograficzny, który w ciągu minuty sam wywołuje zdjęcia.

— Buja — syknął z niedowierzaniem Cygan.

— Daję słowo — zaprotestował. — W ciągu minuty jest gotowe zdjęcie. Albo. . .

mały aparat tranzystorowy. . . japoński. . . Dałbym wam chętnie, gdybyście mnie przyjęli do gangu.

Propozycja zrobiła piorunujące wrażenie. Zamilkli na chwilę. Zupełnie ich zamurowało. Było tak cicho, że słyszeli dochodzące z kortów uderzenia tenisowych rakiet i głuchy odgłos upadających piłek. Pierwszy odezwał się Cegiełka: 25

— Co nam szkodzi. Możemy go przyjąć.

— Nie — powiedziała stanowczo Karioka. — Nie znamy go. Mógłby nas sypnąć.

— Złoży przysięgę.

— Nie ma mowy — powtórzyła, przypatrując się badawczo jeńcowi. — Narobi szumu i wpadniemy. Nie mam do takich mięczaków zaufania.

— Ja. . . — zająknął się Julek — ja jeszcze nikogo nie sypnąłem. Możecie mnie przyjąć na próbę.

— Co nam szkodzi — szepnął Cegielka.

W oczach dziewczyny pojawił się groźny błysk.

— Kto tu decyduje, ty czy ja? Ja mu nie wierzę. Znam się na takich. Puści w domu farbę, i cześć.

— Mielibyśmy radio tranzystorowe — jęknął mały. — Japońskie, Karioka.

Karioka zlekceważyła jego uwagę. Pokiwała głową nad Julkiem i rzuciła mu prosto w twarz:

— Nas, chłoptasiu, nie przekupisz.

— Nie chcę was przekupić! — zawołał płacząco. — Mogę się z wami podzielić.

26

— Za słaby jesteś dla nas — powtórzyła z kpiącym uśmiechem. — Umiesz się przeżegnać?

— Umiem — dodał zaskoczony.

— To przeżegnaj się i podziękuj Bozi, że ci tak gładko obleciało.

— Masz dobrą pamięć? — zagadnął z boku Cygan.

— Mam — jęknął Julek.

— To zapamiętaj sobie, że nas nie tak łatwo wykołować.

— A teraz zjeżdżaj! — rozkazała Karioka. — I nie pętaj się w tych okolicach, bo możesz mieć przykrości.

Wzięła go za ramię, pchnęła mocno w stronę drzwi. Nie opierał się. Wyszedł jak zmyty, a gdy uszedł kilka kroków, rozplakał się.

27

3

Nie mógł powstrzymać płaczu. Poddał się. Płakał za siebie, za matkę, która w tej chwili rozgrywała szlemika, za ojca, który może na tarasie jakiegoś hotelu popijał coca colę i zastanawiał się, co by przywieźć synowi w prezencie. Niech już nic nie przywozi.

I tak wszystko psu na budę, skoro Karioka nie chciała nawet japońskiego tranzystora.

Chłopcom w klasie oczy na wierzch wychodziły, a Karioka nawet nie chciała obejrzeć.

„Do końca życia zostanę patałachem — powtarzał w myśli. — I żadna porządna paczka nie przyjmie mnie do siebie. A niech tam! W nosie mani gang Karioki, w nosie mam aparat tranzystorowy i redaktora Rząskę. Na złość wszystkim zostanę największym patałachem pod słońcem, maminsynkiem. Niech się cieszą, skoro im na tym za-leży. A ja mam wszystko w nosie, w nosie, w nosie. . . ” Nagle usłyszał, że ktoś biegnie za nim i woła go. Obejrzał się. Zobaczył zbliżają-

cego się Cegielkę. Dopiero teraz mógł mu się lepiej przyjrzeć. Chłopiec biegł utykając na jedną nogę. Zdawało się, że lekko podskakuje, nie zginając nogi w kolanie. Był chu-dy, kościsty, zaniedbany. Miał na sobie czarne, drelichowe spodnie, flanelową koszulę 28

w kratę, białe tenisówki, a wszystko podarte, połatane, wyszarzałe. I twarz miał równie wyszarzałą i smutną. Tylko oczy, duże, jasno-złociste, błyskały czasem żywszym blaskiem.

— Poczekaj — zawołał dobiegając. Dyszał ciężko i uśmiechał się tajemniczo, lecz przyjaźnie. Julek ukradkiem otarł łzy. Nie mógł jednak powstrzymać gwałtownych spazmów. Cegielka położył mu rękę na ramieniu.

— Nie becz, bracie, może uda się coś zrobić.

— Nie chcę — szarpnął się. — Niech się wypchają. Nie zależy mi na nich.

— Pogadam z nimi. Może cię przyjmą. Tylko nie becz, bo gdyby cię teraz zobaczyli, to kłapa, człowieku.

— Na niczym już mi nie zależy. . .

— To się tylko tak mówi — powiedział Cegielka łagodnie. — My byśmy cię przyjęli, ale Karioka się uparła. Ale to da się zrobić. Tylko musisz jej pokazać, że z ciebie nie taki znowu mięczak.

— Mięczak jestem, i już — powtórzył z uporem. — Nic mnie nie obchodzi wasz gang. Mogę być patałachem, mięczakiem. Wolno mi.

29

Cegielka złapał go mocniej za ramię.

— Pluń na to wszystko, to ci ulży.

Julek spojrział na niego ze zdumieniem.

— No, pluń, na co czekasz? Zobaczysz, że to pomaga.

Julek splunął z pasją.

— No, widzisz! — zawołał Cegiełka. — Już ci lepiej. Ja na twoim miejscu tobym się nie martwił. Masz taki wdechowy aparat fotograficzny i odbiornik na tranzystorach, masz francuskie szelki i jeszcze się łamiesz. — Naraz spojrzął z ukosa i zapytał: —

A gdzie podziałeś szelki?

— Zabrał mi ten mały.

— Filipek? To nie mogłeś palnąć go w ucho?

— Nie mogłem, bo trzymał mnie na muszce.

Cegiełka gestem rozpaczy złapał się za głowę.

— Człowieku, uwierzyłeś, że to prawdziwa spluwa? Stary grat bez cyngla i bez bębenka. Ale cię nabrał! Cwaniak z tego naszego Filipka. Nie martw się, jutro będziesz miał szelki. . .

30

Julek wzruszył ramionami.

— Po co mi? Nie zależy mi na nich.

— Eee. . . — skrzywił się Cegiełka — tobie to na niczym nie zależy. Z ciebie dziwna sztuka, człowieku, masz wszystko i udajesz, że się nie cieszysz.

— Bo nie. . .

— Szelki będziesz miał, to ja ci mówię — powiedział Cegiełka w zamyśleniu. —

Nie lubię, jak szczeniak robi takie kawały. A z Karioką to sam pogadam. Powiem, że z ciebie równy chłopak.

Julek patrzył na jego chudą, ogorzałą i brudną twarz i nie mógł zrozumieć, co ten chłopiec chce od niego. Cegiełka tymczasem przymrużył oczy, uśmiechnął się pojednawczo.

— Spluń jeszcze raz i nie łam się, bo mi się kiszki przewracają, gdy patrzę na ciebie.

Julek zatrzymał się. Trzy razy splunął z pasją. Poczuł ulgę. Uwierzył w czarodziej-ską siłę samego spluwania. Cegiełka walnął go pięścią w bok.

— No, widzisz. Nie jest tak źle. Tylko zawsze trzeba trzymać fason.

— Chcesz, pójdziemy na lody — powiedział Julek.

31

— Nie. Lubię lody, ale po lodach bolą mnie zęby.

— To chodź na rurki z kremem.

— Na rurki to co innego.

Poszli w kierunku ronda Waszyngtona.

— Kto to jest ta Karioka? — zapytał Julek.

— Taka jedna z Saskiej Kępy. Niedawno wyszła z przedszkola.

— Z przedszkola? — zdumiał się. — Przecież ona wygląda na czternastkę.

— Zgadłeś — stwierdził poważnie Cegiełka. — A przedszkole w naszym języku to taka buda specjalna dla trudnej młodzieży. Mieszka się w internacie, wyżerka na miejscu, a nauczyciele nic nie robią, tylko głowią się, żebyś był lepszy.

— Ty może też byłeś w przedszkolu?

— Mnie chcieli zamknąć w poprawczaku, ale nie było miejsca, więc dali mi kuratora.

Julka zupełnie zamurowało. Spojrzał z ukosa na Cegiełkę. Do tej pory zdawało mu się, że Cegiełka to po prostu Cegiełka, a tymczasem szedł z chłopcem, którego otaczała tajemnica.

32

— W poprawczaku? — powiedział po chwili. — To niemożliwe!

— Zupełnie możliwe — stwierdził rzeczowo Cegiełka. — I wcale nie mam do nich żalu, bo słusznie.

— A za co?

— Eee. . . — ociągał się chwilę. — Głupia sprawa. Maniek Kiziak powiedział, że mój stary to złodziej i alkoholik. . . — zamilkł. Jego chuda twarz stężała, a oczy przygasty. Szedł kuśtykając miarowo. — Głupia sprawa — powiedział jakby do siebie. —

Może kiedyś ci powiem, ale teraz. . . za mało się znamy.

— Jeżeli nie chcesz, to nie mów.

— Zresztą. . . mogę ci powiedzieć. Ten Maniek nazwał mnie kuternogą i natrząsał się ze mnie i z mojego starego. Byłem cięty na niego i nie wytrzymałem. . . powiedziałem mu do słuchu, a wtedy on. . . Ale ty i tak tego nie zrozumiesz.

Uśmiechnął się gorzko. Przyspieszył. Szedł tak szybko i tak lekko odbijał się na chromej nodze, że Julek musiał pobiec, żeby się z nim zrównać.

— Powiedz, coś mu zrobił?

33

— Nie chciałem, ale coś mnie zaślepiło. . . zresztą nie mogłem inaczej. . . — wyszeptał. — Nie, jeszcze ci nie powiem, bo pomyślisz, że ze mnie okropny chuligan.

— Widzę, żeś morowy kolega.

— Jeszcze mnie nie znasz. Jak mnie poznasz, to będziesz mógł mówić.

Zamilkli. Długo szli bez słowa. Cegielka westchnął głośno, Julek zawtórował mu westchnieniem. Wiedział, że jest mu ciężko, i chciał go pocieszyć. Zapytał więc zuchowato:

— Dawno macie ten gang?

— Nie, dopiero od kilku dni.

— A dlaczego wybraliście Kariokę na szefa?

— Szefa się nie wybiera. Szef jest, i kropka.

— To dlaczego ona jest szefem?

— Bo tak wypadło.

Julek nie zrozumiał, dlaczego właśnie tak wypadło, lecz nie zapytał, żeby Cegielka nie pomyślał źle o nim. I tak już dostatecznie się poświęcił. Zamiast zostać w melinie 34

i planować rozmaite napady, szedł z największym pod słońcem patałachem na rurki z kremem, on, którego mieli zamknąć w poprawczaku, on, który ma kuratora.

— Co to jest kurator? — zapytał nieśmiało.

Cegielka uśmiechnął się wyrozumiale.

— To taki facet, co martwi się za ciebie i chce koniecznie, żebyś się poprawił, a jak jest jakaś wsypa, to zaraz wali na milicję i tłumaczy, że to warunki rodzinne winne, a nie ty. W ogóle nieszczęśliwy człowiek.

— A ty jakiego masz kuratora?

— Pierwszorzędnego — odparł z uznaniem. — Panią Tułajową. Znasz ją?

— Nie.

— Pierwszorzędna pani. Opiekuje się bezdomnymi psami, kotami i trudną młodzie-

żą. Żal mi jej, bo strasznie się o mnie martwi i wciąż powtarza, że się zmarnuję. . . — przerwał nagle, gdyż uwagę jego zaprzął wielki napis na skrzyni z piaskiem. Stał jak wryty, chwilę pokręcił głową, potem świsnął przez zęby i wyszeptał z przejęciem:

— Już się zaczyna.

— Co się zaczyna? — zdumiał się Julek.

35

— Przeczytaj.

Na skrzyni widniały wielkie, nasmarowane kredą litery: TOLEK BANAN NIE DA SIĘ

TOLEK BANAN JEST WSZĘDZIE

TOLEK BANAN CZUWA

— Co to znaczy? — zapytał Julek.

— Nie czytałeś o Tolku Bananie?

Wzruszył ramionami, jak gdyby chciał się wykręcić od odpowiedzi.

— Pisali o nim w „Expressie” — wyjaśnił Cegiełka przysiadając na leżącym obok skrzyni stosie płyt kamiennych. — Związał z domu poprawczego i nigdzie nie mogą go znaleźć.

— Czy ma coś na sumieniu?

— Zrobił fantastyczny numer. Ty naprawdę nic nie wiesz?

36

Nie, nic nie wiedział o Tolku Bananie ani o jego fantastycznym wyczynie. Tak się zawstydził, że nic nie odpowiedział. Na szczęście Cegiełka zlitował się i zaczął opowiadać.

— Fantastyczny numer — powtórzył z przejęciem. — Nikt jeszcze nie zrobił czegoś podobnego. Wyobraź sobie, posłał pocztą stu rencistom i inwalidom po dziesięć patyków.

Julek wzruszył ramionami.

— Głupi kawał posłać biednemu renciście kilka zwykłych patyków.

Cegiełka splunął zniecierpliwiony.

— Jeden patyk to tysiąc złotych, rozumiesz?

— Nie wiedziałem.

— To sobie zapamiętaj. Tak się mówi i tak jest. Więc Tolek Banan wybrał takich najbiedniejszych i zabawił się w świętego Mikołaja. Nic nikomu nie powiedział, tylko wysłał, A tamtym, jakby ta forsa z nieba spadła. Wszyscy zachodzili w głowę, co to za milioner, aż wreszcie bomba wybuchła. . .

37

— No właśnie — przerwał mu Julek zniecierpliwiony — skąd ten Tolek miał tyle forsy? Cały milion!

Cegielka uśmiechnął się wyrozumiale.

— Widzę, że liczyć to ty umiesz, ale założę się, że nigdy byś się nie domyślił, skąd on wziął te moniaki.

— Nie — przyznał ze skruchą.

— Ja też nie — pocieszył go Cegielka — gdybym nie przeczytał w „Expressie”.

Na pierwszej stronie o tym pisali. A było tak: Jak Tolek Banan nawiał z poprawczaka, to prysnął nad morze pod Koszalin do PGR-u i tam najął się do roboty przy kopaniu buraków. Pewnego dnia leży sobie pod drzewem, a tu patrzy, do lasu zajeżdża luksusowa limuzyna, a z limuzyny wyskakują dwaj podejrzani osobnicy. . .

— Skąd wiedział, że podejrzani?

— Wtedy jeszcze nie wiedział, ale wnet się okazało, bo faceci wyciągnęli z bagażnika łopaty i zaczęli kopać w krzakach mogiłkę. . .

— Zabili kogoś!

38

— Nie przerywaj. Nikogo nie zabili, tylko po chwili, dawaj, ładować w tę mogiłkę kuferek, a Tolek wszystko widzi, bo siedzi w krzakach i nic nie robi, tylko kikuje. Zasypali pięknie, przyklepali, na wierzchu położyli świeżą darń, na drzewie wycięli jakieś znaki, a potem do limuzyny i setą walą z powrotem.

— A Tolek?

Cegielka cmoknął zniecierpliwiony.

— Nie przerywaj, mówię ci. Tolek, bracie, wylazł z krzaków i, dawaj, odkopywać mogiłkę. Myślał, że w kufierku znajdzie jakiegoś nieboszczyka w kawałkach, a tymczasem oczom własnym nie chciał uwierzyć. Milion, bracie, równiutki milion, i to samymi pięćsetkami. Miał chłop fantazję, nie wziął z

tego ani jednej złotówki, tylko zabawił się w świętego Mikołaja dla inwalidów. . . A teraz to o nim już w pociągach harmoniści śpiewają, a moja ciotka dała na mszę, żeby go nie złapali.

— Poczekaj — wtrącił Julek. — Jednego nie mogę zrozumieć, dlaczego go szukają, skoro nie zabrał ani jednej złotówki, a wszystko rozesłał inwalidom i kalekom?

Cegiełka westchnął zniecierpliwiony.

— Wysłuchaj do końca. Przecież ta forsa nie była jego.

39

— A czyja?

— Właśnie to jest najciekawsze. Forsa nie była ani jego, ani tych osobników, bo oni zrobili szachermacher w jakiejś spółdzielni w Szczecinie, a potem, gdy im milicja zaczęła deptać po piętach, prysnęli z forszą. — Cegiełka jeszcze raz spojrzął na skrzynię z piaskiem i na koślawe litery nakreślone pospiesznie kredą na deskach. — Tak —

szepnął z przejęciem — Tolek Banan jest w Warszawie, a my nic o tym nie wiemy.

4

Zapadał zmierzch, kiedy Julek Seratowicz wrócił do domu. Wszedł ostrożnie do ogrodu, okrążył klomb z różami, zajrzał na werandę. Była pusta. . . Na stoliku brydżowym leżały dwie rozrzucone talie kart, obok filiżanki z czarnym osadem fusów, popielniczka pełna niedopałków i blok z tajemniczymi drabinkami zapisu.

Pomyślał, że matka zapewne wyszła z gośćmi. Ucieszył się, gdyż w ten sposób uniknął pytań pani doktor Sekocińskiej i poklepywania redaktora Rząski. Przemknął

40

cichaczem przez obszerny hall i już miał się skierować na schody, gdy w kuchni usłyszał

ciche pobrząkiwanie naczyń. „Pani Teczka wróciła z wychodnego” — przemknęła mu radosna myśl. Miał ochotę pogadać z gosposią.

Inżynier Seratowicz nazywał panią Teczka ministrem aprowizacji. Jej ministerstwo mieściło się w kuchni i spiżarni. Jeżeli pan redaktor Rząska tak bardzo zachwalał kuchnię Seratowiczów, była to jej zasługa. Nikt bowiem na Saskiej Kępie nie umiał tak upiec kurczaków i tak wspaniale zrobić karpia w galarecie, jak pani Teczka. I nikt nie umiał tak pięknie opowiadać o wypadkach drogowych, zabójstwach, a przede wszystkim o duchach. To właśnie ona wymyśliła pewnego upiora, który straszył ponoć na strychu domu Seratowiczów.

Miał to być duch pewnego esesmana, którego zastrzelono na ulicy Dąbrówki podczas zajmowania Saskiej Kępy. Od tego czasu pokutował na strychu za swe zbrodnie.

Domowników unikał. Zjawiał się jedynie pani Teci, kiedy szła rozwieszać bieliznę. Był podobno w czarnym mundurze, stalowym hełmie, a zamiast oczu miał dwie ogniste swastyki.

41

Gospoia, zanim weszła na strych, ciskała weń okropnymi wymysłami: „Ty szwabie nieskrobany! Zbrodniarzu wojenny, ludobójco! Nie dość ci było polskiej krwi? Nie dość niewinnych ofiar? Zgiń, przepadnij!” — następnie żegnała się krzyżem i wkraczała na schody. Zdawało się, że bez tego hitlerowskiego upiora pani Teci nie mogłaby żyć, tak się do niego przywiązała.

Julek zatrzymał się przy progu. Spojrzał w głąb kuchni. Pani Teci stała przy kuchence gazowej, wielką łyżką mieszała w miedzianym kociołku. Była to osoba po pięć-

dziesiątce, niska, pękata i — jak się Julkowi zdawało — podobna do Tadeusza Ko-

ściuszki. Twarz miała bowiem szlachetną, nos zadarty, a oczy prawie zawsze wpatrzone w niebo, jak naczelnik, kiedy na rynku krakowskim składał przysięgę, że wypędzi wroga i będzie strzegł honoru. .

Na widok chłopca uniosła łyżkę i zapytała z przekąsem:

— Podobno mama chce cię wysłać do psychiatrii?

— Podobno — westchnął chłopiec.

— I zapłaci pewno pięćset złotych za wizytę.

— Nie wiem, ile zapłaci.

42

— Co taki psychiatra może ci powiedzieć?

— Nic.

— No właśnie, ciągną tylko pieniądze, a nic nie powiedzą. Skaranie boskie! Pięćset złotych daje się lekką rączką, a mnie to od dwóch lat nie podnosi się pensji.

Julek pomyślał, że gdyby od niego zależało, to dawno by jej podniósł, bo warta była tego. Ale nie po to przecież przyszedł do kuchni.

— Pani Teci — zahaczył nieśmiało — czy pani czytała o Tolku Bananie?

— A jakże! — zawołała ożywiona. — Przecie w „Kulisach” przez trzy numery o nim pisali.

— Słyszałem, że w „Expressie” — sprostował.

— W „Expressie” też, ale w „Kulisach” to ho, ho. . . trzy długie artykuły. Nawet był wywiad z dwoma takimi, co dostali od niego po dziesięć tysięcy. Miał fantazję, co?

— Miał. . . Ale. . . czy to prawda?

Pani Teczka natarła na Julka.

43

— Jakże nieprawda! Nawet było jego zdjęcie, kiedy przystępował do pierwszej Komunii. Śliczny chłopczek, a jakie spojrzenie. Już wtedy mu z oczu patrzyło, że daleko zajędzie. . .

— Zajechał, ale do poprawczaka — przerwał jej — a w ogóle to szuka go podobno milicja.

— Co ty wygadujesz — oburzyła się. — To pewnie nieprawda. Jak by on mógł

coś złego zrobić?. . . Podobno nawet jacyś uczeni zebrali się i mieli całą dyskusję: czy popełnił przestępstwo, czy nie popełnił. Kobiety z Grochowa chciały delegację do mini-stry sprawiedliwości wysłać, żeby mu przebaczył. Ja bym mu przebaczyła. I niejeden inwalida modli się za niego.

W tym momencie za oknem dał się słyszeć ostry gwizd. Pani Teczka wbiła w sufit przerażone oczy. Myślała zapewne, że to duch esesmana daje znać o sobie. Julek natomiast podbiegł do okna. Za ogrodzeniem ujrzał szczupłą postać Cegiełki.

Ucieszył się. Nie spodziewał się tak rychłej wizyty. Cegiełka czekał już na niego przy furtce. Rękę wbił w kieszenie, przygarbił się, wysunął do przodu głowę i patrzył

po swojemu, trochę nieufnie i zaczepnie.

44

— Się masz — przywitał Julka.

— Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

— Phi — uśmiechnął się tajemniczo. Po chwili dodał poważnie i rzeczowo: — Przyniosłem ci szelki. Filipek szarpał się trochę, ale go przycisnąłem i oddał.

Wyjął z kieszeni starannie zwinięte szelki.

— Dziękuję ci, ale naprawdę są mi niepotrzebne. Jeżeli chcesz, możesz je zatrzymać.

— Nie, Filipek mógłby pomyśleć, że dla siebie zabrałem. Zresztą, po co mi. Wolę pasek.

— Szkoda. . .

— Nie ma o czym gadać.

— I co słyhać?

Cegielka uśmiechnął się przyjaźnie.

— Dobrze jest. Gadałem z Karioką. Możesz przyjść jutro o dziesiątej. . .

Julek aż syknął z wrażenia. Chciał skakać, ściskać kolegę, lecz należało zachować spokój i godność. Zapytał więc drżącym głosem:

45

— Przyjęli mnie?

— Jeszcze nie, ale to się da zrobić. Trzeba tylko przegłosować.

— Myślisz, że wszyscy się zgodzą?

— Dlaczego nie. Ja już to załatwię.

Julek wyciągnął rękę.

— Dziękuję ci.

— Nie ma za co — uścisnął mu mocno dłoń i rzucił pospiesznie: — No to cześć!

Wale, bo mi Franek Sałyga obiecał dwie tranzystorowe lampy.

— Robisz radio na tranzystorach?

— Tak. . . grzebię trochę.

— To ciekawe. Pokażesz?

— Jeszcze nie gotowe.

Pani Teczka wychyliła się przez okno.

— Chodźcie, chłopcy, co tak stoicie w ciemności?

Cegielka cofnął się o pół kroku.

— Człowieku, nie mam czasu, muszę walić do Franka Sałygi.

46

— To poczekaj, odprowadzę cię.

— No chodźże już, Luluś — zabrzmiał z głębi kuchni zniecierpliwiony głos gospośi.

Chłopiec skinął Cegiełce, ruszył biegiem w stronę domu. Gdy stanął w kuchni, pani Teczia zapytała:

— Co to za jeden?

— Kolega — odparł niechętnie.

— Skóra i kości — westchnęła. — Nie wszystkim tak się dobrze powodzi, nie wszystkim. Dlaczego go nie zawołasz?

— Nie ma czasu.

Pani Teczia pokręciła głową.

— Aż żal na niego patrzeć.

Energicznym ruchem otworzyła lodówkę, wyjęła półmisek z pieczoną polędwicą i odkrajała spory kawał mięsa. Dodała jeszcze dużą pajdę chleba, zawinęła to wszystko w serwetkę.

— Poczęstuj go — powiedziała — bo tu się wszystko tylko marnuje.

Julek wziął od niej zawiniątko.

47

— Dziękuję. Szkoda, że sam o tym nie pomyślałem. Wybiegł na ulicę. Cegiełka stał

oparty plecami o żelazne pręty ogrodzenia, podrzucał drobne kamyki i kopał je na drugą stronę jezdni.

— Cóżżeś tak długo siedział?

— Gosposia mnie zawołała.

— Myślałem, że to ciotka albo babcia. — Naraz świsnął przez zęby i dodał: —

Luksus, bracie, i komfort. Pewno ci czyści buty i myje uszy.

— Nie — zaprotestował żywo. — Buty sam czyszczę. — Naraz zrobiło mu się strasznie przykro. Spojrzał na kolegę, nie wiedział, jak mu dać wałówkę. Zawahał się.

— Odplywamy — rzucił tamten wesoło.

— Poczekaj — zatrzymał go. — Pani Teczia przysłała ci trochę. . .

Cegiełka cofnął się gwałtownie.

— Nie jestem głodny.

— Nie szkodzi, zjemy na spółkę.

Cegielka ruszył wolnym krokiem. Gdy odszedł spory kawałek, zawołał nie odwracając się:

48

— Chodź, bo nie mam czasu!

Julek opuścił bezsilnie ręce. Było mu żal, że tak niezręcznie zaproponował koledze poczęstunek. W dłoni ścisnął serwetkę z kanapką. Cegielka odwrócił się nagle. Usta miał mocno zaciśnięte, a oczy przymrużone. Patrzył wyzywająco.

— Idziesz? — zapytał.

— Chyba nie. . .

— To pamiętaj, jutro o dziesiątej pod kasztanem przy Klondike.

— Gdzie?

— Przy melinie, tam, gdzieśmy cię złapali. — Uniósł dłoń do czoła. — Cześć!

Pamiętaj, o dziesiątej!

ROZDZIAŁ DRUGI

1

W ten sposób Julian Seratowicz miał zostać członkiem gangu, który bez zmrózenia oka napada na banki, strzela, ucieka przed policjantami, robi takie rzeczy, od których włosy jeżą się na głowie. Jemu też się jeżyły i długo rzucał się i majaczył, zanim zasnął.

Zdawało mu się, że w Miami, w barze „Savoya”, zabił pewnego barmana, który nie w porę podał mu szklankę whisky and soda. Siedział wtedy z Karioką. Ona była w sukni ze złotego brokatu, a on w najmodniejszym smokingu z czarną muszką. Roz-50

mawiali, oczywiście, nie o napadzie, tylko o wyścigach konnych, a barman zagapił się.

Nie wiedział, z kim ma do czynienia. Julek musiał go sprzątnąć, bo przy Karioce inaczej nie wypadało. Potem zastanawiał się, co pomyśli o nim ojciec, kiedy z afrykańskiego wydania „New Yorker” dowie się o tym zdarzeniu.

Za chwilę ni stąd, ni zowąd znaleźli się z Karioką w Nowym Meksyku. Wszyscy barmani w całych Stanach wiedzieli już, że strzela, więc Murzyn, który mu podawał

whisky, zbladł na jego widok i był szary, a Julek oświadczył się Karioce i powiedział, że pryska do Meksyku, na helikopterze, oczywiście. . . Niestety helikopter wysiadł na samym środku pustyni, a on

musiał wynająć mulników. I zaczął się piekielny pościg. . .

Na szczęście w momencie, kiedy już policja doganiała karawanę, obudził się.

Nic więc dziwnego, że gdy o dziesiątej stanął pod stuletnim kasztanem, głowę miał

nabitą różnymi historiami. Dzień był upalny, w listowiu śpiewały ptaki, dzięcioł kuł

na pobliskiej topoli, a on niecierpliwie oczekiwał zjawienia się Cegiełki. Tymczasem, jak na złość, Cegiełka nie przychodził.

Pierwsza na horyzoncie ukazała się Karioka. Była śliczna jak w tym śnie. Nie miała oczywiście sukni ze złotego brokatu ani nie popijała przy barze whisky, lecz z takim 51

zainteresowaniem spojrzała na Julka, jak gdyby przed chwilą sprzątnął barmana z baru

„Savoya”.

— Nie widziałaś Cegiełki? — zapytał nieśmiało.

— Nie — odparła i usiadła na trawie. Miała na sobie wąskie spodnie w zielono-

-szarą kratkę, letnie sandały i zieloną bluzkę. I jeszcze koszyczek z łyka, a w koszyczku kilka drobiazgów. Julek nie wiedział, czy usiąść, czy dalej sterczeć. Jej krótkie „nie” nie zachęcało do rozmowy. W takich wypadkach najzręczniej rozmawiać o pogodzie.

— Ładny mamy dzień — wykrztusił.

— Rzeczywiście ładny.

— I tak pięknie ptaki śpiewają.

— Naprawdę ładnie.

— I jutro też będzie pogoda.

— Prawdopodobnie.

Zamurowało go. Oto szef gangu, dziewczyna, która chodziła do szkoły dla trudnej młodzieży, a on jej o pogodzie i ptaszkach. Tak się speszył, że nie mógł wydukać najgłupszego słowa.

52

Ona zupełnie się tym nie przejęła. Nawet nie spojrzała na niego, tylko sięgnęła do koszyczka, wyciągnęła paczkę carmenów.

— Palisz?

Julek nie palił, lecz nie wypadało przyznać się. Zapalić też nie wypadało, bo jak by wyglądał, gdyby się zakrztusił. Odparł więc dyplomatycznie:

— Tym razem dziękuje.

Nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia. Wysupłała papierosa, zapaliła. I znów dłuższy czas panowała przygnębiająca cisza. Karioka zachowywała się jak dama ze srebrnego ekranu, on — jak ostatni pętał. Męczył się, nie wiedząc, jak nawiązać rozmowę. Głowę miał coraz bardziej pustą i coraz większy wstyd go ogarniał. Tymczasem ona paliła i puszczała dym nosem, jakby urodziła się z papierosem w ustach. Wreszcie nie wytrzymał i palnął:

— Kiedy nareszcie przyjdzie ten Cegiełka?

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Co się tak denerwujesz?

— No, bo miał być.

53

— Siadaj i nie wierć się, bo strasznie śmiesznie wyglądasz.

Usiadł o dwa kroki od niej. Czekał, kiedy zacznie opowiadać o planach napadu na bank, o sprawach, od których włosy dęba stają na głowie, a ona tymczasem sięgnęła do koszyczka i wyjęła tabliczkę czekolady.

— Lubisz czekoladę? — zapytała.

— Tak sobie — odparł, odłamując najmniejszy kawałek.

— A która aktorka najbardziej ci się podoba?

„Egzaminuje mnie — pomyślał. — Muszę się dobrze trzymać, żeby się nie skompromitować”.

— Żadna — powiedział zuchowato. — Mnie te rzeczy nie imponują.

Myślał, że to męskie oświadczenie zrobi na niej piorunujące wrażenie, lecz ona spojrzała nieco uważniej i sięgnęła znowu do koszyczka. Po chwili wyjęła portfelik, a z portfelika fotografię.

— To mój chłopiec — powiedziała, podając mu zdjęcie.

„Chce zaznaczyć, że nie mam u niej żadnych szans”.

Patrzył na fotografię, lecz zamiast podobizny widział jedynie mglistą plamę.

54

— Klasa chłopiec, no nie? — zapytała.

— Klasa.

— Ze Szkoły Morskiej. Był w Gibraltarze, a z Kairu przysłał mi zdjęcie. On z kolegą na dwugarbnym wielbłądzie. Kocha się we mnie, ale ja go lekceważę.

— Dlaczego?

— Bo kocham się w innym.

— No, pewno — wymamrotał ni w pięć, ni w dziewięć. Cóż dla niej, szefa gangu, jakiś marynarz ze Szkoły Morskiej. Stać ją na coś lepszego. — W kim się kochasz?

— W Burcie.

— W Burcie?

— No, w Burcie Lancasterze. Nie znasz Burta?

— Fiu! . . . — świsnął przez zęby.

Jakże mógłby nie znać Burta Lancastera, szkarłatnego pirata, który na Morzu Kara-ibskim napadał na hiszpańskie karawele i jednym cięciem potrafił kłaść trzech żołnierzy (w filmie oczywiście), a do tego z najwyższej rei skakał na pokład i nic mu się nie stało.

— Nawet do niego pisałam — dodała.

55

— Znasz adres?

— Nie. Napisałam po prostu: Burt Lancaster — Hollywood. Myślę, że go wszyscy znają.

— To jasne. I co, odpisał?

— Jeszcze nie.

— Świnia. Ja bym ci już dawno odpisał.

— Widocznie jest bardzo zajęty.

— Tak — starał się ją pocieszyć. — Z aktorami to tak zawsze, albo kręcą filmy, albo się rozwodzą. Ciekaw jestem, ile już żon miał Burt?

— Jedną. Podobno jest wzorowym mężem i ojcem.

— To nie masz u niego szans.

— Nie — westchnęła. — Ale czasem tak przyjemnie jest pomarzyć.

— Właśnie — zawtórował jej westchnieniem — ja też marzę, żebyście mnie przyjęli do gangu.

— To się jeszcze okaże. . .

56

Chciał zapytać, co się ma okazać, lecz nie zdążył, bo właśnie w tej chwili pod kasztanem zjawił się Cygan. W melinie Cygan cały czas stał za Julkiem, więc ten nie mógł go nawet zobaczyć.

Wyobrażał go sobie jako wysokiego, silnego, tymczasem ujrzał przed sobą szczupłego, drobnego i delikatnego chłopca. Miał czarne kędzierzawe włosy, śniadą twarz i duże, ciemne, niemal granatowe oczy. Jednym słowem, egzotyczny typ. Ubrany był

trochę jak cyrkowiec, a trochę jak kolarz podczas Wyścigu Pokoju: spodnie z granatowej popeliny, do tego fioletowa koszulka w żółte pasy i czerwona czapka z wielkim daszkiem, a na nogach czarne buty o długich czubach. Można powiedzieć, cały w tę-

czowych barwach, a przy tym szyk i elegancja: spodnie zaprasowane, czapka z fantazją na uchu, a fryzura według najnowszych wymogów beatlesowskiego stylu.

— Się masz — przywitał Kariokę. Julka nie raczył drasnąć nawet spojrzeniem. Pod ramieniem trzymał sporą paczkę zawiniętą starannie w papier. Uśmiechał się ni to chytrze, ni tajemniczo. I po chwili dodał:

— Nareszcie pożyczyłem. . .

— Pewno skrzypce?

57

— Zgadłaś.

Uklęknął na trawie, położył przed sobą paczkę, zaczął ją ostrożnie rozwijać. Karioka przypatrywała się z kpiącym uśmiechem.

— Komuś zdmuchnął?

— Mówię ci, że pożyczyłem.

— Od kogo?

— Tajemnica. . . — błysnął niebieskawymi białkami oczu i zdrowymi zębami. —

Cud, nie skrzypce. Teraz będę mógł grać w knajpach i na weselach.

— Muzykant!

Cygan wyjął z opakowania czarny futerał, pogłaskał go, a potem ostrożnie otworzył.

Wyjął skrzypce. Oczy błysnęły mu żywiej. Ujął instrument delikatnie, jak coś bardzo kruche, i smagłymi, długimi palcami szarpnął struny.

— Słyszysz?

— Phi. . . — wydeła wargi. — Ty lubisz skrzypce, a ja wolę saksofon i elektryczną gitarę.

Julek chciał zwrócić na siebie jego uwagę. Chrząknął i powiedział: 58

— Grasz z Cyganami?

Elegant posłał mu zaczepne spojrzenie.

— Ja nie Cygan, mnie tak tylko nazywają.

— Przepraszam.

— Nie ma za co. . . I w ogóle co ty tu robisz?

— Daj spokój — wtrąciła Karioka — to swój chłopak. Przyjmujemy go dzisiaj do gangu.

— Jego? — zdziwił się elegant. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tej chwili na ścieżce ukazał się Filipek.

Filipek był po prostu Filipkiem i drugiego takiego nie było na świecie. Wyglądał

jak wyrosnięty nad normę osesek: pulchny, różowy, z zalotną grzywka, tylko go sfoto-grafować i dać jako reklamę płatków owsianych albo bevitano. Tak właśnie wyglądał

Filipek, póki nie spojrzał na człowieka. Bo spojrzenie miał chłodne i uważne.

— Ciao — powiedział na przywitanie.

59

— Się masz — odpowiedzieli mu Karioka i Cygan. Julek milczał. Wstydził się, że dał się nabrać takiemu konusowi. Udał, że go nie spostrzega. Nic mu to jednak nie pomogło. Filipek skierował się wprost do niego:

— Masz te szelki?

— Nie.

— To znaczy Cegiełka ci nie oddał?

— Oddał, tylko nie przyniosłem.

— Szkoda, bo byśmy zahandlowali.

— Nie wierz mu — zaśmiała się Karioka. — On co drugie słowo buja.

Filipkowi nawet nie drgnęła powieka. Twarz miał nieruchomą jak kauczukowa lalka i oczy wbite w Julka.

— Muka — powiedział spokojnie. Było to jego ulubione słowo, którym wyrażał

wszystkie swe uczucia: gniew, radość, zdziwienie, smutek. . . W tym wypadku „muka” zabrzmiało szyderczo i wzgardliwie. — Moglibyśmy zahandlować — powtórzył. —

Dałbym ci oryginalny angielski długopis na trzy kolory: czarny, niebieski i czerwony.

Cud nowoczesnej techniki.

60

— Dziękuję — odparł Julek — mam kilka takich w domu.

— To niemiecki scyzoryk ze szwedzkiej stali.

— Dziękuję ci.

— Może rasowego królika duńskiego? Jego ojciec dostał pierwszą nagrodę na wystawie w Garwolinie.

— Królików nie hoduję.

— To dwa fantastyczne znaczki, Trynidad i Jamajkę. Takich nawet na Świętokrzyskiej nie dostaniesz.

— Znaczków nie zbieram.

— A może byś chciał amerykańską maszynkę do skręcania papierosów? Skręca nawet liście bukowe. Pierwszorzędna jakość. Jedyna okazja. Dawali mi za nią dwa pocztowe gołębice.

— Dość — przerwała mu zniecierpliwiona Karioka. — Ty byś nawet siebie prze-handlował, ale nikt za ciebie nie da grosza.

Filipek spojrzał na nią nieruchomymi oczami. Nic go nie mogło zrazić. Zaofiarował

jeszcze kotkę syjamską, zapalniczkę z rozpylaczem, piłkę do rugby, rękawice bokserskie 61

byłego mistrza świata wszechwag Pattersona i kilka bezcennych przedmiotów, a gdy Julek pozostał obojętny i chłodny na jego oferty, splunął z odrazą.

— Muka. . . Gdzieś ty się, człowieku, wychował?

Julek nie zdążył mu odpowiedzieć, gdyż zjawił się właśnie Cegielka. Szedł wolno, ospale. Ręce wbił w kieszenie, a oczami zamiatał ścieżkę.

— Na ciebie zawsze trzeba czekać — przywitała go Karioka.

Cegielka zatrzymał się kilka kroków od kasztana.

— Jak pech, to pech — powiedział z żalem.

— Nie usprawiedliwiał się! — zawołał Cygan.

Cegielka wzruszył ramionami.

— Dostałem wczoraj od Franka Sałygi dwie nowiutkie lampy tranzystorowe, wsadziłem w komórce za dechy, a mój stary musiał wywachać. . . Wyniósł i opylił na bazarze. I jeszcze oberwałem za to, że się o swoje upomniałem.

— Nie rozczulaj się nad sobą. Jak się ma takiego ojczulka, to trzeba uważać.

— A nad kim mam się rozczulać? Nad tobą? Miałem już cały komplet lamp. Myślałem, że skończę odbiornik, a teraz co?

62

— Muka — powiedział Filipek. — Zaczynamy, bo znowu się pokłócicie.

2

Kłócić zaczęli się dopiero w Klondike. . .

Szli wszyscy do meliny przy kortach; Karioka pierwsza jako szef gangu, a Julek Seratowicz ostatni, bo jeszcze do nich nie należał. Skóra mu cierpła na grzbiecie, nogi miał ciężkie, a w głowie chaos. Nie wiedział, czy go przyjmą. Mogą przecież zapytać:

„Coś do tej pory robił? Czym możesz się wykazać?” A on nie zabił nawet muchy. Szedł więc jak na ścięcie, a im bliżej byli szopy, tym mniej ochoty miał na to przyjmowanie.

Gdy przyszli pod szopę, stwierdzili, że drzwi są zamknięte na olbrzymia kłódkę. Julek ucieszył się. Może odłożą przyjmowanie. Może się rozmyślą. Nie liczył się z tym, że dla gangu kłódka nie stanowiła przeszkody, raczej nadawała uroku chwili. Oto Cegielka 63

okrzyżł szopę, wynalazł w ścianie dwie rozchwiane deski, pięknie je wyjął i wnet cała paczka znalazła się w melinie.

Julek wszedł ostatni. W tej chwili wolałby wysłuchiwać Krzysia Sekocińskiego, jak opowiada o kokluszu Napoleona, niż stanąć oko w oko z tymi typami. Nie wypadało jednak wycofać się.

Było ciemno i duszno. W powietrzu unosił się mdły zapach zwiędłych liści i torfu.

Julek pocił się, zasychało mu w gardle. Oni tymczasem, jak na komendę, założyli na twarze czarne maski. Zrobiło się jeszcze ciemniej i groźniej. Wreszcie odezwała się Karioka:

— Jak się nazywasz?

— Julian Seratowicz — odparł ciekim głosem.

— Czy gotów jesteś na wszystko?

— Tak.

— Czy potrafisz wyprzeć się siebie?

— Potrafię.

— I nigdy nie zdradzisz gangu?

64

— Nigdy.

— I gotów jesteś poświęcić życie za nasz gang?

— Jestem gotów — wystękał.

Karioka westchnęła uroczyście, inni też westchnęli, a pod Julkiem ugięły się nogi.

Chciał uciekać, lecz nie wiedział, gdzie znajduje się tajemne wejście, które Cegielka zasunął deskami.

Karioka chrząknęła z namaszczeniem.

— Czy przyjmujemy Juliana Seratowicza do naszego gangu?

— Nie — odezwał się w ciemności piskliwy głos Filipka. Najmłodszy członek gangu mścił się w tej chwili za szelki.

— Nie wygłupiaj się, szczeniaku! — zawołał Cegielka. — Wczoraj zabrałeś mu szelki, a teraz się szarpiesz. Ja jestem za tym, żeby przyjąć Julka do gangu, i już.

— A ja nie — powiedział spokojnie Filipek.

— Dlaczego? — zapytała Karioka.

— Bo mi się nie podoba — odpalił tym samym monotonnym głosem.

— Ty mi się też nie podobasz — zaperzył się Cegiełka.

65

— Czy my wiemy, co to za jeden? — odezwał się Cygan.

Cegiełka doskoczył do Cygana.

— Może tobie też się nie podoba?

— Zdaje mi się, że mięczak.

— A ja ci mówię, że klasa chłopak. — Stał na środku szopy, zdarł z twarzy maskę i walnął się pięścią w chudą pierś. — Nie lubię takiego gadania. Wczoraj wieczorem chcieliście go przyjąć, a dziś nie. To po coście go tu wołali?

Seratowicz zadał sobie to samo pytanie: „Po co mnie tu przyprowadzili? Czy nie mogli mi tego powiedzieć pod kasztanem? Przynajmniej nie musiałbym się pocić”. Było mu coraz duszniej. Czuł, że jest już zupełnie mokry, a koszula klei się do pieców. Chciał

coś powiedzieć, ale gardło miał jak z drewna.

Po chwili odezwała się Karioka:

— Uspokój się, Cegiełka, przecież umówiliśmy się, że przyjmujemy jednogłośnie.

— Zgadza się! — zawołał Cegiełka. — Tak powinno być, bo gang to jedna paka.

Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Ale w takim razie niech powiedzą, dlaczego nie chcą przyjąć Seratowicza?

66

— Bo mi się nie podoba — powiedział Filipek.

Cegiełka uniósł ręce rozpaczliwym gestem.

— Gadaj tu z takim! Jak się uprze, to nie ma na niego siły. — Doskoczył do Filipka, złapał go za koszulę i jednym szarpnięciem przyciągnął do siebie. — Ty, przecież wczoraj mówiłeś, że się zgadzasz.

Filipek nawet nie mrugnął.

— Wczoraj było wczoraj, a dzisiaj mi się nie podoba.

Cegielka odepchnął go od siebie.

— Idź do mamy, bo nie mogę na ciebie patrzeć. Dobra, ja też mogę powiedzieć, że Filipek mi się nie podoba. . . I Cygan mi się nie podoba. . . I mówię wam, jeśli nie przyjmiecie Seratowicza, to ja pryskam.

— No, nie — jęknął Cygan — jak ci tak zależy, to możemy go przyjąć.

— I ja jestem za tym — powiedziała Karioka.

— Muka — szepnął Filipek. — Niech będzie. — Podszedł do Julka wolnym krokiem i wyciągnął rękę. — Niech już będzie. Tylko nie bądź taki ważny i przynieś szelki.

Możemy zahandlować.

67

Teraz wszyscy okrążyli Julka, klepali go po plecach, ściskali, a Cegielka objął go mocno i powiedział:

— Cieszę się, bracie. Zobaczysz, że będzie dobrze.

Stało się! Julek Seratowicz został przyjęty do gangu.

Przestał być maminsynkiem, płaksą, Lulusiem. . . Stał milczący na środku szopy, przebierał nerwowo palcami, w oczach miał łzy.

Karioka zbliżyła się do niego, podała mu czarną maskę.

— Julianie Seratowiczu, zostałeś przyjęty do gangu Karioki.

Julek włożył maskę na twarz i dopiero wtedy naprawdę się przestraszył. Miał takie uczucie, jak gdyby ziemia usuwała się spod niego, a on zostawał w zupełnej pustce. Po chwili usłyszał głos Karioki.

— No, wiara, teraz musimy wziąć się do roboty.

Powiedziała to z takim zapalem, że Julek gotów był w tej chwili zrobić napad na bank, rozbić kasę ogniotrwałą, wykoleić pociąg, w którym wieziono sztaby złota, ba, sprzątnąć barmana z baru „Savoya” i prysnąć z Karioką do Nowego Meksyku. Na szczę-

68

ście nie musiał nawet kiwnąć palcem w bucie, bo w tej samej chwili stała się rzecz, która wstrząsnęła całym gangiem.

Oto jedna z obluźwanych desek upadła z łoskotem, jak gdyby pchnięta niewidzialną siłą, a przez dziurę w ścianie wleciał do szopy kamień. Wszyscy stanęli jak sparaliżowani.

Pierwszy opanował się Cegiełka. Zbliżył się ostrożnie do kamienia, schylił się i podniósł go tak delikatnie, jakby to była bomba plastikowa. Przyglądał mu się dłuższą chwilę. Nagle zawołał:

— List! Niech mnie dzięcioły zadziobią!

Wszyscy rzucili się ku niemu. Cegiełka trzymał w dłoni kamień owinięty papierem i przewiązany sznurkiem. Podszedł do dziury w ścianie, zwrócił się ku światłu. Zerwał

sznurek, odwinął arkusz papieru i starannie wygładził go na kolanie.

— Czytaj! — rozkazała Karioką.

Cegiełka przełknął ślinę i zaczął czytać drżącym z przejęcia głosem: 69

Szczeniaki! Patałachy! Partacze! Zabieracie się do roboty, o której nie macie zielonego pojęcia. Jeżeli chcecie zorganizować prawdziwy gang, to przyjdźcie dzisiaj o osiemnastej na Stadion Dziesięciolecia, sektor trzydziesty trzeci. To. . .

W tym miejscu Cegiełka zakrzuszył się, głos utknął mu w gardle.

— To co? — zawołał Cygan.

Cegiełka spojrzał nań z pogardą.

— Nie: to co, tylko: Tolek Banan! Podpisany pod listem!

Gangsterzy stali jak zahipnotyzowani, a potem nagle rzucili się na kartkę. Każdy chciał sprawdzić, czy Cegiełka nie buja.

Nie bujał, to fakt. Pod listem, czarno na białym, widniał wyraźny podpis: Tolek Banan, a pod podpisem jeszcze kilkanaście słów:

Jeżeli ktoś piśnie słówko o tym spotkaniu, to koniec z nim i z całym gangiem. Hasło — Floryda, odzew — hipopotam.

— Dlaczego właśnie hipopotam? — zapytał Filipek, ale nikt mu nie wyjaśnił, bo wszyscy byli oszołomieni. Zanosilo się na wielką sensację.

Kilka minut przed osiemnąstą byli na stadionie, przy wejściu do sektora trzydzieste-go trzeciego. Nie wiedzieli jednak, czy usiąść na górze, czy na dole. Po krótkiej naradzie usadowili się w środkowych rzędach. Czekali w milczeniu.

Pierwszy odezwał się mały Filipek:

— Karioka nie przyszła.

Cegielka strzyknął śliną przez zęby.

— Obraziła się. Powiedziała, że Tolek Banan jej nie zaimponuje.

— To fakt — wtrącił Cygan. — Głupio jej, że już nie jest szefem. Honorowa.

Cegielka uniósł ręce gestem zdumienia.

— Człowieku nieć takiego szefa to przecież zaszczyt.

— To fakt — powtórzył Cygan — ale jej nie wypada być zwykłym gangsterem. Ma ambicję.

Julek Seratowicz westchnął żałośnie:

— A szkoda. . .

71

Cegielka trącił go łokciem.

— Pewno, że szkoda. Podoba ci się, co?

— Ładna dziewczyna — stwierdził Julek. — I w ogóle w gangu powinna być zawsze przynajmniej jedna spódniczka. Tak jak w filmie.

— Ładna — odezwał się mały Filipek — ale jak na szefa gangu to za słaba. Brak jej krzepy i doświadczenia.

— A jednak szkoda — powiedział jakby do siebie Julek. Zamilkli. Każdy pogrążył się we własnych myślach.

Zastanawiali się, skąd Tolek Banan dowiedział się o ich gangu. Dlaczego chciał ich zorganizować? Im dłużej myśleli, tym puściej mieli w głowie. Była to pustka niemal idealna.

Julek starał się wyobrazić sobie Tolka Banana. Dopomógł mu pewien film francuski (dozwolony od lat czternastu), w którym występował pewien zbieg. Zamknięto go niesłusznie w więzieniu, a on nic nie robił, tylko kombinował, jak zwiać. Udało mu się wreszcie wymknąć przez wykop podziemny, a potem przechowywała go u siebie pod podłogą pewna pielęgniarka ze szpitala więziennego. Był to

twarży, miał bliznę na policzku, a potem, gdy już uciekł, chodził w czarnym golfie. Tak właśnie Julek wyobrażał sobie Tolka Banana.

Siedzieli więc w wielkim napięciu, z oczami wlepionymi w koronę stadionu i milczeli. Julek spojrział na zegarek. Dochodziła właśnie osiemnasta. Z bijącym sercem śledził wskazówkę sekundnika, jakby za kilkanaście sekund miało nastąpić trzęsienie ziemi.

— Szósta — powiedział.

Minęło jeszcze kilka sekund i wtedy na samej górze ukazała się ciemna sylwetka.

Zastygli w oczekiwaniu i słyszać było tylko ich przyspieszone oddechy.

Młody człowiek zatrzymał się, spojrział w dół i zaczął schodzić wolno, miękkim, elastycznym krokiem. Był wysoki, szczupły, ruchy miał wolne, jakby je starannie odmierzał. Nie był w czarnym golfie, jak sobie wyobrażał Julek, lecz miał na sobie obcisłe dżinsy i granatową koszulkę polo.

Z zapartym tchem śledzili każdy jego krok, a on szedł nie patrząc nawet na nich.

Dopiero gdy ich minął, zawrócił i wszedł między ławki. I nagle zatrzymał się przed nimi.

73

— Na kogo czekacie? — zapytał spokojnym, lecz mocnym głosem.

Nikt nie puścił pary z ust. Wiedzieli, że nie wolno zdradzić tajemnicy. Młodzieniec patrzył wyzywająco, a potem uśmiechnął się po przyjacielsku, jak gdyby znał ich od dawna.

— Hasło? — zapytał.

— Floryda — odparł szeptem Cegielka i wnet jeszcze ciszej zapytał: — Odzew?

— Hipopotam — powiedział młodzieniec. — A teraz mówcie: na kogo czekacie?

— Na Tolka Banana — wyrwał się pierwszy Filipek. Młodzieniec powiódł po nich badawczym spojrzeniem.

— To ja jestem Tolek Banan.

Zrobiło się jeszcze ciszej, jak gdyby wszystko dokoła zamarło. Nie mogli uwierzyć, że przed nimi stoi Tolek Banan; ten sam, o którym tyle pisano w „Expressie” i w

„Kulisach”; ten, który nieszczęśliwym ludziom rozesał wspaniałomyślnie po dziesięć patyków. Stał uśmiechnięty i patrzył na nich lekko zmrużonymi oczami. Inaczej go sobie wyobrażali. Miał być tajemniczy, demoniczny, nieosiągalny, jak bohater filmu lub sensacyjnej powieści, tymczasem

wyglądał na ich starszego kolegę. Szczupły, wysoki, 74

wysportowany. Twarz jasna, niemal pospolita, jasne, krótko przystrzyżone włosy, oczy szare i bystre spojrzenie.

Podszedł do Filipka, ujął go pod brodę.

— Ty jesteś Filipek, prawda?

— Muka — powiedział malec. — Zgadza się. A skąd mnie znasz?

— Muka — sławny Tolek Banan zmrużył porozumiewawczo oko. — Do mnie mówi się: szefie, bo inaczej palnę w ucho.

— Tak jest, szefie — wydusił z trudem Filipek.

— Pojętny z ciebie chłopak. Nie trzeba ci dwa razy powtarzać. — Wolnym ruchem wyjął z kieszeni paczkę amerykańskiej gumy do żucia, podrzucił ją kilka razy w dło-ni. — Zahandlujemy?

— Daję dychę — zawołał malec i sięgnął po paczkę. Tolek trzepnął go po palcach.

Rozdarł opakowanie częstował wszystkich po kolei.

— Muka. Ze mną nie ma handlu.

Cygan zachichotał cienko i nedorzecznie. Spojrzeli nań karcąco. Przy Tolku Bananie nie wypadało chichotać. Chłopiec natychmiast zdławił uśmiech, lecz i tak nic mu to 75

nie pomogło. Tolek Banan był już przy nim. Złapał go za klamerkę paska, przyciągnął do siebie.

— Cygan, artysta, muzyk. . . Znamy się, bracie. Słyszałem, jak grałeś w barze „Pod Wiaduktem”. Zupełnie dobrze. Masz talent.

Cygan wzruszył ramionami.

— Co robić, trzeba czasem zapracować.

— Masz talent — powtórzył z uśmiechem — nie tylko do gry na skrzypcach.

Powiedz, chłopie, skąd masz ten nowy instrument?

— Ja?. . . — zająknął się, a dla zatuszowania zmieszania błysnął łobuzersko białymi zębami. — Pożyczyłem w świetlicy fabrycznej.

— Na pewno pożyczyłeś?

— Oddam po wakacjach. Im i tak niepotrzebny. Gnije w magazynie.

— Ciekawe — Tolek pokręcił z niedowierzaniem głową. Chłopiec pokraśniał nagle, skrzywił się płaczliwie.

— Co miałem robić, kiedy stare zupełnie mi się rozleciały.

— Jasne, że on odda — wtrącił Cegiełka.

76

Tolek Banan przeniósł spojrzenie na Cegiełkę. Cofnął się o pół kroku, jakby chciał go dokładniej obejrzeć.

— Cegiełka, jeśli się nie mylę — powiedział nie spuszczać z niego wzroku. —

Powiedz, kolego, dlaczego tak cię nazywają?

Twarz Cegiełki stężała, jego złociste oczy nabrały ostrego wyrazu.

— Rozmaicie bywa, szefie. Nie chciałem mu dosolić. Nerwy nie wytrzymały. . . —

urwał nagle i spojrzał wyzywająco.

— Stuknąłeś go połówką cegły.

— Akurat to miałem pod ręką, szedł na mnie z gazrurką. Widział szef Mańka Kiziaka? On dwa razy taki jak ja. Co miałem robić? Zahaczył mojego starego. . . Ja z nim nie zaczynałem. . .

Tolek Banan pokręcił głową.

— Nie lubię takich numerów. Lubię czystą robotę. Jeżeli chcecie ze mną pracować, musicie wybić sobie z głowy takie draki.

— Heee. . . — chrząknął Filipek. Nikt nie wiedział, co chciał przez to wyrazić. Może próbował pogrążyć Cegiełkę. Miał z nim przecież na pieńku za szelki Julka.

77

Jednym słowem wyrwał się zupełnie niepotrzebnie, bo Tolek łypnął na niego.

— A ty co?

— Ja?. . . — zająknął się mały. — Ja też tak myślę, że szef nie lubi partaniny, tylko wielkie skoki.

Tolek trącił go żartobliwie w ramię. — Łapiesz w mig i masz głowę na karku. —

Naraz rozejrzał się i zahaczył: — A gdzie. . . Karioka?

— Obraziła się — wyjaśnił Filipek.

Cygan zapytał:

— Skąd szef wie, że ona była z nami?

Tolek uśmiechnął się tajemniczo.

— Była waszym szefem.

— Tak — wyszeptał Julek Seratowicz.

Stał z boku. Wiedział, że teraz szef dojdzie do niego. Drżał z podniecenia i zdziwionymi oczami wodził po twarzy Tolka, śledził każdy jego ruch. „Geniusz — myślał. —

Wszystko wie. Ale skąd? Przecież do tej pory nikt go nie widział w tej okolicy. Widocznie posiada jakieś nadprzyrodzone zdolności. Teraz kolej na mnie. Skoro Tolek Banan 78

znał najgłębsze tajemnice, nie warto nic przed nim ukrywać. Powiem mu wszystko, jak jest. Przyznam się, że wrzuciłem do ubikacji szczotkę do butów, a potem murarze musieli rozbijać całą ścianę. Wszystko powiem, jeśli tylko zażąda”. Czuł, że szef patrzy na niego, zbliża się, jest tuż. . . I nagle usłyszał jego spokojny głos:

— Ciebie nie znam. Co robisz w tym towarzystwie?

— Myśmy go dopiero dzisiaj przyjęli — wyjaśnił pospiesznie Cegielka.

Tolek przechylił głowę i przyjrzał mu się uważniej.

— Jak się nazywasz?

— Julek Seratowicz.

— Gdzie mieszkasz?

— Na Dąbrówki.

— Powiedz, dlaczego chciałeś należeć do gangu?

Julek opuścił głowę. Patrzył pod stopy na gruby żwir i kilka papierków walających się między ławkami. Wiedział, że teraz ważą się jego losy. Chciał coś odpowiedzieć, lecz w głowie miał zupełny zamęt i nic odpowiedniego nie przyszło mu na myśl. Tolek mocniej ścisnął jego ramię.

— Szukasz kolegów, przyjaciół?

— Tak.

— On fajny chłopak — powiedział Cegiełka.

— Zobaczymy — szef puścił ramię Julka, spojrzął mu w oczy, długo i dociekliwie, jakby go chciał przejrzeć do głębi. Potem uśmiechnął się. — Radzę ci, zastanów się, żebyś potem nie żałował. — Naraz usiadł między chłopcami, walnął się dłonią w kolano i powiedział wesoło: — No co, wiara, robimy porządną pakę czy nie?

— Muka! Jasne, że robimy — wyrwał się pierwszy Filipek.

— To świetnie. Siadajcie. — A gdy usiedli, stanął naprzeciw nich, postawił nogę na ławce, wsparł się o kolano i ogarnął ich bystrym spojrzeniem. — Nie ma na co czekać, jak robić, to zaraz. Zgadza się?

— No, jasne! — zawołał Cegiełka.

— Dobrze — powiedział z namysłem — będę waszym szefem, tylko muszę wam wyjaśnić pewne sprawy. — Jego głos nabrał mocy, a spojrzenie stało się twarde i nie-ustępliwe. — Po pierwsze, wicie, że mnie szukają. Jeżeli ktoś tylko piśnie, mogą mnie nakryć.

80

— To się wie — wyszeptał Cygan.

— A więc, ani pary z ust. Nikt nie zna Tolka Banana, nikt o nim nie słyszał. Tolek przestał dla was istnieć. A gdy ktoś o mnie zapyta, jestem Szymek Krusz, uczeń technikum komunikacyjnego. Zapamiętajcie: Szymek Krusz.

— Szymek Krusz — powtórzył jak echo Filipek.

— To pierwsze. Drugie, musicie mnie słuchać. Dyscyplina i posłuszeństwo to najważniejsze rzeczy w gangu. A ja, daję wam słowo, nie będę wymagał od was rzeczy niewykonalnych. Po trzecie, gang musi być zgrany. Inaczej daleko nie zajdziemy.

— Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego — powiedział drżącym głosem Cegiełka.

— I gang musi być wspaniale zorganizowany. Dzisiaj bez organizacji ani rusz. Stawiam wam trudne warunki, ale jeśli ktoś z was nie zgadza się, to może odejść od razu. —

Cofnął się w pół kroku i powtórzył: — Kto się nie zgadza, niech lepiej odejdzie teraz.

Nikt się nie ruszył.

I tak powstał sławny gang Tolka Banana.

*

*

*

Stadion cały w słońcu, na dole zielona płyta boiska otoczona czerwoną bieżnią, po-

środku kręci się automatyczna polewaczka, a strugi wody układają się w kształt kwiatowego kielicha, pyka mały walec ubijający bieżnię. Nad stadionem niebo jak błękitny namiot, a wokół coś tajemniczego. Tolek stoi z rękami wspartymi o biodra i patrzy na nich, a oni patrzą na niego. I nikt nie potrafi wypowiedzieć słowa. Wszyscy wiedzą, że zaczęło się coś niezwykłego.

— No, to bardzo się cieszę — Tolek Banan uśmiechnął się, każdemu mocno uściśnął dłoń i spojrzał w oczy, jak gdyby chciał go jeszcze raz wypróbować.

— Szefie, kiedy zaczynamy robotę? — wyrwał się Filipek.

— Jutro — odparł z namysłem. — Jutro punktualnie o dziewiątej zbiórka w melinie.

— W Klondike? — zapytał Julek.

— Tak nazywamy naszą melinę — wyjaśnił Cygan.

— W Klondike — potwierdził Tolek Banan. — Wszystko musi być jak w zegarku.

Jeżeli ktoś się spóźni, może w ogóle nie przychodzić.

— Się wie! — zawołał Filipek. Spojrzał na zegarek.

— A teraz cześć, wiara, muszę odpływać.

— Cześć, szefie — pożegnali go chórem.

Odwrócił się, spokojnym krokiem zaczął podchodzić na koronę stadionu. Kiedy był już na górze, skinął im ręką. Długo milczeli, wpatrzeni w miejsce, gdzie zniknął.

ROZDZIAŁ TRZECI

Cegielka skrobał się za uchem.

— Ale nam wszystkim dosolił. Fenomen, daje słowo, o każdym z nas wie, jakby był jego rodzoną matką.

— Genialny — wyszeptał z przejęciem Cygan. — Skąd skapował, że ja podiwaniłem te skrzypce ze świetlicy?

— Phi — zaśmiał się Filipek — on ma pelepapiczne zdolności.

84

— Jakie? — wtrącił Julek. — Chyba: telepatyczne.

— Niech będzie, grunt, że potrafi cię prześwietlić jak aparatem rentgena. Nic przed nim nie da się ukryć. Takiego szefa nam trzeba.

— Ciekaw jestem — powiedział Cygan — jaką da nam robotę?

— O to się nie martw — odparł Cegiełka. — Słyszałeś, że mówił o nowoczesnej organizacji. Tolek Banan ma złotą główkę. Jak coś wymyśli, to znowu będzie sensacja największego kalibru. Na pierwszej stronie „Expressu” się nie zmieści. Bomba, niech mnie drzwi ścisną!

— Tylko żeby nie kazał rozdawać nam forszę staruszkom albo sierotom — zauważył Filipek.

— Nie — zadrwił Cygan — on wszystko tobie odpali, żebyś miał za co założyć budkę na bazarze.

— Muka — zaśmiał się Filipek. — Może ci kupi elektronowe organy?

— Spokój, wiara — przerwał im Cegiełka. — Co się będziemy spierać. Jutro o dziewiątej dowiemy się o wszystkim.

85

Julek Seratowicz milczał. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że on, największy patałach, został członkiem gangu sławnego Tolka Banana. Był zupełnie oszołomiony.

Przestępował z nogi na nogę i ciągle jeszcze spoglądał na górę stadionu. Wydało mu się, że to, co przeżył, było tylko snem.

— Co ci się stało? — wyrwał go z zamyślenia Cegiełka. — Może masz pietra?

— Nie — odparł. — Tylko nie chce mi się wierzyć, że to prawda.

— Mnie też. Fakt zostanie faktem. Chodź, walimy do domu. Mogę cię odprowadzić.

— Słuchaj — zagadnął w drodze Julek — jeżeli jest się członkiem gangu, trzeba być zdecydowanym na wszystko?

Cegielka spojrział na niego z ukosa.

— Się wie.

— I trzeba wyrzec się wszystkiego?

— Jasne, że tak.

— A jak będzie jakaś wsypa?

86

— Słyszałeś, co szef powiedział? Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Jeżeli będziemy się razem trzymać, to nic nam się nie stanie. — Nagle spojrział dociekliwiej. — Te, widzę, że się łamiesz.

— Nie — wyszeptał z trudem. — Jestem zdecydowany na wszystko.

— Ale masz niewyraźną minę.

— Bo myślę. . .

— Nie przejmuj się, bracie. Miej zaufanie do Tolka Banana. Zobaczysz, że będzie pierwszorzędnie. Kto by się spodziewał, że nas przyhaczy.

— Właśnie. . . — wtrącił nieśmiało Julek. — Czy tobie nie wydaje się to dziwne?

— Co takiego? — oburzył się Cegielka.

— To wszystko. Skąd na przykład wiedział o gangu?

— Człowieku, widzę, że nie znasz się na ludziach. On mógł się melinować w szopie na stryszku i usłyszeć naszą rozmowę.

— Dobrze, a skąd zna was wszystkich?

Cegielka gwizdnął przez zęby i nasunął na oczy cyklistówkę.

87

— Śmieszne pytanie. Kto tutaj nie zna naszej paki? Zapytaj dzielnicowego, to zaraz wyśpiewa ci o nas całą litanię.

— Może — wyszeptał bez przekonania Julek.

Byli już na Dąbrówki, przed domem Seratowiczów. Zapadał zmrok. Jarzeniowe lampy płonęły jak sine przecinki na tle stygnącego nieba. W oknach zapalały się światła.

Z daleka płynęła muzyka z głośnika radiowego.

Julek przystanął.

— Wpadnij do mnie. Nigdy jeszcze u mnie nie byłeś.

Cegielka wbił ręce w kieszenie, zadarł głowę i z nie ukrywanym niepokojem przyglądał się domowi.

— Człowieku, czy wy tu sami mieszkacie?

— Tak — odparł Julek.

— Floryda! Zupełnie jak w amerykańskim filmie. Pewno w ogrodzie masz basen kąpielowy?

— Przestań nabijać się ze mnie. To przecież nie mój dom. Ojciec go wybudował.

Mnie wszystko jedno, gdzie mieszkam.

88

— To się tylko tak mówi — pokręcił filozoficznie głową. — Masz swój pokój?

— Mam. O tam, na piętrze, lewe okno. Chodź, to ci pokażę ten aparat fotograficzny, który w ciągu minuty sam wywołuje zdjęcia.

Cegielka wahał się chwilę. Jeszcze raz zerknął na fasadę domu.

— No, proszę cię — Julek pociągnął go za sobą. — Mamy nie ma w domu.

— A fater?

— Ojciec już od pół roku jest w Akrze.

— Niech cię drzwi ścisną — splunął pod stopy. — Akra, bracie, to chyba gdzieś na końcu świata.

— W Afryce, w Ghanie — wyjaśnił chłopiec. — Ojciec buduje tam cukrownię.

— Wszystko jak w „Expressie” — uśmiechnął się z niedowierzaniem. — Jeżeli mi powiesz, że twoja babcia poluje pod biegunem na białe niedźwiedzie, to cześć.

— Myślisz, że bujam?

— Nie, tylko nie chce mi się wierzyć, bo ja — splunął jeszcze raz i dokończył: —

Szkoda gadać, u mnie to mizeria. — Naraz złapał Julka za rękaw. — Ty pewno myślisz, że ze mnie

straszny chuligan, że stuknąłem Mańka Kiziaka. . . Co miałem robić, szedł

89

na mnie z gazurką. Mówił, że mój stary to złodziej i pijus. Stary pije jak bąk, to fakt, ale to i wszystko. . .

Seratowicz patrzył na niego szeroko rozwartymi oczami. Nie wiedział, co powiedzieć. Wypadało jednak skwitować to nagłe wynurzenie.

Zapytał więc:

— Biję cię?

Cegielka wzruszył ramionami.

— Bił, ale teraz nie ma głupich. Jak widzę, że pod muchą, to pryskam z domu. Żal mi tylko matki, bo oberwie nieraz za mnie i za siebie.

— Nie ma na to rady?

— Chcieli go leczyć w takim specjalnym zakładzie, to po dwóch dniach był już w domu. Nie ma na niego siły. Jedna babina ze wsi radziła mamie, jak stary się urźnie, żeby mu pod poduszkę wsadziła zdechłego kota. . .

— Kota?

— No wiesz, są takie różne sposoby. Podobno na pijaństwo najlepszy zdechły kot.

Ale nie na starego. Przespał się z tym kotem do rana, a jak się obudził, pyta: „Co tu tak 90 śmierdzi?” A co dalej było, szkoda gadać. — Westchnął ciężko i dodał po chwili: —

Takie jest życie i nie można się łamać. No, chodź, zobaczmy ten aparat.

Kiedy znaleźli się w hallu, w głębi ujrzeni panią Tecię. Gosposia uśmiechała się przyjaźnie.

— Kolega? — zapytała.

— Tak. Ten sam, co wczoraj.

— No, proszę, proszę — zachęcała Cegielkę. — Tylko wkładajcie pantofle, bo nie będę za wami sprzątać.

Na schodkach prowadzących do hallu Cegielka trącił łokciem Julka.

— Te — szepnął — wstyd mi, ale nogi mam czarne jak święta ziemia. Nie chciałbym zdejmować pepegów, bo wam zatruję powietrze.

— Pójdziemy zaraz na górę. Nikt cię nie zobaczy.

— Wolałbym wyjść. Umyję w Wiśle nogi i wrócę z powrotem. W takim domu to trzeba fruwać w powietrzu.

— Nie przesadzaj — powiedział Julek i pociągnął kolegę za sobą.

Gdy byli już na schodach, usłyszeli z dołu głos gosposi: 91

— Luluś, uważaj tylko na drzwi od strychu, bo ten przeklęty hitlerowiec znowu straszył. Zejdźcie lepiej na dół, to wam wszystko opowiem.

— Jaki hitlerowiec? — zapytał szeptem Cegiełka.

— Upiór — zachichotał Julek.

— To wy nawet upióra na strychu macie? Luksus, niech mnie drzwi ścisną.

— Upiór należy do pani Teci.

— No, złaźcie, chłopcy. Mówię wam, myślałam, że ducha wyzionę.

Nie było rady, musieli zawrócić ze schodów. Cegiełka szedł, kryjąc się za Julkiem, lecz pani Teci tak była zaszokowana swym upiorem, że nawet nie zwróciła uwagi na brudne tenisówki. Z głębokim westchnieniem opadła na kozetkę i zaczęła opowiadać.

— Na własne oczy widziałam. Idę ja na strych, żeby bieliznę zdjąć, przeżegnałam się krzyżem świętym, do świętego Antoniego modlitwę odmówiłam, a duszę mam na ramieniu. Tak się bałam, że nawet oczu nie chciałam otworzyć, ale jak tu iść z zamknię-

tymi oczami. A kiedy byłam już przy drzwiach, tak mi się zdawało, że ktoś tam na górze spaceruje. Jeszcze raz się przeżegnałam, aż tu nagle coś strasznie rymnęło, jakby się stryszek zawalił. . .

92

— Ciekawe — westchnął z przejęciem Cegiełka. — U nas też przez cały rok na strychu straszyło, ale potem się okazało, że to. . .

— Nic się nie okazało — przerwała mu pani Teci. — Jeżeli straszyło, to straszyło.

— Różnie bywa — uśmiechnął się Cegiełka — w parku Skaryszewskim nad jeziorem też straszy.

— A widzisz, a widzisz — pani Teci posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie. —

Ja zawsze pani opowiadam o tym zatrąceńcu, a pani mi mówi, że mam zniszczone wojną nerwy i jakieś tam halucynacje. Niech jej będzie. Gdyby zobaczyła, toby tak nie mówiła.

— No i co było dalej? — zapytał Cegiełka, chowając nogi za fotel.

Pani Teczka potarła końcami palców czoło.

— No więc, jak nie rymnie! Jak nie huknie! Myślałam, że bomba. A ja jeszcze raz zmówiłam modlitwę do świętego Antoniego i wtedy uspokoiło się. . .

— Tak — zabasował Cegiełka — jak się ojciec zaprawi, to mama też się modli.

Święty Antoni najpewniejszy.

Pani Teczka rozwarła szeroko ramiona.

93

— Złoty mój, z ust mi to wyjąłeś. Święty Antoni jest niezawodny.

— A jednak — wtrącił Julek — nie pomógł, bo pani Teczka zobaczyła tego esesmana.

— Ty cicho siedź, bo się na tym nie znasz — ofuknęła go gospośia i skarciła pełnym wyrzutem spojrzeniem. Po chwili zwróciła się do Cegiełki, jakby Julek przestał dla niej istnieć: — Więc kiedy ucichło, otwieram ja drzwi, wchodzę na palcach, patrzę, a ten przeklęty stoi. Mówię ci, straszny! Hełm na głowie, mundur czarny, a zamiast oczu dwie płonące swastyki.

— A pani co?

— A ja w krzyk i już mnie nie było. Po bieliznę pójdę jutro z rana, bo rano nie straszy.

— To się wie — dodał Cegiełka — duchy po nocy odpoczywają.

Pani Teczka ogarnęła go czułym spojrzeniem. Nareszcie spotkała kogoś, przed kim mogła wygadać się. Naraz, jakby sobie coś przypomniała, skinęła na niego ręką.

— A dlaczegoś ty, mój synku, nie zjadł wczoraj polędwicy, com ci przez Lulusia posłała?

Chłopiec zmarszczył brwi, nastroszył się.

94

— Nie byłem głodny — powiedział oschle.

— Na wykarmionego ty nie wyglądasz.

— Szynek z „Delikatesów” mnie nie karmią.

— A honorem się nie najesz — rzuciła z rozbrajającą szczerością. — Może byś dzisiaj coś zjadł? Jest pyszna ryba w galarecie, cielęciny na zimno mogę ci nakrajać. . .

— Nie, dziękuję — przerwał jej ostro i posłał Julkowi pełne zacieklej złości spojrzenie.

Julek wzruszył ramionami.

— Dlaczego odmawiasz pani Teci, skoro cię prosi?

— No, synku, nie bądź taki zادیorny. Z dobrego serca cię częstują. — Podeszła do chłopca i pogładziła go po twarzy. — No, proszę cię, nie odmawiaj.

Cegielka łypnął na nią spod zmarszczonych brwi i naraz na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Jak tak. . . to czemu nie.

— Świetnie — ucieszył się Julek — zjemy razem kolację.

95

2

W tym momencie w hallu zadzwonił telefon.

— Pewno pani znowu dzwoni, że nie będzie na kolacji — powiedziała gosposia. —

Luluś, idź no odebrać telefon, bo mnie dzisiaj strasznie w kościach łamie.

— To ja już sobie pójdę — wyszeptał Cegielka, patrząc niechętnie na telefon.

— Poczekaj, czego się boisz. Mama przecież telefonuje z miasta. — Podniósł słuchawkę. — To ty, mamó? — zapytał.

— Tu Szymek Krusz — usłyszał spokojny głos. — Dobrze, że to ty odebrałaś telefon.

Julek w pierwszej chwili nie zrozumiał, kto do niego dzwoni. „Szymek Krusz? Szymek Krusz?” — powtarzał w myśli. Naraz zachłysnął się powietrzem. Przypomniał

sobie, że Tolek Banan ukrywa się pod tym nazwiskiem.

— Słucham — powiedział drżącym głosem.

— Wiesz, o kogo chodzi?

— Tak jest, szefie — wyrwało mu się nieopatrznie.

96

— Zwariowałaś — powiedział Tolek Banan. — Przecież mówiłem wam, że jestem Szymek Krusz. Sam jesteś w domu?

— Tak. . . to znaczy z Cegiełką i z panią Tecią.

— Kto to jest pani Tecią?

— Nasza gosposia.

— W porządku. Teraz słuchaj uważnie. Jestem w niebezpieczeństwie. Musisz mnie zamelinować. Czy mogę się u ciebie przespać?

Julek zaniemówił. Doznał takiego wrażenia, jak gdyby nagle sufit i ściany zaczęły się walić na niego. Chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł skupić myśli ani wydobyć głosu z zaciśniętego gardła. Po chwili usłyszał ten sam spokojny głos:

— Zrozumiałeś mnie?

— Tak — wyszeptał z trudem.

— Odpowiedz, czy możesz, czy nie?

— Mogę.

— Więc słuchaj i zapamiętaj. Jestem Szymek Krusz, twój starszy kolega. Przyjdę do ciebie po jakąś książkę.

97

— Jaką?

— Nieważne. Coś po drodze skombinuję. Ty będziesz szukał tej książki. Rozumiesz? A potem zobaczymy, jak się ułoży. Bardzo mi na tym zależy. Zastanów się, czy możesz to zrobić dla mnie. Jeżeli nie, to pryskam z Warszawy.

— Mogę! — krzyknął niemal Julek.

— W porządku. Za kwadrans będę u ciebie. Cześć.

— Cześć — powiedział Julek i nagle wszystko zakołowało mu przed oczami. Dopiero gdy Cegiełka stanął przy nim, ocknął się z oszołomienia.

— Gdzie pani Tecią? — zapytał.

— Poszła do kuchni.

— Czy słyszała, co mówiłem?

— Nie. Myśli pewno, że to twoja mama do ciebie telefonowała.

— A ty słyszałeś?

— Szef telefonował, co?

— Skąd on znał mój numer?

— Znalazł w książce telefonicznej. To proste. Ale dlaczego telefonował?

98

— Właśnie — wyszeptał Julek i zaczął gorączkowo opowiadać treść rozmowy, a na końcu powiedział: — Musi być naprawdę w niebezpieczeństwie, skoro szuka nowej meliny.

— No, jasne — podjął Cegiełka. — Depczą mu po piętach, ale nasz szef ma elek-tronowy mózg w głowie. Nie takich już wykiwał. Zamelinuje się u ciebie, i cześć. Kto go będzie szukał u inżyniera Seratowicza, który krzewi polską technikę w Ghanie? Genialny pomysł.

— Genialny — westchnął Julek — tylko żeby nie było wsypy.

Cegiełka spojrział na niego z pogardą.

— Znowu się łamiesz, człowieku. Ty nawet nie wiesz, jaki zaszczyt cię spotkał.

Będiesz mógł swoim wnukom opowiadać, żeś melinował samego Tolka Banana.

— Ale co ja powiem mamie?

— Szymek Krusz, po prostu Szymek Krusz, twój starszy kolega, który chodzi do technikum komunikacyjnego. Możesz spać spokojnie jak nowo narodzone dziecko.

Zamilkł, bo drzwi od kuchni uchyliły się i pani Teczka wołała ich na kolację.

99

— Pierwszorzędna ryba w galarecie — powiedział Cegiełka odsuwając pusty talerz. — Pani powinna wyjechać do Paryża na międzynarodowy konkurs. Pierwsze miejsce murowane. . .

— Na zdrowie — roześmiała się pani Teczka. — A ty, synku, po tej rybce od razu humor odzyskałeś.

— Wiadomo. Moja ciotka z Ochoty, Pendelkiewiczowa, jak zje dobry obiad, to od razu śpiewa najnowsze szlagiery: „Tango kryminalne” i „Bogdan trzymaj się”. Mówi, że w rybach jest dużo fosforu i od tego się mądrzeje. No nie, Julek? — zwrócił się do kolegi.

Julek z grymasem zniechęcenia dziobał widelcem rybę. Nie mógł jeść. Z niepokojem spoglądał w okno, za którym widać było czarne grzywy krzewów, wysoki płot z metalowej siatki i furtkę.

Naraz odezwał się dzwonek. Julek zerwał się od stołu.

— To pewno Szymek po książkę — powiedział głośno.

— Kto? — zapytała pani Teczka.

100

— Kolega! — krzyknął. Rzucił na stół widelec i wybiegł z kuchni. Z daleka poznał zgrabną sylwetkę Tolka Banana. Szef stał tak spokojnie, jakby naprawdę przyszedł

pożyczyć książkę.

— Cześć — przywitał Julka. — Jak się masz? — A potem dorzucił jeszcze gło-

śniej: — Przepraszam cię, stary, że tak późno wpadłem, ale potrzebny mi koniecznie atlas. Masz duży atlas geograficzny?

— Mam — wykrztusił Julek.

Spodziewał się, że zobaczy Tolka wystraszonego, osaczonego przez śledzących go agentów, tymczasem szef był spokojny, opanowany, nawet lekko uśmiechnięty.

— Wszystko w porządku? — zapytał szeptem Tolek.

— Tak, szefie.

— Zapomnij teraz o szefie. Mów do mnie: Szymek, i nie wsyp się. I w ogóle zachowuj się tak, jakby nic się nie stało.

„Łatwo mu tak mówić — pomyślał Julek prowadząc go do wejściowych drzwi. —

Lada chwila może wrócić matka. Gdzie go zamelinować? Co z nim zrobić?”

— Kto jest teraz w domu? — zapytał Tolek na schodkach.

101

— Gosposia i Cegiełka.

— A matka?

— Matka jeszcze nie wróciła.

— To dobrze. Gdzie mnie zamelinujesz?

— Myślę, że na strychu.

— Znakomicie. Na co czekasz, walimy do chaty.

Cegiełka przywitał szefa najczarowniejszym uśmiechem.

— Cześć, Szymek, to wdechowo, żeś wpadł do Julka. Kopę lat cię nie widziałem.

Jak tam ciocia Genia? — bujał, jakby się na pamięć nauczył. — No, ale ja już odpływam. Cześć, wiara! — i dodał szeptem: — Jutro o dziewiątej w Klondike, bez pudła —

a w stronę kuchni zawołał pełnym głosem: — Szanowanie, pani szefowo, dziękuję za rybkę!

— Klasa facet — szepnął Julkowi, kiedy ten otwierał mu furtkę. — Widziałeś, jak trzyma fason? Możesz się sporo od niego nauczyć.

Julek wypchnął go na ulicę i zawrócił biegiem. Kiedy wpadł do hallu, włosy zjeżyły mu się ze strachu. Zobaczył bowiem Tolka Banana w drzwiach kuchni rozmawiającego

z panią Tecią. Gosposia z pełnym zaufaniem uśmiechała się do szefa gangu. Ujrzawszy Julka, zapytała:

— Coś ty taki wystraszony?

— A nic. . . — wybąkał z trudem.

Pani Teczka zachichotała cienko:

— Nie: nic, tylko pewnie boisz się tego zatraconego hitlerowca. — To powiedziawszy zaczęła opowiadać Tolkowi Bananowi całą historię od początku. — Tak, tak —

zakończyła — nasza pani i Luluś udają, że nie wierzą w duchy, a tymczasem trzęsą się ze strachu.

Tolek Banan mrugnął porozumiewawczo do Julka.

— Tak, proszę pani, z duchami rozmaicie bywa. Ludzie niby w nie nie wierzą, ale się ich boją.

— Kawaler dobrze mówi, a jakby miał chęć przekonać się, to mogę wpuścić na nasz strych.

Zapadła cisza. Julek zamknął oczy. Doznał takiego uczucia, jakby spadał w nie kończąca się otchłań.

103

Po chwili usłyszał jednak spokojny, opanowany głos Tolka:

— To już chyba kiedy indziej. No, Julek, daj mi ten atlas, bo muszę już wracać do domu.

3

— Morowy z ciebie chłop — powiedział Tolek Banan, gdy znaleźli się w pokoju Julka. — Już wiem, że mogę liczyć na ciebie. No, a teraz musimy zorganizować mój nocleg, bo nie chcę spać w parku Skaryszewskim ani pod mostem. Masz jakiś koc?

— Mam. A na górze jest materac pneumatyczny. Może go szef nadmuchać,

— W porządku. Pamiętaj: jak wejdziesz na górę, to po chwili zejdziesz i udasz, że mnie odprowadzasz do furtki. Żegnaj się ze mną głośno, żeby gosposia usłyszała.

— Rozumiem. A rano?

104

— Rano musisz wstać o siódmej i uważać, kiedy możesz mnie wypuścić. Jeżeli będzie wolna droga, to staniesz pod drzwiami strychu i zaśpiewasz głośno „Biedroneczki są w kropeczki”. Rozumiesz?

— Tak, a jeśli nie da się szefa sprowadzić?

— O to będziesz martwił się rano. Teraz, zdaje mi się, wszystko gra. No, nie bądź ta-ki wystraszony. Zobaczysz, że wszystko przejdzie gładko. Dawaj ten koc, zanim matka wróci.

Julek wyszedł na korytarz, ze ściennej szafy wyciągnął najgrubszy koc, podał go Tolkowi.

— Pierwszorzędny — szepnął tamten. — Miękki i ciepły. Owinę się i w kimo-no. . . — Trącił przyjaźnie Julka. — Cześć! Pamiętaj, jutro o siódmej, „Biedroneczki są w kropeczki”. Śpij dobrze, a o mnie się nie bój. Jestem pod opieką najwspanialsze-go ducha strychowego z Saskiej Kępy. — To powiedziawszy, otworzył ostrożnie drzwi strychu i za chwilę zniknął za nimi.

Julek został sam. Nasłuchiwał. Spoza drzwi nie dochodził nawet szmer. Za chwilę zszedł na dół. Rozejrzał się. Pani Teczka była w kuchni, matka jeszcze nie wróciła. Wy-105

szedł więc do ogrodu, zbliżył się do bramy, wyjął klucz, otworzył furtkę, zatrzasnął jaz rumorem, a potem powiedział dobitnie w stronę uchylonego okna kuchennego:

— No, cześć. Trzymaj się.

I wtedy ogarnął go lęk. Wydało mu się, że uczynił coś, czego nie powinien uczynić.

Nie mógł zasnąć. Leżał w ciemnym pokoju, nasłuchując z wzrastającym napięciem.

Matka już dawno wróciła. Zajrzała do jego pokoju. Udał, że śpi, więc zamknęła bezszere-lestnie drzwi i zeszła na parter. Potem dom utonął w zupełnej ciszy.

Nie wiedział, kiedy usnął. Dopiero nad ranem zerwał się gwałtownie, bo mu się przyśniło, że cała chmara detektywów ściga go przez bezkresne pustynie Nowego Meksyku. Ucieka oczywiście na helikopterze, szybuje nad skalistą pustynią i z utęsknie-niem wypatruje jakiegoś skrawka życiodajnej zieleni. A pościg się zbliża. Naraz coś prychnęło w silniku i helikopter opada na skały. Ziemia coraz bliżej, coraz bliżej. . . „To koniec!” — pomyślał i zerwał się z wielkim krzykiem.

Słońce przeciekało delikatnymi smugami przez firankę i szpaki śpiewały w ogrodzie. Zerknął na zegarek. Była czwarta. Do siódmej jeszcze sporo czasu. Dopiero teraz 106

zasnął twardo i byłby spał może do południa, gdyby ze snu nie wyrwał go przeraźliwy krzyk pani Teci.

— Ty przekłety! — wrzeszczała gospoia zbiegając ze strychu. — Nie dość ci nocy, będziesz w biały dzień straszyl! Ratunku!

Julek wyskoczył z łóżka jak z katapulty. W mig zrozumiał całą sytuację. „Poszła na strych zdjąć wysuszoną bieliznę i zobaczyła Tolka Banana”. Chciał zakraść się na schody, lecz gdy uchylił drzwi, w korytarzu ujrzał malinowy szlafrok matki.

— Pani Teciū, na miłość boską — mówiła głośnym szeptem — przecież pani wszystkich pobudzi. Jeżeli pani się zdaje. . .

— Proszę iść na górę, to się pani przekona — przerwała jej gospoia. — Na własne oczy widziałam. Leżał zatraceniec na materacu, a jak weszłam, to schował się za skrzynię.

— Niechże pani się uspokoi. Jeżeli pani chce, to możemy razem wejść na strych.

Przekonam panią, że to przywidzenie.

„Koniec — pomyślał Julek. — Jeżeli mama wejdzie na strych, to klops z powidłem.

Będzie niesamowita wsypa. . .”.

107

Pani Teciā jęknęła trwoźnie.

— Chcę pani udowodnić, że nikogo nie ma na strychu. Mam dość tych halucynacji.

— Błagam panią, proszę tam nie iść. Widziałam na własne oczy. . .

— Pani Teciū, musimy nareszcie z tym skończyć, bo pani doprowadzi nas do hysterii.

Julek zerknął na korytarz. Po chwili w półmroku mignął malinowy szlafrok. Matka energicznie zbliżyła się do prowadzących na strych drzwi. Jej kroki zabrzmiały na schodkach. Nagle wszystko ucichło.

„Ale mnie ten Tolek Banan urządził” — pomyślał i wtedy usłyszał spokojny głos matki:

— No proszę, mówiłam, że się pani przywidziało, przecież nikogo tu nie ma i nie było.

— W imię Ojca i Syna, przecie na własne oczy widziałam, jak leżał na materacu.

— Jakoś ten duch ukazuje się tylko pani — powiedziała matka schodząc ze strychu. — Niech mi pani wierzy, że to tylko halucynacje.

— A za skrzynią pani patrzyła? — jęknęła zawiedziona gosposia.

— Zajrzałam.

108

— To w takim razie on rzeczywiście tylko mnie straszy.

*

*

*

Julek poczuł się zupełnie bezradny. Jeżeli wejdzie teraz na strych, a ktoś go zobaczy, może wszystko popsuć. Wypadało więc czekać do siódmej, a potem zaśpiewać

„Biedroneczki są w kropeczki”. Ale czy to coś pomoże? Wyglądało na to, że sławny Tolek Banan cały dzień przesiedzi na strychu. Ładna historia. W Klondike zbierze się cały gang, a tymczasem szef w charakterze ducha esesmana będzie oglądał suszącą się bieliznę.

O siódmej sytuacja wydała mu się niezwykle korzystna; matka spała, a pani Teczka wyszła właśnie do sklepu po bułki. Podszedł na palcach do strychowych drzwi i zanucił

cicho „Biedroneczki”. Piosenka zabrzmiała fałszywie. Nabrał tchu i zaśpiewał głośniej.

Spoza drzwi nikt nie odpowiadał. Ogarnął go paniczny lęk. Co się mogło stać z Tolkiem Bananem? Huknął więc pełną pierśią i wtedy z parteru usłyszał zirytowany głos matki:

— Lulusiu, dlaczego tak hałasujesz? Przecież wiesz, że późno wróciłam. Okropny dom, nawet nie dadzą się wyspać.

109

— Przepraszam — bąknął — ja nie hałasuję, tylko śpiewam.

— Powtarzasz w koło te „Biedroneczki”, a mnie głowa pęka. Co ci się stało, że tak wcześnie wstałeś?

— A nic! — odkrzyknął.

„Co się mogło stać z Tolkiem Bananem? Dlaczego nie zszedł ze strychu na umó-

wiony sygnał?” — powtarzał w myśli, a im dłużej zastanawiał się, tym rozpaczliwsze ogarniały go

przecucia.

Wreszcie zdecydował: jeżeli szef nie odzywa się, należy wejść na strych i zbadać sytuację. Julek uchylił drzwi, spojrział w górę. Zobaczył strome schodki, a nad nimi białą koszulę wiszącą na sznurze. Wyglądała tak, jakby ktoś powiesił się przez sznur i zwisał głową w dół.

Wolno, na palcach wspinał się w górę. Gdy znalazł się na ostatnim stopniu, rozejrzał

się dokoła. Było mroczno. Przez niewielkie zakurzone okienko przelewała się smuga mdłego światła. Z kątów zionął mrok.

— Szefie — wyszeptał zdławionym głosem.

110

Głos utonął w fałdach rozwieszanej bielizny. Nikt mu nie odpowiedział. Julek skierował kroki ku wielkiej skrzyni, w której ojciec zazwyczaj przechowywał plany i przybory kreślarskie. Znalazł w niej ze zdumieniem starannie złożone materac i kraciasty koc.

— Szefie! — zawołał w panicznym lęku. Znowu cisza. Rozejrzał się w trwożnym pośpiechu. Strych był zupełnie pusty. W jaki sposób sławny Tolek Banan stąd się wydostał?

„Trudno — pomyślał — jeżeli nie przyjdzie o dziewiątej do Klondike, to znaczy, że naprawdę rozpułynał się w powietrzu”.

Zabrał ze skrzyni koc i na palcach wycofał się ze strychu. Był zupełnie oszołomiony przeżyciami ostatnich godzin. Jedno mógł stwierdzić z całą pewnością: odkąd poznał

Tolka Banana, przestał się nudzić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

1

Za piętnaście dziewiąta był już w Klondike. Z bijącym sercem, ze ściśniętym gardłem zbliżał się do starej szopy. Drzwi były zamknięte na kłódkę. Okrążył więc szopę i z ulgą zobaczył, że dwie wielkie deski z bocznej ściany są wyjęte. Zajrzał do środka.

— Właź! — usłyszał z głębi głos Filipka.

— Jak tam z szefem? — zagadnął Cegiełka.

112

— Właśnie — mruknął markotnie Julek i chaotycznie zaczął opowiadać o zdarzeniach ostatniej nocy. — Nie wiem — zakończył — co się stało. Chyba się rozpułynał.

Filipek przymrużył swe małe oczy.

— Może mieliście na strychu jakieś skarby?

Cegiełka chwycił go gwałtownie za ramię.

— Co ci do głowy strzeliło?

— Muka. Rozmaicie bywa. Jutro przeczytasz w „Expressie”, że wszystkie sieroty w Warszawie dostały po złotym pierścionku z brylantem.

— Nie wymądrzaj się, Filipek — ofuknął go Cegiełka.

— Muka. Pożartować nie wolno?

Julek roześmiał się.

— Nie, na strychu jest tylko skrzynia z planami ojca.

W tym momencie w szparze ukazała się wytworna sylwetka Cygana.

— Ciao! Mówię wam, nasz szef to czarodziej. — Uniósł futerał ze skrzypcami. —

Czarodziej! — powtórzył.

Filipek spojrzał zdumiony.

113

— Dał ci skrzypce?

— Nie, tylko zaczarował kierownika świetlicy. I kiedy on to zrobił?

— Mów po ludzku — powiedział Cegiełka — bo nic nie rozumiem.

— Czarodziej — westchnął elegant. — Myślę sobie: „Z tymi skrzypcami nie klawo.

Jeszcze ktoś może się do mnie przyczepić”. Odniosłem do świetlicy. Byłem pewny, że dostanę wciurę, a kierownik palnął tylko mównicę, że nie wypada, że trzeba było poprosić.

A potem, nie uwierzycie, mówi: „Podziękuj Szymkowi Kruszowi. Postanowiliśmy darować ci te skrzypce, jeżeli będziesz grał w naszym zespole”. Ja zupełnie zdurniałem.

Wierzyć mi się nie chciało. Wszystko dzięki szefowi! Przyszedł, pogadał i zrobione.

— Sensacja — cmoknął Cegiełka — szef zna się nawet na kulturze i muzyce, niech mnie drzwi ścisną.

Zbliżała się dziewiąta. Julek pomyślał, że może Tolek ich nabrał i już nigdy się nie zjawi. Wbił spojrzenie w szparę, nawet nie słuchał, co tamci mówią. Kiedy wskazówka zbliżała się do oznaczonej godziny, na trawie widocznej przez szparę przemknął cień, a za chwilę ukazał się Tolek Banan. Niósł przewieszane przez ramię dwie brezentowe torby.

114

— Cześć, szefie — wyrwał się pierwszy Filipek.

— Cześć, wiara — powiedział wesoło, a potem w półmroku odszukał Julka. —

Cześć Julek. Przepraszam cię, że się tak szybko ulotniłem. Nocleg był pierwszorzędny, spałem jak u babci za piecem.

— A jak się szef ulotnił? — zapytał Julek.

— Po tej hecy z duchem musiałem nawiać. Bałem się, że mnie ktoś zauważy.

— Przecież mama była na górze.

— Była, ale mnie nie spostrzegła. Stałem za drzwiami. Przepraszam cię, że sprawi-
łem tyle kłopotu. Nie wiedziałem, że gosposia tak wcześnie wejdzie na strych.

— Głupstwo — powiedział Julek. — Całe szczęście, że ona wierzy w duchy. A szef to też tak jak duch ulotnił się ze strychu.

Tolek Banan uśmiechnął się tajemniczo.

— Nic trudnego, obserwowałem przez okienko teren. Kiedy zobaczyłem, że gosposia wychodzi z koszykiem po zakupy, wyśliznąłem się z domu. Na szczęście furtka była otwarta. A do ciebie nie chciałem zachodzić, bo to skomplikowałoby całą sprawę.

— No jasne — potwierdził Cegiełka.

115

— A co szef ma w tych torbach? — zapytał ni stąd, ni zowąd Filipek.

— Muka — zażartował Tolek Banan. — Jeżeli ci powiem, że skarb faraona Tuten-chamona, to co?

— To założę się z szefem, że za tydzień wszyscy ludzie, którzy chorują na egipskie zapalenie oczu, dostaną po kawałku złota.

— Trafieś — roześmiał się Tolek Banan. — A teraz nie traćmy czasu. Do roboty, wiara.

Zaległa cisza. Wszyscy wlepili wzrok w Tolka Banana, tylko Filipek zerkał z ukosa na dwie

tajemnicze torby. Nie dawały mu spokoju.

Tymczasem szef usiadł na pace z piaskiem i wolnym ruchem wyjął z kieszeni zwitek pergaminowego papieru.

Wszystkich zamurowało. Szef chciał coś powiedzieć, lecz w tej samej chwili za ścianą rozległ się podejrzany szmer.

— Ktoś tu się kręci — wyszeptał Cegiełka. Potem zbliżył się ostrożnie do otworu.

Wyjrzał. — Karioka! — zawołał zdumiony.

116

Pod szopą stał były szef ich gangu. Była zmieniona nie do poznania: kwiecista su-kienka — najnowsza kreacja Lucynki i Paulinki z „Przekroju”, pantofle na szpilkach, powieki na zielono, paznokcie na perłowo, a do tego mina księżny Monaco. Nawet Tolka Banana na chwilę zamurowało. Wnet jednak ochłonął i rzucił rozkazująco:

— Wchodź, bo może nas ktoś zobaczyć.

Wydeła lekko wargi i prychnęła:

— Phi, ja tylko przypadkowo, bo idę na randkę.

— Wchodź albo odpływaj — powiedział ostrzej Tolek.

— No, chodźże, Karioka! — zawołał Cegiełka.

Wsunęła się do szopy przez uchylone deski i nagle powiało delikatnym zapachem perfum.

— Co się tak na mnie gapicie? — zapytała wyniośle.

— Muka — jęknął mały Filipek. — Karioka, czyś ty przyszła na pokaz mody?

— I czym wysmarowałaś sobie oczy? — zaśmiał się drwiąco Cygan.

— To modne — zaszczebiotała beztrosko.

— I skąd ta szalowa kiecka? — zapytał Cegiełka. Świsnął z podziwem przez zęby.

117

— A pachniesz — wtrącił Filipek — jakbyś wyszła dopiero co z instytutu piękności.

Tolek Banan obejrzał ją taksująco, po czym spokojnie stwierdził:

— Suknia owszem, owszem, ale za sprytna to ty nie jesteś. Może nam powiesz, dlaczego posłali cię

do zakładu specjalnego? Nie przypominasz sobie? To ja ci przypomnę.

Dwa razy zimowałaś w piątej klasie, trzy razy wyrzucali cię za chodzenie na wagary, o innych numerach nie będziemy wspominali. Ty wiesz i ja wiem, po co mają wiedzieć inni.

Wzruszyła ramionami wyzywająco. Wtedy Tolek Banan powiedział ostro:

— Czego tu właściwie szukasz?

Spojrzała na niego kpiąco.

— To ja mogę cię o to zapytać. To moja buda.

Tolek podszedł do niej.

— No mów, bo nie mamy czasu.

— A zresztą — podjęła — idę na randkę i wstąpiłam, żeby zobaczyć, jak wygląda bohater z „Expressu”. Ale nie jesteś aż tak bardzo interesujący.

— Karioka — jęknął Filipek — do niego mówi się: szefie.

118

— Phi, on wcale nie jest moim szefem.

Chłopcy wiedzieli, że przeholowała. Twarz Tolka nagle pociemniała, a w oczach pojawił się błysk gniewu. Szef zbliżył się do dziewczyny.

— Słuchaj, nie lubię, jak ktoś robi takie hece. Chcesz zostać, to zostań, a jeżeli nie chcesz, to spływaj, bo cię wyrzucę.

Dziewczyna pokręciła kpiąco głową.

— Spróbuj, jeżeli masz ochotę. Ale nie radzę. A w ogóle to nie znasz się na żartach.

Wcale nie idę na randkę. Zostaję z wami.

*

*

*

— Tak, wiara — powiedział cicho, lecz dobitnie Tolek Banan — zaczynamy akcję K o b r a.

— Kobra — wyszeptał z przejęciem Cegiełka.

— Proszę mi nie przerywać — skarcił go szef spojrzeniem. — Akcja będzie się nazywała Kobra, a jej wynik zależy od nas wszystkich. Jeżeli się uda, to osiągniemy wielką rzecz.

119

— Ile przypadnie na łebka? — wyrwał się Filipek.

Tolek uśmiechnął się wyrozumiale.

— A ile byś chciał?

— Dziesięć patyków nie byłoby źle.

— A jeżeli więcej?

— To jeszcze lepiej.

— A jeżeli nic?

— To, przepraszam, szefie, ale... muka.

— Muka! — Tolek Banan uderzył pięścią w skrzynie. — A ja wam mówię, że osiągniemy wielką rzecz. Tylko wszystko musi grać jak w zegarku. Jeżeli ktoś spudłuje, to wsypa. Będziecie się starać?

— To jasne — wyszeptała Karioka.

Tolek Banan udał, że jej nie widzi. Rozwinął wolno zwitek pergaminu. Wyprostował

go, przyglądał dłonią, a potem z kieszeni wyjął latarkę i przyświecił.

— Przypatrzcie się dobrze. To jest plan ogródków działkowych przy alei Waszyngtona. Tu czerwonym krzyżykiem zaznaczono działkę numer siedemdziesiąt trzy. Mam 120

pewne informacje, że na tej działce znajduje się zakopana puszką. . . Nie mam pojęcia, co się w niej znajduje, wiem jedno, że musimy tę puszkę odnaleźć. Jeżeli nam się to uda, uda się cała akcja Kobra. A więc mamy już pierwsze zadanie.

— To walimy! — zawołał Cegiełka.

— Wolnego — zastopował go Tolek Banan. — Zadanie trzeba wykonać precyzyjnie, bez pudła, bo pierwsze potknięcie może spowodować klępkę całej akcji. Musimy najpierw przeprowadzić wywiad, gdzie ta działka jest i jak wygląda. O resztę będziemy się martwić później. Zadanie to powierzam Cegiełce i Julkowi.

— A my co będziemy robić? — zapytał Cygan zawiedzionym głosem.

— Nie martw się, każdy dostanie zadanie. Ty z Filipkiem przygotujecie narzędzia: łopaty, kilofy. . .

— A ja? — zaszczębiotała Karioka spoglądając na wylakierowane paznokcie.

Tolek skrzywił się z niesmakiem.

— Ty pójdziesz do domu i umyjesz się, bo teraz nie mogę na ciebie patrzeć.

Karioka zatrzepotała rzęsami.

— Eee. . . myślałam, że będę sekretarką szefa, tak jak w amerykańskich filmach.

121

— Wybij sobie z głowy amerykańskie filmy. Jesteś członkiem gangu, i koniec.

— Myślałam. . .

— Nic mnie nie wzrusza, co myślałaś Pójdziesz do domu i zmyjesz tusz z oczu i lakier z paznokci.

— To modne — powiedziała zalotnie.

Tolek Banan uśmiechnął się pojednawczo.

— Jesteś ładna bez tych fidrygałków. Nie lubię, jak dziewczyny robią z siebie straszdyła.

— Phi — prychnęła — szef się na tym nie zna. Ale dla szefa mogę się przebrać.

— Im szybciej, tym lepiej — powiedział Tolek Banan i przestał zwracać na nią uwagę. — No, wiara — zwrócił się do chłopców — zabieramy się do roboty. Łączność będziemy utrzymywać radiotelefonem. . .

Chłopcom wydłużyły się gęby.

— Radio. . . radio. . . radiotelefonem? — wyszeptał zdumiony Filipek.

Tolek Banan wolnym krokiem podszedł do leżących pod skrzynią brezentowych toreb. Podniósł je.

122

— Mówiłem wam, że gang musi być dobrze zorganizowany i działać za pomocą nowoczesnej techniki. Tu mamy dwa przenośne radiotelefony. Nauczę was, jak należy posługiwać się nimi.

— To proste — powiedział Cegielka i naraz oczy mu zabłyśły żywym światłem.

— Dla ciebie proste. Ty masz smykałkę do radiotechniki. Znasz się na tym?

— Tak. Widziałem w „Młodym Techniku” schemat tego aparatu.

— Schemat to nie wszystko. Musisz poznać działanie radiotelefonu w praktyce.

Tolek wyciągnął z brezentowego futerału aparat i zaczął zwięźle objaśniać jego dzia-

łanie. Cegielka słuchał z napiętą uwagą, a jednocześnie myślał: „Genialny ten szef, zna się nawet na radiotechnice. Jeżeli powie, że za miesiąc poleci na Księżyc, to trzeba mu uwierzyć”.

123

2

O jedenastej Cegielka z Julkiem zbliżali się do głównej bramy ogródków działkowych przy alei Waszyngtona.

— Ty, słuchaj — zagadnął Julek — jak ci się zdaje, co może być w tej puszcze?

Cegielka wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia, ale na pewno coś bardzo ważnego. Szef nie zajmowałby się byle głupstwem. On robi tylko milionowe interesy.

— A skąd wziął te radiotelefony?

Cegielka ożywił się nagle.

— Widziałeś bracie? Cud techniki. Możesz porozumieć się z szefem na odległość siedmiu kilometrów.

— Ale skąd on je wytrzasnął?

— To jego sprawa. Szef zna się na nowoczesnej technice. Słyszałeś, jak objaśniał.

Tranzystory zna, bracie, na pamięć, a schematy jak litanie. Z takim szefem nie umrze-my. . . — urwał, bo właśnie stanęli przy bramie.

124

Weszli w główną alejkę ogródków. Panował tu przyjemny cień. Wiatr niósł zapach kwiatów i rozgrzanej ziemi. W koronach drzew owocowych śpiewały ptaki. Szli w milczeniu, rozglądając się dokoła. Po chwili w jednym z ogródków ujrzeni kobietę pielącą grządki. Cegielka zbliżył się do ogrodzenia z siatki drucianej.

— Szanowanie pani — przywitał się z wrodzoną uprzejmością.

Kobieta wyprostowała się, zwracając ku nim ogorzałą, całą w zmarszczkach twarz.

Chwilę przyglądała się chłopcom podejrzliwie.

— A wy czego tu szukacie?

— Chcieliśmy zapytać szanowną panią, gdzie tu jest działka numer siedemdziesiąt trzy?

— Siedemdziesiąt trzy. . . siedemdziesiąt trzy? — zastanawiała się głośno. — A, już wiem. Musicie iść do końca tą alejką, a potem przy płocie skręcicie w lewo i tam się zapytacie.

Cegielka skłonił się szarmancko.

— Dziękujemy najuprzejmiej, życzymy dobrego urodzaju i koksów pierwszego gatunku po dwanaście złotych za kilogram.

125

— Ech, czarodziej z ciebie, czarodziej — zaśmiała się staruszka.

Cegielka zamienił z Julkiem porozumiewawcze spojrzenie.

— Słyszałeś, jak się załatwia urzędowe sprawy? Z ludźmi tylko uprzejmie, bracie.

Na siłę nie da rady.

— Ja bym tak nie potrafił — powiedział Julek z nie utajonym podziwem.

— Z ludźmi trzeba umieć. Nie martw się. Przy nas niejednego się jeszcze nauczysz.

Doszli do końca alei. Dalej były już pola, a jeszcze dalej hangary na lotnisku w Go-cławku. Kilka szybowców krążyło nad lotniskiem, a dwupłatowy kukuruźnik windował

na lince piękną maszynę o smukłych skrzydłach.

— Marzę o tym, żeby kiedyś polecieć takim szybowcem — westchnął Cegielka. —

Pierwszorzędna rzecz, tylko trzeba najpierw skończyć kurs, a na kurs nie przyjmują bez wykształcenia.

Julek zerknął na niego zdziwiony.

— Nie chodzisz do szkoły?

— Chodziłem — odparł z żalem — ale potem była ta sprawa z Kiziakiem. . . —

machnął desperacko ręką. — Szkoda zresztą gadać. Pech mnie, człowieku, prześladowuje.

126

Pani Tułajowa przyrzekła, że mnie zapisze do zawodowej, ale najpierw muszę skoń-

czyć siedem klas. Pójdę, bracie, na radiotechnikę. Wiesz, mam do tego smykałkę, a jak się uda, to zostanę radiotelegrafistą na samolotach. . . — Zamyślił się, oczy mu nagle przygasły. — Zresztą, kto

wie. Pechowiec jestem, niech to drzwi ścisną. Ojciec chce, żebym już teraz pieniądze do domu przynosił. Matka by mnie do szkoły posyłała, ale fater, szkoda gadać. . .

Skręcili w lewo. W cieniu jabłoni zobaczyli odpoczywającego na leżaku mężczyznę.

Był obnażony do pasa, a siwe kępki włosów jak mech porastały jego szerokie ramiona.

Nasunął na czoło słomkowy kapelusz, czytał poranną gazetę.

Cegielka chrząknął znacząco.

— Pan wybaczy, że przerywam poranną lekturę.

— A czego? — mruknął jegomość przesuwając kapelusz z czoła na tył głowy.

— Właśnie szukamy działki numer siedemdziesiąt trzy. Czy byłby pan tak uprzejmy. . .

— Następna — rzucił zniecierpliwiony jegomość i zaraz wrócił do lektury.

127

— Dziękujemy za uprzejme informacje — powiedział z przekąsem Cegielka. Naraz złapał mocno Julka za ramię, pokazał na wyłaniającą się spośród zarośli działkę.- Patrz, człowieku, mamy wyjątkowe szczęście.

Działka była niemal pusta, zarośnięta trawą i chwastami. Z brzegu rosło kilka rachi-tycznych krzaków agrestu, a w głębi usychająca grusza. Wiało od niej smutkiem.

— Sahara, daję słowo — wyszeptał Cegielka.

— To świetnie — zauważył Julek.

— Fenomenalnie! Robota będzie czysta, nie trzeba niszczyć darów bożych. Szef się na pewno ucieszy.- Wyciągnął z futerału słuchawki, postawił antenę i zaczął manipulować. Po chwili powiedział do mikrofonu: — Tu Kobra jeden, tu Kobra jeden, wzywam Kobrę dwa, wzywam Kobrę dwa. . . Załatwione, szefie. Działka jest pusta, zupełnie nie uprawiana. .. Jakie sąsiedztwo? Jeden mamut w słomkowym kapeluszu, czyta „Życie”, nastawiony wrogo, ale nieszkodliwy. Słucham. . . Tak, szefie, mam się dowiedzieć, do kogo działka należy. . . Zrobi się. Meldujemy się w Klondike po wykonaniu zadania.

Skończyłem. . . — Złożył do futerału mikrofon i słuchawki, z zadowoleniem mrugnął

do Julka. — Słyszałeś? Tak się pracuje nowoczesnymi środkami. Łączność na medal.

128

Teraz tylko trzeba zahaczyć tego w słomkowym kapeluszu, do kogo działka należy, i możemy wracać

do bazy.

Kiedy podeszli pod ogrodzenie, jegomość chrapał na dwa głosy. Gdy wciągał powietrze, wydawał dźwięki mruczącego lwa, gdy je wypuszczał, gwizdał jak stara loko-motywa.

— Na takiego ty będziesz lepszy — szepnął Cegiełka. — Wyglądasz trochę jak synek amerykańskiego milionera. On ci nie odmówi.

— A o co mam go zapytać?

— O to, kto jest właścicielem tej działki. Powiesz, że twoja mama wprost ubóstwia świeże truskawki i pomidory prosto z grządek i chciałyby wydzierżawić taką działkę, tylko nie wie, do kogo się zgłosić.

Julek na widok chrapiącego jegomościa nie mógł wydobyć głosu. Kilka razy nabierał w płuca powietrza, lecz zamiast coś powiedzieć, wzdychał i spoglądał na Cegiełkę.

— No, wał — szepnął tamten.

— Proszę pana! — krzyknął Julek.

Jegomość podskoczył na leżaku. Łypnął spod kapelusza zaspanymi oczami.

129

— Co znowu?

— Moja mama ubóstwia świeże pomidory prosto z grządki.

— Co ty pleciesz?

— I chciałyby mieć własne truskawki.

Jegomość przetarł oczy.

— Mój chłopcze, nie dość, że mnie zbudziłeś, jeszcze stroisz sobie żarty. Co ci się znowu przyśniło?

Julek zaciął się. Spojrzał błagalnie na kolegę. Ten uśmiechnął się kwaśno.

— On taki nieśmiały — powiedział wskazując na Julka ruchem głowy. — Jego ojciec chce wydzierżawić albo kupić działkę, żeby jego matka nie nudziła się w domu.

Chcieliśmy pana zapytać, kto jest właścicielem tej, pożał się Boże, działki numer siedemdziesiąt trzy.

Na twarzy zaspanego jegomościa pojawił się błysk zainteresowania. Uniósł się z trudem, przetarł chustką okulary i zbliżył się do ogrodzenia.

— To ja właśnie chcę sprzedać swoją działkę.

Chłopców замуrowało. Nawet Cegiełka stracił nagle fantazję i bezmyślnie gapił się na piękne peonie kwitnące wzdłuż ogrodzenia.

— Słyszałeś? — odezwał się jegomość. — Mam zamiar sprzedać swoją działkę.

— Bardzo nam miło — palnął Cegiełka. — Tylko są pewne trudności. Ojciec mojego kolegi chce pustą działkę.

— Dlaczego właśnie pustą? Przecież widzicie, że u mnie są piękne drzewa. . .

— Właśnie — przerwał mu Cegiełka. — Ale jego ojciec chce posadzić na tej działce egzotyczne rośliny, które przywiezie z Afryki.

Jegomość spojrział na niego podejrzliwie.

— Ty, chłopcze, coś bujasz. Przed chwilą mówiłeś o pomidorach i truskawkach.

— Tak. . . ale pomidory i truskawki swoją drogą, a egzotyczne banany swoją.

— Oszalałeś! Przecież u nas nie przyjmą się banany.

— To może figi albo inny delikatny towar.

Pan w kapeluszu uczynił gest zniecierpliwienia.

— Ech, nie zawracajcie mi głowy.

Cegiełka nie stracił fantazji. Ukłonił się z fasonem i powiedział: 131

— Nie mieliśmy zamiaru zawracać panu głowy. Przepraszamy, a o tamtą działkę zapytamy kogo innego.

— Poczekaj — zatrzymał go jegomość. — Co się tak spieszysz? Tamta działka na-leży do niejakiego pana Eustachiewicza. Biedak cierpi na straszliwy ischias. Od dwóch lat leży w łóżku i na działce nie ma kto pracować.

Cegiełka łypnął w stronę Julka.

— Bardzo nam przykro. Na ischias podobno najlepsze mrówki na spirytusie. . .

A czy pan nie wie, gdzie on mieszka?

— Na Grenadierów pod szesnastym — odparł jegomość i ciężkim krokiem skierował się do leżaka.

— Najuprzejmiej dziękujemy i życzymy najpiękniejszych pomidorów.

Na drugi dzień opustoszała działka siedemdziesiąt trzy nagle ożyła. Czterech chłop-ców i jedna dziewczyna mocowało się z ubitą na kamień ziemią, a z zawieszzonego na gałęzi gruszy japońskiego odbiornika tranzystorowego płynęły dźwięki najmodniej-szych twistów.

Wszystko było obmyślane cybernetycznie, jak twierdził Cegiełka. Działkę podzieleno na pięć równych części, oznaczono palikami i każdy z członków gangu miał przekopać swój odcinek na głębokość dwóch łopat.

— Muka — powiedział Filipek ocierając rękawem pot z czoła. — Ten nasz szef powinien być archeologikiem.

— Chyba archeologiem — zauważyła z przekąsem Karioka.

— Niech będzie archeolog, w każdym razie specjalista od wykopywania skarbów cudzymi rękami. Czytałem w „Świecie Młodych” o takim jednym profesorze z Warszawy, który nic nie robił, tylko wyjeżdżał do Egiptu i Sudanu i wykopywał.

— Zabytki — wtrącił Cegiełka.

— Dobra, zabytki, ale co będzie, jeżeli zamiast tej puszeki wykopimy szkielet przedpotopowego mamuta?

— Napiszą o nas w „Expressie” — zaśmiał się Cygan.

— Muka — skrzywił się Filipek. — Wolałbym, żeby nie pisali, tylko żeby była puszcza, a w puszcze równy milion, jak wtedy. . . w pegeerze.

— Marzyciel — prychnął Cegiełka. — Myślisz, że w każdej puszcze będzie milion.

Karioka rzuciła łopatę. Spojrzała na dłonie.

— To skandal, natarłam sobie pęcherze. Nigdy jeszcze tak ciężko nie harowałam.

— Może byś polakierowała sobie paznokcie. . . Manicure, pedicure i oczy zielonym tuszem — zakpił Cygan.

— Dość mam już tego kopania — powiedziała płacząco. — Co to za gang, żeby kopać w ogródku działkowym? To dobre dla emerytów, a nie dla porządnych gangsterów.

— Nikt cię o to nie prosił! — zawołał Cegiełka. — Możesz powiedzieć „cześć”, i już.

Karioka wykrzywiła się zaczepnie.

134

— Ty mi nie będziesz rozkazywał.

— Jasne — wtrącił Cygan. — Ona to zrobi dla szefa. Podoba ci się, co?

— Nie tacy za mną latali. Jeden posyła mi kartki aż z Kairu.

— A szef na nią nawet nie spojrzy — dodał poważnie Filipek.

— Pracować, wiara! — zawołał Cegielka. — Jak tak będziemy pytlowali, to do wieczora nie zdążymy.

Spojrzał w stronę Julka Seratowicza. Chłopiec wystartował z zapalem. Przez pierwszy kwadrans dorównywał wszystkim, lecz teraz został daleko w tyle z robotą. Pot zalewał mu twarz, łopata co chwila wylatywała z rąk, lecz chłopiec zaciskał zęby, chwycił

łopatę i dziobał nią twardego grunt. Cegielka patrzył na niego z politowaniem.

— Jak ci idzie? — zapytał, a gdy tamten wzruszył tylko ramionami, dodał: — Tech-nicznie, człowieku, nie na siłę. O, patrz. Najpierw rękami, jakbyś chciał dziobnąć, a potem — kopa nogą i po krzyku. Widzę, że nie masz nabożeństwa do fizycznej pracy.

Powinieneś codziennie ćwiczyć hantlami. Miałbyś przynajmniej parę w rękach.

— Wypchaj się — jęknął Julek. — Całe dłonie mam już w pęcherzach.

135

Julek wytarł dłonie o spodnie i z zaciekłością walnął łopatą w ziemię. Poszło już lepiej. Sprawdził, ile ziemi skopali koledzy. Cegielka zbliżał się już do płotu, Cygan niewiele mu ustępował, Filipek i Karioka szli łeb w łeb i byli już poza połową działki, tylko on został daleko w tyle. Już kilkakrotnie chciał rzucić łopatę i podziękować za udział w gangu. Niech sobie sami kopią, jeżeli sprawia im to przyjemność. Widział

kilka gangsterskich filmów, ale gangsterzy nigdy nie kopali grządek. Siedzieli zwykle w barach nad szklaneczką whisky, palili papierosy, tańczyli z szałowymi kobietami, grali w karty lub strzelali. Phi, niech sobie Tolek Banan nie wyobraża, że on, Julek, będzie za niego pracował. Jeżeli chce mieć puszkę, to proszę zakasać rękawy i kopać tę piekielnie twardą ziemię.

Wnet jednak napływały inne myśli. Przecież Tolek nie może kopać, boby go przyskrzynili. Zresztą co szef, to szef. Szef jest od tego, żeby myśleć, kombinować i wpadać na genialne pomysły. I tak zrobił mu łaskę, że go przyjął do gangu. Kto by przyjął

takiego patalacha, który nawet nie umie trzymać porządnie łopaty.

Mama zemdlalaby z wrazenia, gdyby go teraz zobaczyła. Jest pewna, że jej Luluś gra z Krzysiem w tenisa. Ładny tenis, od którego wyskakują bąble na dłoniach. Co by też powiedział ojciec? Prawdopodobnie uśmiełby się serdecznie.

Czuł, że ręce mu mdleją, a noga, którą wpychał w ziemię łopate, zupełnie drętwiała.

I plecy miał obolałe od stałego nachylania się. Pracował ostatkiem sił. . .

— No, ja już skończyłem! — usłyszał obok siebie radosny okrzyk Cegiełki. —

Niestety w moim sektorze nie było ani przedpotopowego mamuta, ani wykopalisk ar-cheologicznych. Sahara, niech mnie gęś kopnie.

— Zdaje mi się — westchnął Filipek — że ta puszka to fatamorgana.

— Ręk już nie czuję — sarkąła Karioka.

— Niech żywi nie tracą nadziei — zażartował Cegiełka. Zbliżył się do Julka. Położył mu rękę na ramieniu. — Pomogę ci.

— Nie chcę.

— Nie bądź taki honorowy.

— Mówię ci, nie chcę, i już.

— W mig przierzucimy ten kawałek ziemi. Nie masz się o co gniewać. Ja, człowieku, mam trening, a ty nie jesteś przyzwyczajony.

— Powiedziałem, że sam. . .

Cegiełka pokręcił głową.

— Zameczysz się. No, Julek — powiedział pojednawczo — daj, zobaczysz, że prześcigniemy jeszcze tych patałachów.

Julek oparł się na łopacie.

— Nie wiedziałem, że to taka piekielna robota.

Cegiełka zrozumiał, że kolega poddaje się. Splunął w garści i zaczął kopać, aż ziemia zafurczała.

— Odsapnij sobie chwilę, a potem będziemy fedrować na zmianę.

Julek usiadł w cieniu uschniętej gruszy. Spojrzał na dłonie. Były czerwone, pełne pęcherzy. Piekły. Dmuchał, lecz to niewiele pomogło. Miał takie uczucie, że dłonie mu płoną, a ręce ciężą jak odlane z ołowiu. Oczy zaszyły mu mgłą i pomyślał, że nie będzie miał sił do podjęcia pracy.

Wtedy usłyszał radosny okrzyk Filipka:

138

— Jest! Jest!

Cegielka cisnął łopatę i pierwszy podbiegł do Filipka. Za nim ruszyli inni. W miejscu, gdzie Filipek uderzał łopatą, w zagłębieniu widniał czarny przedmiot o obłych kształtach.

— To nie puszka — powiedział Cygan.

— Ale coś twardego.

Cegielka wyrwał Filipkowi łopatę i zaczął gorączkowo kopać. Wreszcie ostatni raz wbił łopatę, schylił się i wyciągnął tajemniczy walcowaty przedmiot, dość długi, owinięty papą i zalany smołą.

— Co to może być? — zapytał drżącym z przejęcia głosem. Wstał, uniósł przedmiot wysoko, ponad wyciągnięte ręce kolegów.

— To nie puszka — stwierdził Cygan.

— Nie wiadomo, najpierw trzeba obejrzeć — powiedział Filipek. — Coś ciekawe-go. . . zabezpieczone przed wilgocią i starannie owinięte.

Karioka wspięła się na palce.

— Dawaj, zobaczymy!

139

Cegielka wyrwał się z otaczającego go kręgu.

— Spokój, wiara! Musimy porozumieć się z szefem. Która godzina? — zapytał

Julka.

— Za piętnaście pierwsza.

— Za piętnaście minut mamy umówioną rozmowę.

Filipek, złapał się za głowę.

— Człowieku, będziesz czekał piętnaście minut? A jeśli to nie puszka?

— Właśnie — gorączkował się Cygan. — Najpierw musimy zobaczyć, co jest w środku.

— Dobra jest — powiedział z rozwagą Cegiełka. Usiadł pod jabłonką, wyjął z kieszeni scyzoryk i zaczął ostrożnie odłupywać papę. Pod papą natrafił na przepojone żywicą płótno. Przeciął je wzdłuż szwu. Odlazło jak kora z zeschniętego drzewa. Pod płótnem była warstwa grubego papieru. . .

— Niech to gęś kopnie — syknął zniecierpliwiony Filipek. — Opatulone jak mumia egipska.

140

Cegiełka wolno odwijał papier. Oczy płonęły wszystkim z wielkiego podniecenia.

Spod papieru wysunęła się niewielka puszka.

— Jest — wyszeptał Julek.

— Co w środku? — zapytał Cygan.

Cegiełka ważył chwilę puszkę w dłoni.

— Lekka — powiedział z odcieniem rozczarowania. — Złota w niej nie znajdziemy.

— Otwórz — jęknął Cygan.

— Ba, puszka jest zalutowana. — Pokazał wieczko dokładnie otoczone szwem cynowego spojenia.

— Robota na cacy — szepnął z uznaniem Filipek.

Cegiełka wstał. Podniósł z ziemi radiotelefon.

— Co chcesz zrobić? — zapytał Cygan.

— Spróbuję połączyć się z szefem. Może już jest przy aparacie.

Cygan gwałtownym ruchem złapał za taśmę futerału.

— Poczekaj! — powiedział z naciskiem. — Nie spiesz się. Może byśmy tak spró-

bowali na własną rękę? — Powiódł po wszystkich rozplómiętych oczami.

141

— Co chciałeś powiedzieć? — zapytał spokojnie Cegiełka.

— Prosta sprawa. Otworzymy puszkę, zobaczymy, co w niej jest. Może jakaś gruba forsa w papierkach. . . akcje. . .

— Muka — wyszeptał Filipek — bez szefa nie da rady.

— A do czego nam szef? — uśmiechnął się Cygan.

Cegielka błyskawicznym ruchem chwycił go za koszulę, tuż pod szyją.

— Ty filozofie — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Grandy ci się zachciewa?

A coś przyrzekł szefowi?

Cygan szarpnął się.

— Ty ze mną nie zaczynaj!

— Parszywiec jesteś! — ciskał słowa Cegielka. — Kto ci się wystarał o skrzypce, kto przyjął cię do gangu? Tak się odpłacasz?

Cygan uśmiechnął się kwaśno.

— Daj spokój. Na żartach się nie znasz? Chciałem was wypróbować.

142

— A teraz jeszcze wywracasz kota ogonem. — Pchnął go, aż tamten zatoczył się i oparł plecami o pień jabłonki. — Idź, bo mnie zęby bołą, gdy na ciebie patrzę. Bez szefa chciał otwierać puszkę.

Filipek wdarł się między nich. Zamrugął bezrzęsyimi oczami.

— Spokój, wiara. Mamy puszkę, a wy się tylko kłóćcie.

Cegielka wolnym krokiem podszedł do Cygana.

— Ty, słuchaj, ostatni raz uszło ci na sucho. Jak jeszcze raz skrewisz, to nie będzie apelacji, kapujesz?

Cygan błysnął gniewnie białkami, lecz wnet napotkał twarde spojrzenie Cegielki.

Opuścił głowę.

— Po co robisz taki raban? — szepnął.

— Pamiętaj, Cygan. — Cegielka uniósł z ziemi futerał z radiotelefonem. — Jest już pierwsza?

— Jest — odparł Julek.

— To łączymy się z Klondike.

143

W szopie panował półmrok. Przez szpary przeciekały złociste smugi słońca i kładły się na zasłanej liśćmi podłodze. Tolek Banan usiadł na skrzyni. Spojrzał na otaczające go twarze. Widział tylko błyszczące oczy i słyszał przyspieszone oddechy.

— Gratuluję wam — powiedział poważnie. — Pierwsze zadanie wykonaliście na piątkę. Jeżeli tak dalej pójdzie, zrobimy taką morową pakę, że będziemy mogli wykonać najtrudniejsze akcje.

— To się wie — szepnął mały Filipek.

— Zobaczymy — ciągnął szef. Położył puszkę na kolanach i przykrył ją dłonią. —

Teraz przy wszystkich otworze tę puszkę. Przekonamy się, co w niej jest.

— Dobra — wyrwał się Filipek — ale skąd szef wiedział, że ta puszka była zakopana na działce?

— Cicho — ofuknął go Cegiełka. — Do ciebie trzeba dwa razy mówić. Przecież wiesz, że to akcja Kobra.

Tolek Banan uderzył dłonią w wieko skrzyni.

144

— Prosiłem, żebyście mi nie przerywali. Powiedziałem, że akcja Kobra zależy wła-

śnie od odszukania tej puszkę. A skąd wiedziałem? Przyrzekam wam, że o wszystkim dowiecie się w porę. Nie będę miał przed wami żadnych tajemnic. Teraz jednak nie mogę wam jeszcze powiedzieć.

— Szkoda — westchnął Filipek.

Tolek Banan uśmiechnął się wyrozumiale. Wyjął z dzinsów składany nóż, wyszukał

ostrze do otwierania puszek konserwowych i wprawnymi ruchami zaczął pruć blachę.

Zaległa zupełna cisza. Pod dachem coraz głośniej bzykały osy, a od strony kortów słyhać było brzęk rakiet tenisowych i głuchy łomot piłek. Zdawało się, że wszyscy za-marli w oczekiwaniu. Tolek jeszcze raz pociągnął kluczem. Blaszane denko z brzękiem potoczyło się pod skrzynię.

Szef dwoma palcami sięgnął do puszkę, wyciągnął niewielki zwitek papieru. Potem potrząsnął puszką. Coś zadźwięczało metalicznie. Przechylił pudełko i na dłoń wysypał

pęk kluczy.

— Klucze — wyszeptała Karioka.

— Ale od czego? — wyrwał się zniecierpliwiony Filipek.

Tolek posłał im karcące spojrzenie.

— Zaraz się dowiemy. — Wolno rozwijał papier. Wyjął z kieszeni latarkę, zapalił ją. Wąski strumień światła padł na kilka rzędów czystego, czytelnego pisma.

— List, niech mnie drzwi ścisną! — westchnął Cegiełka.

Tolek Banan syknął na niego, a potem zaczął czytać cichym, spokojnym głosem: Jestem stary, nie wiem, jak długo jeszcze pożyję. Wybieram się w daleką podróż, do kraju, gdzie jest wieczna cisza. Życie moje było wielką pomył-

ką. Chciałem być dobry — byłem zły; chciałem być ubogi — byłem bogaty; chciałem mieć przyjaciół — byłem samotny. Dom wybudowałem za nieuczciwie zarobione pieniądze. Moim życzeniem jest, żeby służył dobrej sprawie. Ten, kto odnajdzie tę puszkę, niechaj weźmie znajdujące się w niej klucze i żyje w tym domu spokojnie. Znajdzie w nim skarb, którego ja przez całe życie znaleźć nie mogłem.

Ten, który szukał zapomnienia

— Ten, który szukał zapomnienia — powtórzył uroczyście Tolek Banan i odłożył

kartkę. Powiódł pytającym spojrzeniem po otaczających go twarzach. Wszyscy milczeli.

Oczy wbili w biała kartkę i nie ruszali się długo, jakby zakrzepli w oczekiwaniu.

Pierwszy odezwał się Cegiełka:

— Nic z tego nie rozumiem.

— Gdzie ten dom? — zapytał zawsze przytomny Filipek.

— W krainie marzeń — westchnęła Karioka. — Zdaje mi się, że ktoś z nas porządnie zakpił.

— O jakim skarbie on mówi? — powiedział przeciągle Cygan. — Ten cały list to jak rebus, daje słowo. Same zagadki.

Tolek Banan jeszcze raz ogarnął ich wszystkich spojrzeniem.

— Powiedzcie szczerze, co o tym sądzicie?

— Lipa z sosną równo rosną — wyrwał się pierwszy Filipek. — Ja tam nie wierzę w takie cuda, żeby ktoś szukał zapomnienia i dawał klucze do własnego domu, w którym znajduje się skarb.

— Ale klucze jednak są — powiedział Cegiełka.

147

— Klucze są — wtrąciła Karioka — ale nie ma adresu. To mogą być klucze do poczekalni zakładu dla umysłowo chorych.

— To po co facet zakopywał puszkę na działce i pisał ten list? — zapytał jakby siebie Cygan. — W tym musi coś być.

Tolek Banan popatrzył na Julka.

— A ty co o tym sądzisz? Dlaczego nic nie mówisz?

— Ja. . . — zająknął się chłopiec. — Mnie wydaje się to bardzo dziwne i zagadkowe, jakby z powieści sensacyjnej. Nie bardzo chce mi się wierzyć. Ale skoro szef wiedział, gdzie znajduje się zakopana puszką, to może. . . może to prawda — dokończył i wzruszył ramionami.

Tolek przejechał palcami po krótko ostrzyżonych włosach.

— Czy to prawda? — zastanowił się — Na to pytanie sami będziemy musieli znaleźć odpowiedź.

Jeszcze raz zapalił latarkę, oświetlił tajemniczy list, odwrócił go, nagle radośnie zawołał:

— Jest adres.

148

— W takim razie jesteśmy w domu — powiedział spokojnie Filipek.

Na odwrocie listu, w rogu kartki, widniał dopisek: Ulica Stanisława Augusta 12

— Wiecie, gdzie jest ta ulica? — zapytał Tolek.

— Jasne — ucieszył się Filipek — to za stadionem AZS-u. Niedaleko stąd. Możemy zaraz tam się walnąć. Na co j czekać.

— Spokojnie — zastopował go Tolek. — Trzeba wszystko dobrze obmyśleć. Nie możemy działać bez namysłu. Najważniejsze są dobre informacje. Bez informacji bę-

dziemy chodzili jak ludzie z zawiązanymi oczami.

— Grunt to dobry wywiad — potwierdził stanowczo Cegiełka.

— Masz rację — skinął mu głową Tolek Banan. — Trzeba przede wszystkim sprawdzić, czy ten dom istnieje i do kogo należy. Bo jeśli go nie ma, to ktoś nas solidnie nabrał.

— A jeżeli jest — dodał Filipek — to będziemy jego właścicielami.

Szef uderzył dłonią w skrzynię.

149

— Nie cieszcie się, bo jeszcze nic nie wiadomo. Powtarzam, trzeba działać bardzo ostrożnie, żeby nie było generalnej klapy. Proponuję, żeby wywiad zrobili Cegielka i Karioka.

— Zawsze Cegielka — powiedział Cygan.

Szef łypnął na niego.

— Ty, artysta, na ciebie też przyjdzie kolej.

— A co my będziemy robili? — zapytał Filipek.

— Pójdziecie po obiedzie na działkę, pięknie splantujecie grunt i zrobicie grządki. . .

— Eee. . . — westchnął żałośnie Filipek. — Nie wystarczy, żeśmy przekopali?

— Nie wystarczy. Nie możemy zostawić rozbabranej roboty. Jeszcze ktoś by się do nas przyczepił. Musimy działać rozważnie — powiedział z naciskiem. — Fuszerki nie zniosę.

150

5

Była godzina piąta po południu, kiedy Karioka z Cegielką znaleźli się na ulicy Stanisława Augusta.

Nad miastem wisiało przymglone niebo. Drzewa stały bez ruchu, zwarzone i przywiędłe. Nad Grochowską krążyło stado gołębi. Zdawało się, że to obłok szybuje nad dachami — raz niżej, raz wyżej, połyskując przesłonecznioną bielą.

Dziwna to była ulica; niby warszawska, wielkowiejska, a jednak przypominająca fragment małego miasteczka. Z jednej strony wysokie topole stały jak zielone świece, z drugiej ciągnęły się puste pola i urwiska. Gdzeniegdzie sterczał płot, a za płotem w rozsypce budy, baraki, gołębniki i szopy.

Cegielka rozejrzał się dokoła.

— Klops z marmoladą — powiedział zawiedziony. — Na tej ulicy nie znajdziemy porządnego domu.

— I w ogóle — podjęła Karioka — gdzie ten numer dwunasty? Przecież tu straszliwe pustkowie. Coś mi się wydaje, że tym razem ktoś z nas zrobił potężnego balona.

151

— Możliwe, ale niedoczekanie jego. Szef nie pozwoli strugać z siebie wariata.

— Słuchaj — zagadnęła — jak myślisz, czy ten list w puszcze jest prawdziwy?

— A kto by się wysilał dla hecy na taką zagadkową literaturę.

— Okropnie to wszystko dziwne.

— Dziwne i tajemnicze — stwierdził filozoficznie. Chciał jeszcze coś dodać na temat znalezionej listy, gdy właśnie ujrzał betonowe ogrodzenie, a za ogrodzeniem na niskim słupku tabliczkę z napisem:

Ul. Stanisława Augusta 12

WŁA ŚCICIEL NORBERT MAUER

— Jest! — zawołał szarpiąc Kariokę. — Powiedz, czy nam się zdaje, czy to naprawdę numer dwunasty?

— Numer jest, ale gdzie dom?

— Jeżeli numer jest, to i dom się znajdzie.

152

Przed nimi ciągnęło się wysokie ogrodzenie z betonowych segmentów, a za ogrodzeniem istniała dzungla: zdziczałe krzewy bzu i jaśminu, drobnolistne akacje, czarny bez, kilka świerków i skłębione chwasty. Domu nie było widać.

Po chwili doszli do miejsca, gdzie niegdyś była brama wjazdowa i furtka, a obecnie z połamanych słupków betonowych sterczały jedynie żelazne pręty. Od tego miejsca w głąb zielonej dzungli prowadziła wąska, zarosła trawą ścieżka.

— Walimy — wyszeptał cicho Cegielka.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył w głąb posesji. Miał takie uczucie, jakby wybierał się w daleką wyprawę, a każdy krok groził, niebezpieczeństwem. Szedł wolno, rozglądając się bacznie na wszystkie strony. Ścieżka przecinała pole dojrzałych ostów i żarnowca, a potem ginęła nagle w wybitym w zieleni tunelu. Trzeba było schylać się, żeby przebrnąć przez ten warszawski busz.

Naraz, gdy tunel się skończył, ukazał się piętrowy dom. Z daleka wyglądał jak ka-mienna twierdza wyrastająca z zarośli. Tkwiła na podmurówce z polnego kamienia.

Ściany miał szare z nieotynkowanych pustaków. W murze, niby oko Cycłopa połyskiwało szybami jedno okno. Drugie było puste, zabite deskami. Do wnętrza prowadziły 153

drzwi wiszące na jednym zawiasie, a przed drzwiami dwa betonowe stopnie i betonowy taras zarośnięty już zupełnie chwastami. Na tarasie wygrzewał się w słońcu wielki, rudy kot.

Cegielka zatrzymał się.

— Pustelnia, niech mnie drzwi ścisną — wyszeptał zdumiony.

Karioka podeszła do niego.

— Czy tu ktoś mieszka? — zapytała wylękniona.

— Jeżeli jest kot, to i może człowiek się znajdzie.

— Aż strach na to patrzeć.

— Nie łam się — uśmiechnął się chłopiec. — Jeżeli wyjdzie jakiś duch, to w nogi, i cześć.

Zanim wypowiedział te słowa, w ciemnej czeluści za drzwiami coś zamajaczyło. Po chwili w drzwiach ukazała się drobna postać kobiety.

Cegielka szarpnął dziewczynę za łokieć.

— Karioka, toż to pani Tułajowa. Skąd ona tu się wzięła?

— Jaka pani Tułajowa?

154

— No, wiesz, mój kurator. Pewno przyszła tutaj nakarmić tego rudego kota.

Tymczasem kobieta wyszła na taras taszcząc z trudem wiadro pełne wody. Postawiła wiadro na schodkach i zniknęła w środku budynku.

— Dobra jest, mamy przynajmniej zahaczenie — ucieszył się Cegielka.

— Co ona tu robi?

— A bo ja wiem? To nieważne. Grunt, że można zasięgnąć języka. Dowiemy się co i jak.

— Dobrze, ale co powiesz? Przecież nie spadłeś z nieba.

— Drobnostka, coś wymyślę. Zobaczysz, jaka ta pani Tułajowa klasa — powiedział

i ruszył zwawo w stronę domu. Karioka poszła za nim niechętnie.

Weszli na taras. Na ich widok rudy kot zerwał się w popłochu i jednym susem znikł

w gąszczu chwastów. Cegielka zapukał w wiszące drzwi. Na odgłos pukania w sieni ukazała się pani Tułajowa. Była to osoba bardzo drobna i szczupła. Miała na sobie czarny, wyszarzały kostium, białą, pożółkłą bluzkę i czarne, mocno sfatygowane pantofle.

Cała była szara, jakby lekko osypana pyłem: szare siwiejące włosy, szara pomarszczo-155

na skóra i nawet oczy miała szarostalowe, lecz gdy spojrzała na człowieka, z jej oczu promieniowało ciepło i blask.

Na widok Cegiełki wydała okrzyk zdumienia:

— Bolek, na miłość boską, skąd ty się tu wzięłeś?

Cegiełka przywitał ją najmiłszym ze swych uśmiechów.

— Szanowanie pani kurator, mam wrażenie, że nie spodziewała się pani zobaczyć swego podopiecznego?

— Prędzej bym się gromu z jasnego nieba spodziewała. Co ty tu robisz, mój chłopcze?

— A nic, proszę pani — odparł pogodnie. — Zobaczyłem tę pustelnię i wstąpiłem.

Chcieliśmy sprawdzić, czy tu duchy mieszkają.

Pani Tułajowa uśmiechnęła się życzliwie.

— Ej, chłopcze, ciebie zawsze trzymają się żarty. Tu nie ma duchów ani upiorów, tylko mieszka jedna bardzo nieszczęśliwa osoba, której nie ma kto pomóc.

156

— Oczywiście, pani kurator znowu w charakterze dobrego ducha. Pani to zawsze ta-ka, o sobie nie pomyśli, tylko o innych. — Widząc, że kobieta sięga po wiadro z brudną wodą, wyręczył ją z ochotą. — Gdzie wynieść te zlewki?

— Dziękuję ci, Bolek — spojrzała na chłopca z uśmiechem. — Za dom, tam jest wysypisko. Niestety, ten dom jeszcze nie podłączony do kanalizacji i dlatego tyle roboty.

— Nie szkodzi. Ja od takiej roboty specjalista. Może przynieść świeżej wody albo naprawić coś w domu? Do mnie bez żenady. Pani mnie zna. Nie darmo pani moim kuratorem.

Porwał wiadro z takim zapalem, że aż woda chlusnęła na spodnie Karioki.

— Przepraszam, królewno! — zawołał i biegiem skierował się na ścieżkę, która ginęła za domem.

Karioka została sama z panią Tułajową.

— To stary dom? — zapytała, chcąc wykorzystać czas na przeprowadzenie wstępnego wywiadu.

157

— Nie tak stary, jak zniszczony. Po prostu ruina. Właściciel dawno się wyprowadził.

Jest tylko jedna lokatorka, i do tego stara, nieszczęśliwa osoba.

— A dlaczego właściciel tutaj nie mieszka?

— Licho go wie. Dziwak. Budował, budował, a potem nagle coś mu strzeliło do głowy i wyjechał. Potem znowu wrócił. . . A teraz chce podobno podarować ten dom.

— Tak? — krzyknęła niemal dziewczyna, lecz w porę zatuszowała zdziwienie i dorzuciła obojętnie: — To rzeczywiście dziwak. Dom wprawdzie w opłakanym stanie, ale w każdym razie dom. . . A kto jest właścicielem? — zapytała nie zmieniając tonu.

Pani Tułajową przyjrzała się jej baczniej, jakby chciała zapytać: „Co ty się tak wypytujesz, panienko?” — ale wnet odpowiedziała:

— Niejaki pan Mauer. Zamożny człowiek. Przed wojną miał fabryczkę w Bydgosz-czy, a po wojnie. . . Różnie o nim mówią. W każdym razie stać go było na wybudowanie domu.

— Ciekawe — uśmiechnęła się Karioka. — Mówi pani, że jest bogaty?

— Tak ludzie twierdzą, jeżeli w naszych czasach i warunkach w ogóle można mówić o bogatych.

158

— Rozumiem — mrugnęła porozumiewawczo. — A czy pani nie wie, co go skłoniło do opuszczenia domu?

— Mówiłam ci, że to setny dziwak. Podobno ma manię prześladowczą i bał się, że go tu napadną i obrabują.

Piękne, zielone oczy Karioki zaokrągliły się.

— Bardzo interesująca sprawa — szepnęła jakby do siebie. — Zapewne posiadał jakieś pieniądze.

— Ja tam w jego kieszeni nie siedziałam. Jeżeli się bał, to widocznie nie bez powodu.

— I tak nagle opuścił ten dom? To rzeczywiście zagadkowa historia. . . — urwała, gdyż zza węgła wybiegł zziąjany Cegielka.

— Zrobione, psze pani. A może jeszcze coś wynieść, przynieść, ewentualnie załatwić? — zapytał stawiając z hukiem wiadro przed panią Tułajową.

— Dziękuję ci bardzo, mój miły. Ja już, niestety, muszę iść. Mam jeszcze wstąpić do jednej pani, która znalazła bezdomnego szczeniaka. . .

— Szkoda. Dzisiaj taka pogoda, że niejedno dałoby się zrobić.

159

— Jesteś bardzo miły. Jeżeli miałbyś ochotę, to może przyjdiesz jutro rano? Zrobimy razem porządki. — Spojrzała w stronę uchylonych drzwi korytarza. — Pani Kokoszyńska będzie ci bardzo wdzięczna. To rzeczywiście nieszczęśliwa osoba, na wpół sparaliżowana.

— Zrobione — powiedział ochoczo Cegiełka. — Może pani liczyć na moją pomoc.

Pani Tułajowa pożegnała się i weszła do domu.

— I co? — zapytał szeptem Cegiełka. — Puściła farbę?

Karioka przytknęła palec do ust ruchem nakazującym milczenie.

— Mówię ci, wielka sensacja. Wszystko się mniej więcej zgadza. Właściciel nazywa się Mauer, ma lekkiego fioła i manię prześladowczą. Bał się mieszkać w tym domu i zwiął. Widocznie ma ukrytą grubszą forszę. . .

— To bomba — wyszeptał z przejęciem Cegiełka. — Bo ten list pisał chyba facet z lekkim fiołem. Prognoza na jutro znakomita. Słyszałaś, jak załatwiłem całą sprawę?

Jutro możemy tu przyjść w charakterze opieki społecznej i zbadać wszystko bez pudła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

1

Można sobie wyobrazić minę pani Tułajowej, kiedy na drugi dzień przed domem Mauera, zamiast jednego Cegiełki, zobaczyła całą piątkę z gangu Tolka Banana. Siedzieli na tarasie, jakby na nią czekali.

Na jej widok Cegiełka zerwał się i przywitał ją z godną miną.

— Przyprowadziłem tu całą brygadę. Postanowiliśmy zrobić remont generalny, żeby ta nieszczęśliwa osoba nie pomyślała, że jest sama na świecie.

161

— Bolek — powiedziała uradowana pani Tułajowa — zrobiłeś mi najmiłą niespodziankę. Ale co będziecie robić?

Cegiełka skłonił się z gracją.

— Do usług, pani kurator. W takim domu robota znajdzie się dla całej kompanii.

Niech pani tylko wyda dyspozycje, a my zakaszemy rękawy. Ferajna jest nieprzepracowana. Nie warto ich oszczędzać.

Pani Tułajowa badawczym spojrzeniem objęła całą malowniczą grupę.

— Jeżeli się nie mylę, to znam niemal wszystkich.

— Kto by ich nie znalazł? Najlepiej zna ich nasz dzielnicowy — palnął z cwaniackim zmrużeniem oka.

— Tylko tego kawalera sobie nie przypominam — krótkim ruchem głowy wskazała Julka Seratowicza.

— To świeży, pani kurator, praktykant. Jeszcze nic nie ma na sumieniu.

— Obawiam się — zażartowała — że niedługo będzie taki świeży.

— To się dopiero okaże. Morowy chłop, tylko trochę za bardzo wyniańczony. Robota mu nie zaszkodzi.

162

— Oj, Bolek, Bolek, ty zawsze znajdziesz odpowiedź — pogroziła mu żartobliwie palcem. — Co ja z wami wszystkimi zrobię? Jeżeli macie ochotę, to świetnie, zacznie-my generalne porządki.

Jeśli Cegiełka mówił, że robota im nie zaszkodzi, nie przesadzał. Natomiast pani Tułajowa bardzo się myliła, sądząc, że palą się do niej. Co innego zaprzętało im myśli.

Decyzja zapadła jeszcze wieczorem na naradzie w Klondike. Szef uważnie wysłuchał

sprawozdania Cegiełki i Karioki, a potem sam Cegiełka poddał genialną myśl. Zdarzała się wyjątkowa okazja do przetrząśnięcia całego domu i wyjaśnienia tajemnicy zakopanej na działkach puszek. Szef w lot się połapał, że najlepiej będzie, jeśli wszyscy zgłoszą się ochotniczo do pracy. Ot, proszę, życie samo podsuwa pomysły.

Pani Tułajowa wprowadziła ich do korytarza. Zatrzymała się, zapukała cicho do drzwi. Po chwili dał się słyszeć nikły głos:

— Proszę.

Weszli do niewielkiego pokoju. Na tapczanie leżała stara kobieta. W półmroku wyglądała jak nieruchoma kukła. Twarz miała martwą, obrzękłą, oczy ginęły w fałdach pomarszczonej skóry. Robiła przygnębiające wrażenie.

163

— Proszę pani — powiedziała pani Tułajowa od progu — przyprowadziłam największych łobuzów z całej okolicy.

Przez martwą twarz chorej przemknął cień uśmiechu.

— Proszę, proszę — jej głos brzmiał głucho. — Jaka to bieda, że nie mam ich czym poczęstować.

— My nie na poczęstunek, psze pani — wyjaśnił Cegiełka. — My tu w charakterze pomocy domowej.

Nie zrozumiała. Pytające spojrzenie skierowała do pani Tułajowej. Ta wytłumaczyła:

— Chcą pani pomóc, posprzątać, zrobić generalne porządki. Widocznie bardzo na-broili i teraz pragną odpokutować.

Kobieta zdumionymi oczami wodziła po twarzach przybyłych.

— Porządki? Może z komitetu blokowego was przysłali?

— Nie, psze pani, my sami, z własnej woli.

164

— To zdumiewające — wyszeptała chora. — Od kiedy przestałam śpiewać, nikt się mną nie interesuje. I gdyby nie łaskawa pani, to umarłabym i nikt by nawet o tym nie wiedział.

— Pani Kokoszyńska — wyjaśniła pani Tułajowa — była kiedyś znaną śpiewaczką.

Chora uniosła się z wysiłkiem.

— W Operze Wiedeńskiej śpiewałam, kwiatami mnie zasypywali, a potem. . . —
urwała nagle i bezsilnie opadła na poduszkę.

Cegiełka skłonił się szarmancko.

— Bardzo nam miło poznać sławną artystkę. — Naraz szerokim gestem wskazał

Cygana. — My też mamy artystę. Ma muzyczne zdolności. Młody Paganini. Pokaż się, Cygan — złapał chłopca za ramię i wypchnął przed siebie.

Twarz chorej jakby ożyła, a martwe oczy zajarzyły się.

— Na skrzypcach grasz, chłopcze? A kto cię uczy?

Cygan wzruszył ramionami.

— Ja sam. . . ze słuchu.

Pokiwała głową.

— Zmarnujesz się, zmarnujesz.

— Słuch ma, tylko uczyć mu się nie chce — wtrąciła pani Tułajowa. — Woli grać po knajpach niż do szkoły chodzić. Ot, cała zagadka. Już nieraz mu mówiłam. . .

Cegielka, chcąc ratować kolegę z opresji, przerwał jej w pół słowa:

— On, psze pani, ma artystyczne zdolności, a najlepiej umie myć podłogę. Proszę mu tylko pokazać, gdzie mydło i ścierka, a zaraz da pani koncert. . .

— Ty, filozof — szepnął zrozpaczony Cygan i niewidocznym ruchem kopnął go w kostkę.

— Przepraszamy — ciągnął Cegielka — ale czas ucieka, a my nawet nie starliśmy kurzu.

Pani Tułajowa zaśmiała się.

— Co ci się stało, Bolek? Jeszcze nigdy nie widziałam cię tak chętnego do roboty.

— To dla pani kurator niespodzianka. — Nagle odwrócił się do kolegów i zawołał

wesoło: — Do roboty, wiara! Żeby mi było czysto jak w wiedeńskiej operze!

Warto było zobaczyć sławnych gangsterów od Tolka Banana, jak nagle przemienili się w wysoko wykwalifikowanych sprzątaczy. Cegielka z Cyganem zabrali się do mycia podłogi, Julek robił porządki na półkach, a Karioka z Filipkiem urządzili wielkie pranie.

— Te, Karioka — mówił Filipek ze zwykłą sobie powagą — uważaj, żeby ci lakier z paznokci nie odprysnął i żebyś sobie skóry na palcach nie zdarła.

— Nie mędrkuj — ofuknęła go dziewczyna. — Kolorów nie kładzie się do białej bielizny.

— Muka! — odburknął. — Tu wszystko czarne jak święta ziemia. Widocznie ostatnie pranie było przed wojną.

— Trzyj lepiej o tarę.

— Szkoda, że elektrycznej pralki nie ma. Dosyp jeszcze proszku, bo za mało się pieni.

Karioka westchnęła.

— Ten nasz szef ma pomysły. W domu nigdy nie prałam.

— Muka — jęknął Filipek. — Myślisz, że ja skarpetki kiedy sobie przeprałam? Ale jak szef chce, to szkoda gadać, warto się pomęczyć. Sama mówiłaś, że ten Mauer musiał

mieć dużą forszę, skoro bał się napadu. Drogo za to pranie zapłaci. No, wykręcaj, co się gapisz?

Tymczasem Cegiełka wytarł do sucha ostatni ką. Z wyrazem dumy spojrzął na chorą.

— Fachowa sprzątaczką z ministerstwa higieny lepiej by pani podłogi nie umyła.

Jak lustro. Można się przejrzeć i własne odbicie zobaczyć.

— Dziękuję wam, moi mili. Dziękuję serdecznie — mówiła z wysiłkiem.

— Nie ma za co, psze pani. My tylko spełniamy swój obowiązek. A podłoga jak lustro — spojrzął z zachwytem na wytarte linoleum i na białe deski przeświecające przez dziury. — Popatrz, Julek!

Julek był już tak zmęczony, że nie potrafił ocenić mistrzowskiej sztuki kolegi.

— Duszę się — powiedział kaszląc. — Tu chyba zalega kurz z epoki łupanego kamienia.

— Wytarłeś wszystko na glanc?

— Zobacz, jeśli nie wierzysz.

— To dobrze — podsunął się bliżej i szepnął: — Teraz dopiero zaczynamy prawdziwą robotę. — Dał mu znak, żeby wyszedł za nim. Gdy znaleźli się za domem, przymru-

zył porozumiewawczo oko. — Miałem klasa pomysł, co? Niby generalne sprzątanie, a tymczasem fachowa akcja. Te, umiesz dobrze rysować?

— Nieźle.

— To zrobisz najpierw szkic sytuacyjny całego ogrodu, a potem plan tego zabytkowego pałacu. Ja walę do Karioki. Musimy nareszcie zbadać, czy klucze pasują. —

Wyjął z kieszeni pęk kluczy, które znaleźli w puszcze, i podrzucił go kilka razy w dłoni, a potem zapytał: — No, jak się czujesz, chłopie? Jak ci się podoba nasza paczka?

— Klasa.

— A w domu nie masz trudności?

— Jakoś daję sobie radę. Wczoraj mama dziwiła się, że grając w tenisa natarłem sobie pęcherze, ale jej wytłumaczyłem, że miałem mocnego przeciwnika. Zresztą mama jest nawet zadowolona, bo nareszcie mam dobry apetyt.

— To zdrowo! — Cegiełka trącił go gestem przyjaznej aprobaty. — Trzymaj się.

A jak będziesz potrzebny, to gwizdnę na palcach.

169

Odwrócił się i pokuśtykał w stronę drzwi. Karioka płukała w wielkiej balii bieliznę.

— Niech Filipek z Cyganem skończą tę przepierkę, a my walimy na zwiad — szepnął Cegielka. — Trzeba sprawdzić, czy klucze pasują.

— Pani Tułajowa już poszła? — zapytała dziewczyna.

— Poszła nakarmić bezdomne szczeniaki. Teraz możemy uczciwie pracować.

Weszli do sieni. Sień była długa i mroczna. Z prawej prowadziły drzwi do mieszkania pani Kokoszyńskiej, z lewej do pokoju, którego zabite okno widać było od frontu.

W głębi widniały masywne żelazne drzwi.

— Sprawdzimy najpierw te żelazne — szepnął Cegielka. Wyjął z kieszeni pęk kluczy. Najpierw przyjrzał się zamkowi, a potem fachowo ocenił klucze. Wybierał z rozwagą. Wreszcie wyłuskał cienki, długi, z masywną nakładką. Wsunął go wolno w otwór zamku.

— Trafiłem w dziesiątkę — powiedział zadowolony. — Co fachowiec, to fachowiec.

Przekręcił klucz. Zachrobotąło coś wewnątrz, ale klucz obrócił się. Chłopiec nacisnął klamkę. Drzwi zapiszczały i ustąpiły pod naporem ręki.

170

Ujrzeli strome, kamienne schody. Okrywała je gruba warstwa kurzu i śmieci; stare gazety, kartki powyrywane z książek, puszki po konserwach, kawałki sznurka, szmaty. . .

— Trupiarnia — szepnął Cegielka.

— Aż strach tam iść.

Cegielka pierwszy wśliznął się przez uchylone drzwi. Spod stóp unosił się drobny pył i smugami drżał w pasmach padającego z góry światła.

Szli ostrożnie, krok za krokiem, jak gdyby bali się, że następny stopień przyniesie jakąś przykrą niespodziankę. Schody doprowadziły ich do korytarza oświetlonego niewielkim oknem. Korytarz zawalony był gratami: jakaś stara kanapa z pluszowym obiciem, z której jak skręcone węże wyzierały zardzewiałe sprężyny, połamana półka na książki z resztkami czasopism, krzesło wyplatane wikliną, dwa wazony ze zwiędłymi kwiatami, obrazy bez ram, kryształowy żyrandol rzucony w kąt.

— Trupiarnia do drugiej potęgi — zaśmiał się cicho Cegielka.

— Duszę się. Nie ma czym oddychać — dodała Karioka.

— Upiory tu na pewno straszą. . .

171

— Przestań, bo wracam.

— Zupełnie jak w książce albo na filmie.

Cegiełka rozejrzał się uważnie. Korytarz kończył się ślepo przewodem kominowym.

Z prawej widniała framuga drzwi zabita dokładnie grubymi deskami, z lewej były normalne drzwi. Cegiełka znowu zaczął grzebać w pęku kluczy.

— Otwieraj, bo już nie mogę wytrzymać z ciekawości — szepnęła Karioka.

— Nie denerwuj się. Tu trzeba fachowo.

Cegiełka przekręcił klucz, nacisnął kłamkę. Zazgrzytał stary zamek, zapiszczały przeraźliwie zardzewiałe zawiasy. Drzwi ustąpiły.

Z lękiem i ciekawością rozejrzeli się po pokoju.

Była to duża mansarda z głęboką wnęką okienną, zagracona do granic pojemno-

ści. Stół, pod ścianą masywne biurko i tapczan przykryty wełnianą narzutą. Naprzeciw oszklona biblioteka, żardyniera i dwie puste półki. Po kątach piętrzyły się zwały książ-

zek, na środku podarte gazety i roczniki czasopism. Na ten piekielny bałagan spoglądała z portretu młoda kobieta. Na jej wargach igrał lekki uśmieszek politowania. Obok portretu wisiał piękny jesienny pejzaż przedstawiający leśną drogę. Niżej kilka poźółkłych 172

rodzinnych fotografii. I kilka widokówek powtykanych za ramki fotografii. A wszystko w nie kończącym się splocie pajęczych sieci i pod ponurym pokładem kilkuletniego kurzu.

— Smutno tu — wyszeptała Karioka.

— Smutno — powtórzył Cegiełka. — Ale będzie można pomyszkować.

— Nie teraz. . .

— Oczywiście, nie teraz. Teraz musimy zobaczyć, co jest w tym drugim pokoju.

— Przecież ten drugi pokój zabity deskami.

— Nie szkodzi — powiedział Cegiełka. — Damy sobie radę.

Przeszli na drugą stronę korytarza. Cegielka zbliżył się do drzwi. Zaczął bacznie obserwować każdą deskę. Wreszcie znalazł nieco cieńszą. Pchnął ją. Pod naporem jego ramienia trzasnęła z hukiem.

— Ciszej — szepnęła Karioka.

Cegielka zamrugał z zadowoleniem.

— Mamy szczęście. Spróchniała.

173

Zajrzeli do środka. Pokój był też mansardowy, lecz zupełnie pusty. Naprzeciw drzwi widniało okno z wybitymi szybami, a za oknem płatanina gałęzi i kawał czystego nieba.

Podłogę zaścielała warstwa kurzu, śmieci, słomy i liści. Na nagich ścianach widniały ciemniejsze prostokąty po zdjętych obrazach i sieci pajęczne. Z boku, przy oknie, wisiał

jedyny obraz: błękitne jezioro, a po nim sunące z rozpostartymi skrzydłami łabędzie.

W tej chwili łabędzie nie obchodziły naszych gangsterów. Stali w milczeniu, jakby chcieli zapytać, jaka tajemnica kryje się w tym starym domu? Jaki skarb tutaj znajdą?

Pierwszy ocknął się Cegielka.

— Niech mnie drzwi ścisną — powiedział szeptem. — Musimy zameldować szefowi, że wykonaliśmy zadanie.

174

2

Wieczorem przyszedł Tolek Banan. Było pogodnie i cicho. Dom tonął już w cieniu otaczających go drzew. Pod dachem gruchały gołębie i dzikie pszczoły bzykały wśród zarośli, a na najwyższym drzewie, starym, rozłożystym dębie, śpiewała wilga.

Tolek Banan kazał się prowadzić na górę. Cegielka otworzył drzwi wiodące do umeblowanego pokoju. Pierwszy do środka wszedł Cygan. Był blady i oczy płonęły mu z podniecenia.

— Szefie — zwrócił się do Tolka Banana — może byśmy zaczęli?

— Co chcesz zaczynać?

— Czuję przez skórę, że właśnie tutaj jest ten skarb.

— Skarb Mauera — westchnęła Karioka.

Tolek Banan uśmiechnął się tajemniczo.

— Musimy jeszcze poczekać. Najpierw trzeba się tutaj zadomowić, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi.

Cygan zaśmiał się kpiąco.

175

— Chyba nie będziemy całe życie prać brudnej bielizny.

Przez łagodną twarz szefa przemknął cień.

— Ty — powiedział — widzę, że ci się u nas nie podoba?

— Czemu nie. Tylko wypadałoby zacząć robotę.

— Jeżeli chcesz kozakować, to zjeżdżaj, pókim dobry, bo potem, jak mi skrewisz, będzie bardzo przykro.

Chłopiec cofnął się gwałtownie, jakby chciał szukać drogi do ucieczki.

— A co ja takiego powiedziałem?

— Grymasisz. Mówiłem, że musi być dyscyplina.

— Dobra rzecz.

— I organizacja.

— W dechę, tylko dlaczego szef tak na mnie krzyczy?

— Bo zaczynasz mi się stawiać, a tego nie lubię. Chcesz ze mną żyć w zgodzie, to się nie szarp.

Cygan opuścił głowę.

— W porządku, szefie.

176

— Pamiętaj. — Podeszedł do niego i przyjaźnie klepnął go w ramię. — Na wszystko przyjdzie czas, Cygan. Mam nadzieję, że się rozumiemy.

— Chyba tak. . .

Tolek wyciągnął do niego rękę.

— To dawaj grabę i nie patrz tak na mnie.

Cygan niechętnie wyciągnął rękę.

— Dobra jest — powiedział przeciągle.

Przeszli do pokoju po przeciwnej stronie korytarza. Deski uprzednio odbił Cegiełka.

Teraz wejście prowadziło przez pustą ramę drzwi.

Tolek stanął na środku, wśród śmieci i szeleszczących pod stopami liści. Rozejrzał się, a gdy zobaczył obraz z łabędziami, roześmiał się.

— Nawet łabędzie na ścianie — powiedział z humorem.

— Luksus — podjął wesoło Cegiełka. — Widok na dżungłę, powietrze mahoniowe, a pokój jak u ciotki Klotyldy na poddaszu. Trzeba tylko zabrać się do roboty.

— A najważniejsze, że nie trzeba płacić czynszu — dodał uroczyście Filipek.

Tolek zatarł dłonie.

177

— Świetna melina. Daleko od zabudowań, dokoła zarośla i krzaki, a w razie wyspy można wiać przez okno. No, mówcie, jak wam się podoba?

Karioka przechyliła głowę.

— Zupełnie tu przytulnie, tak jak w paryskiej mansardzie. Tylko ten obraz z łabędziem trzeba będzie zdjąć, bo nie mogę na niego patrzeć. Kicz.

Cegiełka zachnął się gniewnie:

— Przepraszam cię, Karioka, ale nie masz racji. Przecież te łabędzie jak żywe. Jak w Łazienkach.

— Kicz, szkoda gadać. Do tego wnętrza przydałby się jakiś nowoczesny obraz. Pi-casso, Chagall albo Miro. . .

— Nie imponuj, nie imponuj — zaśmiał się Cygan. — Idź do porządnego domu na Pradze, to zobaczysz, co wisi na ścianie: albo jelenie, albo łabędzie, albo nimfy kąpiące się w rzece.

Karioka bezradnie opuściła rękę.

— Trudno, nie wytłumaczę wam, że to okropny bohomaz. Julek — spojrzała na Seratowicza — powiedz, czy tobie podoba się ten kicz?

178

Julek wzruszył ramionami.

— A szefowi? — rzuciła błagalne spojrzenie.

Tolek przeciął ręką powietrze.

— Łabędzie podlegają ścisłej ochronie. Niech zostaną. Grunt, że jest świetna melina. Będę mógł ukrywać się tutaj spokojnie. Ale nadal musimy zachować wszelkie pozory.

— To się samo przez się rozumie — powiedział poważnie Filipek.

— Co? — zapytał szef.

— No, w ogóle. . . Na przykład możemy pomagać tej biednej chorej: nosić jej wodę, robić porządki. Niech myślą, że jesteśmy od pani Tułajowej.

Tolek mrugnął porozumiewawczo.

— Ty, Filipek, masz zawsze głowę na karku. Musicie tak się zachowywać, żeby mój pobyt nie zwrócił uwagi. Zorganizujemy dyżury, podzielimy pracę i wszystko będzie w porządku.

— Będziemy mieli fantastyczną melinę. Najpierw zrobimy generalny remont. . . —
stwierdził Cegiełka.

179

— Kto zrobi? — zapytał Cygan z odcieniem kpiny w głosie.

— A my! — zawołał z zapałem Cegiełka. — Wymyjemy podłogę, pobielimy ściany, wprawimy szyby i drzwi. Czy to taka filozofia?

Karioka zrobiła kilka tanecznych kroków.

— Ja uszyję firanki. Mam gdzieś w domu kawałek bardzo ładnego kretonu. Myślę, że wystarczy na jedno okno.

— A ja. . . — wtrącił nieśmiało Julek Seratowicz — mogę przynieść rozkładane łóżko. . . No i ten koc, pod którym szef spał u mnie na strychu.

— Muka — dodał Filipek. — Jak się uda, to przytaszczę stary fotel na biegunach.

Babcia go bardzo lubiła, ale od kiedy umarła, leży na strychu.

— Kto leży na strychu? — zachichotała Karioka. — Chyba nie babcia.

— Fotel. Mówię ci, że fotel. Szef będzie mógł się bujać i w ogóle będzie komforto-wo.

— Komfortowo — wtrącił nieśmiało Cygan. Po starciu z szefem był jeszcze naburmuszony, ale wnet ożywił się i dokończył: — Zapomnieliście o świetle. Mam na strychu fantastyczną lampę z abażurem. Niech stracę. . . Mówię wam, dzieło sztuki.

180

Tolek chlasnął dłonią o udo.

— Jak dzieło sztuki, to przynosć.

Cegiełka wbił oczy w podłogę i spocone dłonie wycierał o spodnie. Naraz uniósł głowę i spojrzał im w oczy.

— Było, nie było, przyniosę ten radioaparat. Klasa! Jak nic odbiera Luksemburg i Monaco. Będziemy słuchali Matysiaków i transmisji z meczów.

— Ma gest — westchnął z podziwem Filipek.

Wszyscy ze zdumieniem patrzyli na Cegiełkę. Chłopiec uśmiechnął się.

— Jak ma być porządna melina, to i radio być musi. No, nie?

Teraz skierowali wzrok na Tolka Banana. Stał przed nimi z rękami wbitymi w kieszenie. Oczy płonęły mu radością. I już wtedy wiedzieli, że będzie porządna paka.

Tolek uśmiechnął się do nich.

— W porządku, wiara. Cieszę się, że znaleźliśmy ten dom. Jutro zabieramy się do sprzątanania, pojutrze robimy remont i meblowanie, a za trzy dni otwieramy nasz klub.

— Klub gangsterów „Pod Dębem” — westchnął radośnie Cegiełka.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

1

Minęło kilka dni.

Spadł krótkotrwały, ulewny deszcz, jakby ktoś cebrzyk wody wylał na miasto. Zrobiło się rześko, zapachniało soczystą zielenią. Skrajem ulic płynęły mętne strumienie wody. I ptaki zaczęły śpiewać w wysokich topolach. Nad miastem zapłonęła łuna wieczornych świateł.

182

Karioka, Cegiełka i Julek wracali do domu. Na rogu Waszyngtona i Suskiej Cegiełka nagle przystanął.

— No, to ja walę do chaty — powiedział z odcieniem żalu w głosie. Przykro mu było rozstawać się z kolegami po tak pięknym i pełnym wrażeń dniu.

— Co się tak spieszysz? — zagadnęła Karioka. — Możemy jeszcze chwilę pogadać.

Cegielka uśmiechnął się.

— Niech będzie. Może starego jeszcze nie ma w domu. A zresztą powiem, że byłem u Franka Sałygi.

Ruszyli w głąb ulicy Suskiej. Było niemal pusto. Z konarów drzew sypały się wielkie krople i jak szklane paciorki opadały na wymyte chodniki. Zapachniało maciejką.

— Szkoda mówić — powiedział Julek. — Ten Tolek ma fantastyczne pomysły. Jeszcze nigdy nie bawiłem się tak dobrze.

— Pomysły to on ma — wtrąciła Karioka — ale tańczy niestety jak noga.

— Idź ty — oburzył się Cegielka. — Chciałabyś, żeby wszystko umiał.

— Nie, tylko stwierdzam fakt. Wspaniały chłopak, ale nie umie tańczyć. I w ogóle ten nasz klub to znakomita rzecz.

183

— Fantastyczna — powtórzył Cegielka — a najważniejsze, że jutro zaczynamy prawdziwą robotę. Zobaczycie, że przy Tolku Bananie zrobimy karierę.

— Jeszcze jaką — Julek zachłysnął się z przejęcia. — On jeszcze nie chce zdradzić tajemnicy, ale coś kombinuje.

— Słuchajcie — dodała szybko Karioka — jestem pewna, że na strychu albo w piwnicy znajdziemy grubszą forszę.

— Albo złoto i brylanty — wyszeptał Cegielka.

— Albo papiery wartościowe — dokończył Julek. — Widziałem jeden film, w któ-

rym pewien pan za parapetem okiennym znalazł cały plik akcji Forda. Ale nie wiedział, że to akcje, i chciał je spalić.

— U nas nie ma akcji — przerwał mu Cegielka. — U nas ludzie zakopywali forszę pod drzewem albo w piwnicy, albo na strychu trzymali w pończosze.

— Phi — prychnęła Karioka. — W pończosze trzymali pieniądze na wsi. Ten Mauer musiał być ładowany facet i zamurował pewnie w ścianie. Tylko gdzie? Przecież nie będziemy rozwalać całego domu.

Cegielka spojrział kpiąco.

184

— Nie znasz Tolka Banana. On pracuje systematycznie. Zobaczycie, że przyniesie taki aparat, który wykryje, gdzie są ukryte pieniądze albo złoto, albo. . .

— A może to nie jest forsa ani złoto? — przerwał mu Julek. — Może to zupełnie co innego?

Cegielka wzruszył ramionami.

— A co może być?

— Rozmaicie bywa. Widziałem raz taki film. Faceci szukali skarbu, ale zamiast skarbu znaleźli szkielet dinozaura i później otrzymali nagrodę od Królewskiego Towarzystwa Geograficznego z Londynu.

Znakomity radioamator parsknął śmiechem.

— Ty za dużo chodzisz do kina. U nas jeszcze nikt nie znalazł szkieletu dinozaura.

— Fantasta — dodała Karioka. — Co ci strzeliło do głowy?

Julek zachnął się:

— Przecież wszystko może się zdarzyć.

— Oczywiście — podjął Cegielka. — Przy Tolku Bananie wszystko jest możliwe, ale dinozaura nie znajdziemy, trzymam zakład.

185

Karioka zrobiła dwa taneczne kroki.

— Słuchajcie, co byśmy zrobili, gdyby tak nagle wpadła duża forsa?

Cegielka potarł nerwowo policzek.

— Już się nad tym zastanawiałem. Ja kupiłbym sobie fantastyczny wóz: mercedesa albo jaguara. . . Tylko nie mam jeszcze szesnastu lat i nie mógłbym dostać prawa jazdy.

— A ty? — Karioka trąciła Julka.

— Ja? Wiesz, że się nad tym nie zastanawiałem. Widziałem taki film: „Milioner”.

Facet dostał nagle w spadku milion i nie wiedział, co z nim zrobić. Nawet się zmartwił, bo do tej pory żył spokojnie, a tu nagle wszyscy zaczęli go nachodzić. Wreszcie się zdenerwował i zapisał forszę na przytułek dla starców.

— Idiota! — zawołała dziewczyna. — Ja to bym wiedziała, co zrobić. Po pierwsze, sprowadziłabym z Paryża takie kiecki, że koleżankom gały wyszłyby na wierzch. Po drugie, zrobiłabym taką prywatkę, że wszyscy piliby tylko szampana i jedli kawior.

Z fasonem, no nie? A po trzecie, prysnęłabym za granicę.

— Pewno do Miami — wtrącił Julek.

— Dlaczego właśnie do Miami?

186

— Bo tacy, co mają dużo forsy, jadą do Miami, a potem w kasynie grają w ruletkę, a w dzień kąpią się i piją whisky.

— To nie dla mnie. Ja sypnęłabym się do Jugosławii. Moja ciotka była w Dubrowniku i mówiła, że tam fantastycznie.

— Nie mamy jeszcze ani grosza, a już wybierasz się do Dubrownika — zaśmiał się kpiąco Cegiełka.

Karioka uczyniła nieokreślony gest ręką.

— Phi, pomarzyć nie można?

— Można — powiedział poważnie Cegiełka.

Zbliżali się do rogu Walecznych. Szli chwilę w milczeniu, każdy zajęty swoimi my-

śłami. Ulica była niemal pusta. W głębi starsza pani szła z rudym spanielem. Przemknął

chłopiec na rowerze. Jakaś para trzymając się za ręce przeszła jezdnię w miejscu skrzy-

żowania i zniknęła za rogiem. Ktoś grał na fortepianie. Skądś z radia płynęła rzewna muzyka wiolonczeli.

Przeszli w milczeniu przez jezdnię, a gdy byli po przeciwnej stronie, Cegiełka zatrzymał się nagle.

187

— To ja już walę do domu.

— Chodź jeszcze kawałek, tak się przyjemnie rozmawia — powiedział Julek.

— Nie da rady. Stary cięty na mnie. — Odwrócił się, skinął im zdecydowanym ruchem ręki. — To jutro o dziesiątej. — Wstąpił na jezdnię i wtedy z Walecznych wyjechał

z wielką szybkością samochód.

— Uwóżaj! — krzyknął przeraźliwie Julek.

Usłyszeli zgrzyt hamulców, a potem rozpędzony wóz zatańczył na śliskim asfalcie i rozkołysanym cielskiem uderzył w chłopca. Ten rozpostarł szeroko ramiona, jęknął

i jak martwy runął na ziemię.

Samochód ślizgając się na kołach wpadł w ulicę Suską, uderzył o krawężnik. Opony odbiły go na środek jezdni. Ktoś zaklął wewnątrz zajadle. I nagle silnik zagrał jękliwie, a wóz pomknął z jeszcze większą szybkością, mrugając w ciemnym wąwozie ulicy czerwonymi światłkami.

I znowu wszystko zamarło. A na skraju jezdni, tuż przy krawężniku, leżało nieru-chome ciało chłopca.

188

Przez chwilę nie mogli zrozumieć, co się stało. Pierwszy zerwał się Julek. Podbiegł

do leżącego, uklęknął i chwycił go za ramię.

— Cegiełka! — zawołał. — Cegiełka!

Chłopiec nie odpowiedział. Leżał na brzuchu, policzkiem przywarł do mokrego as-faltu. Julek szarpnął go za ramię. Cegiełka jęknął cicho.

— Żyje! — zawołała Karioka.

— Żyje — powtórzył Julek.

Karioka stała nad nimi i wołała w panicznym przerażeniu :

— Ratunku! Ratunku!

Ktoś wyszedł z najbliższego domu, ktoś zjawił się z za rogu, ktoś biegł pustą ulicą.

I nagle wokół leżącego zgromadzili się ludzie. Mężczyzna w białej koszuli odsunął

energicznie Julka. Uklęknął obok Cegiełki, uniósł go, a potem odwrócił. Ujrzeni teraz twarz chłopca; na wpół przymknięte oczy, zdarte do krwi czoło, rozchylone usta. Jęczał

cicho i ustami chwytał powietrze.

— Żyje — powiedział spokojnie mężczyzna. — Niech ktoś zadzwoni po pogotowie.

— I na milicję — dodał ktoś z boku.

189

Starsza pani ze spanielem wzdychała ciężko:

— A to bandyta, drań! Nawet się nie zatrzymał.

Ktoś zapytał z boku:

— Widziała pani, jaki to był wóz?

— Nie. Jechał bardzo szybko. Widziałam, jak się oddalał. To przecież straszne. Nawet się nie zatrzymał.

W głębi Suskiej ukazały się dwa światła.

— Jedzie jakiś wóz — powiedział ktoś za Julkiem.

— Niech go pan zatrzyma — rozkazał mężczyzna w białej koszuli.

Młody człowiek w deszczowym płaszczu zarzuconym na ramiona stanął na środku ulicy. Dawał znaki kierowcy. Tamten zwolnił, zjechał na skraj ulicy i zatrzymał się przed zbiegowiskiem.

— Panie szanowny — podbiegł doń młodzieniec — wypadek. Trzeba zawieźć chłopca do szpitala.

Na twarzy kierowcy pojawił się grymas zniecierpliwienia.

— Spieszę się jak rany. Nie ma tu gdzieś karetki pogotowia?

190

Starsza pani powiedziała:

— Zanim przyjedzie pogotowie, chłopiec może wyzionąć ducha. Serca ludzie nie mają.

— No dobrze — westchnął kierowca — dawajcie go, tylko gazem, i podłóżcie coś, żeby mi tapicerki nie zakrwawił.

Mężczyzna w białej koszuli z młodym człowiekiem unieśli delikatnie Cegiełkę, ułokowali go na tylnym siedzeniu.

— Wal pan do najbliższego szpitala — powiedział ten w białej koszuli do kierowcy. — Tylko duchem, bo może być źle.

— A gdzie to?

— Na Pradze. Przy kościele.

Kierowca zaklął soczyście.

— A skąd ja mam wiedzieć.

— Jedź pan, do jasnej. . . bo każda sekunda droga. Kierowca ze złością zatrzasnął drzwiczki.

191

Julek drżał. Było mu zimno. Czuł, że pot oblewa całe jego ciało. Szeroko rozwartymi oczami spoglądał to na Cegiełkę, to na ludzi. Chciał krzyknąć, żeby się spieszyli, lecz nie mógł wydobyć z siebie głosu. Był jak sparaliżowany. Dopiero gdy kierowca zatrzasnął

drzwiczki, Julek podbiegł do samochodu i zawołał:

— Ja z nim pojedę. To mój najlepszy kolega.

Kierowca wzruszył ramionami.

— I ja — wtrąciła Karioka.

Mężczyzna w białej koszuli otworzył drzwiczki.

— Tylko ostrożnie — ostrzegł ją. — Nie ruszaj go. Możesz mu przytrzymać głowę.

Karioka wsunęła się na tylne siedzenie. Ujęła delikatnie głowę Cegiełki, uniosła ją i położyła na kolanach, a potem uczyniła taki ruch, jakby go chciała pogłaskać.

Julek siadł przy kierowcy.

— Jedźmy — powiedział stłumionym głosem.

Tamten obejrzał się.

— A kto go tak urządził?

— Właśnie — westchnęła Karioka. — Gdyby to można wiedzieć.

192

Korytarz szpitalny wyglądał jak tunel wykuty w białym lodzie. Było cicho, tak cicho, że słyszeli tykanie ściennego zegara. Przez uchylone okno szedł chłodny powiew i zapach mokrej trawy.

— Kiedy ten doktor wyjdzie? — zapytał Julek. Siedzieli na ławce pod wyłożoną białymi kafelkami ścianą.

Karioka zrobiła niezdecydowany ruch ręką.

— Nie chciał nic powiedzieć.

— Widocznie jest źle.

Julek przymknął oczy i wtedy zdało mu się, że dwa mlecze kłosze wiszące gdzieś wysoko wirują wokół niego. Przetarł oczy.

— Nie mogę sobie darować, żeśmy go zatrzymali. Gdyby wrócił wtedy z rogu Waszyngtona, nie byłoby tego wszystkiego.

— Przestań — powiedziała Karioka. — Przecież nie mogłeś tego przewidzieć.

— Nie mogłem, a jednak jest mi cholernie głupio. Taki fantastyczny kolega. . .

Karioka wzruszyła ramionami.

— Myślisz, że mnie klawo? Przecież znam go od lat. Dobry kolega.

193

— Jeszcze jaki. Tylko strasznie pechowy. — Szarpnął Kariokę za rękaw. — Myślisz, że się wygrzebie?

— Jasne. Gdyby wpadł pod koła, to kaput, ale widziałeś, wóz rąbnął go bokiem.

W tym nieszczęściu miał trochę szczęścia.

Julek uścisnął mocniej jej ramię.

— Słuchaj, czy ty widziałaś, jaki to był wóz?

— Volkswagen.

— Mnie też tak się zdawało. Szary volkswagen.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Ma, bo łatwiej będzie znaleźć sprawcę.

Karioka zacisnęła pięści.

— Ja bym go posiekała na drobne plasterki. Ja bym go. . . — urwała nagle, a potem dodała z namysłem: — Ty, może on w ogóle nie zauważył Cegiełki?

— To niemożliwe. Słyszałem, jak zaklął.

— Racja, ja też słyszałam. A potem dodał gazu.

— Widocznie się wystraszył. Bandyta! Jak go złapią, to beknie.

194

— Porządnie beknie, to fakt. Ale czy on był sam w wozie?

— Na mur. Dobrze sobie przypominam. Mężczyzna i sam.

— Mnie też tak się zdawało. — Naraz machnęła bezradnie. — A czy to ma teraz jakieś znaczenie? Trudno go będzie znaleźć, szkoda gadać.

— Przecież nie może mu ująć tak bezkarnie. Milicja zacznie śledztwo. Wcześniej czy później wpadnie.

— To nie takie proste — powiedziała w zamyśleniu. — Czytasz gazety?

— No, czytam. A co?

— To spotykasz przecież takie ogłoszenia, że komenda milicji wzywa świadków wypadku. Często je zamieszczają w „Życiu Warszawy”. A jak nie mają dowodów, to klops, nic facetowi nie zrobią. A z tym naszym, to szkoda gadać. Po pierwsze, nie wiedzą, kto to był, a po drugie, gdyby wiedzieli, to i tak mu nie udowodnią, bo my nawet nie mamy pojęcia, jak on wyglądał.

Julek tarł w zamyśleniu policzek.

— Tak. . . To rzeczywiście trudna sprawa. Gdybyśmy chociaż zapisali numer rejestracyjny.

195

— Ba — westchnęła Karioka.

— W tej chwili to istotnie nie ma żadnego znaczenia. Żeby tylko Cegiełka wygrzebał się z tego. . .
— zamilkł. Przez chwilę jeszcze tarł policzek, potem zakrył twarz dłońmi i pograżył się w myślach.

Przypomniał sobie chwilę, kiedy Cegiełka wybiegł za nim z szopy. Widział dokładnie szeroką aleję parku Skaryszewskiego i siebie idącego tą pustą aleją, pogrążonego w bezsilnym żalu. A potem ujrzał Cegiełkę, jak biegł za nim kuśtykając na sztywnej nodze. I nagle wyłoniła się jego chuda twarz i oczy, które patrzyły trochę wyzywają-

co i trochę nieufnie, a jednak ciepło i przyjaźnie. Oto cały Cegiełka, chłopiec, który bezinteresownie i nieoczekiwanie ofiarował mu swoją przyjaźń. Ogarnął go ogromny żal.

Gdzieś w głębi korytarza skrzypnęły cicho drzwi, odezwały się czyjeś kroki. Podniósł głowę. Daleko, jakby w białym tunelu, zobaczył lekarza. Szedł w ich stronę zmę-

czonym krokiem. W oślepiającej bieli błyskały szkła okularów.

Julek wstał, ruszył na jego spotkanie.

— Panie doktorze, co z nim? — zapytał dławiąc się własnym głosem.

Lekarz zatrzymał się. Był w białym kitlu, w białej czapeczce, w białych spodniach.

W tej bieli wyglądał obco i złowieszczo, ale gdy spojrział na chłopca, na jego zaciśniętych wargach pojawił się nikły uśmiech, a w zmęczonych oczach błysk sympatii.

— Jak on się czuje? — powtórzył chłopiec.

Lekarz wolnym ruchem zdjął okulary.

— Możemy mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze — powiedział wolno i dobitnie, jak gdyby mówił do kogoś, kto stał daleko za plecami Julka.

Podeszła Karioka. — Panie doktorze, czy to coś ciężkiego?

Lekarz przecierał chusteczką szkła okularów.

— Złamanie nogi, pęknięcie podstawy czaszki, szok i ogólne potłuczenie — powiedział, jakby składał sprawozdanie. — Zawiadomcie rodziców, żeby się jutro zgłosili.

Karioka wysunęła się przed Julka.

— A jak on się czuje?

Lekarz przymrużył oczy i tak spojrział, jakby się dziwił.

— Tymczasem śpi w narkozie.

— I nic mu nie grozi? — wyszeptał Julek.

Lekarz wolnym ruchem nałożył okulary.

— Miejmy nadzieję. . . — Naraz spojrział na nich cieplej i uważniej. — Wy jesteście jego kolegami?

— Tak — odparli niemal równocześnie, a Julek zdążył dorzucić: — Najlepszymi kolegami.

— W takim razie możecie wracać do domu. — Zerknął na zegarek. — Późno już.

Wracajcie spokojnie i zawiadomcie rodziców.

Na drugi dzień w „Życiu Warszawy” ukazała się notatka: Wczoraj o godzinie dwudziestej pierwszej piętnaście u zbiegu ulic Suskiej i Walecznych samochód osobowy potracił czternastoletniego

Bolesła-wa Matulkę, zamieszkałego przy ul. Grenadierów 6. Chłopca w ciężkim 198

stanie przewieziono do szpitala praskiego. Sprawca wypadku nie zatrzymał

się przy swej ofierze i nie udzielił jej pierwszej pomocy.

Na tej samej, ostatniej stronie zamieszczono komunikat.

Komenda Milicji Obywatelskiej m. st. Warszawy wzywa świadków wypadku samochodowego, który zdarzył się wczoraj o godzinie dwudziestej pierwszej piętnaście na Saskiej Kępie, róg ulicy Suskiej i Walecznych, do złożenia zeznań w gmachu Komendy w pokoju nr 106.

Pani Teca energicznie podsunęła gazetę Julkowi.

— O, proszę, czytaj. Tyle tylko napisali o tym wypadku. O tym, że nie ma urodzaju na ogórki, to wypisali całą kolubrynę, a o biednym chłopcu kilka linijek najdrobniej-szym drukiem. Zawsze mówię, że nie ma i nie będzie na świecie sprawiedliwości. —

Uderzyła pulchną dłonią w rozłożoną gazetę. — Czytaj i jedz, bo ci jajecznicza wysty-gnie.

Julek przysunął bliżej gazetę. Uśmiechnął się żałośnie.

199

— Wie pani Teca, dopiero teraz dowiedziałem się, jak się nazywa Cegielka: Bolesław Matulko. Trochę dziwnie. A my wszyscy nazywamy go po prostu: Cegielka. I tak lepiej. Ładniej.

Pani Teca podsunęła mu szklankę mleka.

— Matulko też ładnie, od matuli. Ale czy to mu coś pomoże? Co się nacierpi, to się nacierpi, a wszystko przez takiego bandytę. Skaranie boskie z tymi samochodami.

Namnożyło się tego jak mrówek. Przejść przez ulicę spokojnie nie można. No, jedz, Julek, na co czekasz. Jajecznicza już pewno zupełnie zimna.

Julek odsunął talerzyk.

— Nie mogę.

— To napij się przynajmniej mleka.

Chłopiec uniósł szklankę do ust, lecz wnet ją odstawił.

— Nawet mleka nie mogę.

Pani Teca pogładziła go po głowie.

— Trudno, nie zamartwiaj się, bo wypadki chodzą po ludziach, a ten nasz Cegielka pechowiec, bo

pechowiec, ale zobaczysz, że się z tego wygrzebie.

200

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Pęknięcie podstawy czaszki to przecież poważna rzecz.

— Nieszczęścia chodzą po ludziach — powtórzyła ciężko wzdychając. — Taki miły chłopak. Trzeba mu będzie coś posłać, bo w tych naszych szpitalach to głodem ludzi morzą.

Julek uśmiechnął się.

— Dziękuję, pani Teciu. Właśnie chciałem panią o to prosić.

— Dla ciężko chorego najlepszy rosół z kury.

— Tymczasem proszę o trochę owoców.

— Co tam owoce. Zje i nawet nie poczuje.

— Jest po narkozie i na diecie.

Pani Tecia uniosła ręce ruchem dezaprobaty.

— O Boże, toć go do cna zamorzą.

W tym momencie zadzwonił telefon. Julek biegiem ruszył do hallu.

— To ja, Karioka — odezwał się głos dziewczyny. — Czekam na ciebie na rondzie przy przystanku trzydziestki.

— Dobra. Zawiadomiłaś rodziców?

— Matka ubrała się i pojechała zaraz do szpitala.

— A stary?

— Stary spał. Zdaje mi się, że w pestkę zalany.

— Czytałaś w „Życiu Warszawy”?

— Będziemy musieli sypnąć się do Komendy.

— Się wie, ale po szpitalu. Wzięłaś owoce?

— Będę miał. A co z naszą zbiórką?

— W porządku. Złapałam Filipka i powiedziałam, że nie przyjdziemy. Filipiek zawiadomi szefa.

— A oni się nie wybierają?

— Nie wiem. Bądź za pięć minut na rondzie, to pogadamy. Ciao!

Pięć minut po tej rozmowie Julek był na rondzie Waszyngtona. Na przystanku tram-wajowym zobaczył zieloną bluzeczkę Karioki. Dziewczyna stała smętna i zamyślona.

— Nie mogłam długo mówić przez telefon — powiedziała na przywitanie. — Szef już wie o wszystkim. Rano Filipiek zawiadomił go. Potem ja z nim rozmawiałam. Jest ogromnie przybity. Wiesz przecież, że on z nas wszystkich najbardziej lubił Cegielkę.

— To fakt — potwierdził Julek.

— Powiedział, że teraz musimy się nim zaopiekować.

— A co będzie z robotą?

— O tym nie wspominał. Mówię ci, był okropnie zdenerwowany. Nie chciał wierzyć, a potem jeszcze powiedział, że on się postara, żeby temu facetowi, co tak urządził

Cegielkę, nie uszło na sucho.

Julek ożywił się nagle.

— To morowy chłopak z tego Tolka.

— Klasa — podchwyciła Karioka. — Tylko co on może zrobić? Sam się przecież ukrywa.

— A my? Przecież my mu możemy pomóc.

— Zobaczymy — powiedziała w zamyśleniu. — Ale mówię ci, to nie taka prosta rzecz.

203

Nadjechała trzydziestka. Wsiadli do tramwaju. W szpitalu zatrzymał ich przy bramie portier.

— Dokąd to, szanowne towarzystwo? Nie wiecie, że o tej porze nie ma wizyt?

Karioka posłała mu jeden ze swych najładniejszych uśmiechów.

— Bardzo pana przepraszamy, my do tego chłopca, który wczoraj uległ wypadkowi.

— Nie ma mowy — zamruczał cerber. — Regulamin to regulamin i proszę nie kręcić się tutaj.

Karioka uśmiechnęła się tak uwodzicielsko, jakby miała przed sobą Burta Lancastera.

— Chcieliśmy tylko zapytać, jak się czuje. A pan taki miły. . .

Portier dopiero teraz raczył uważniej spojrzeć na dziewczynę.

— No, dobrze. Tylko pamiętajcie, że ja was w ogóle nie widziałem.

— Oczywiście. Dziękujemy ślicznie i będziemy tak cicho, jakby nas w ogóle nie było.

Wnet znaleźli się w tym samym korytarzu, w którym wczoraj czekali na lekarza.

204

Kilku chorych w szpitalnych szlafrokach siedziało na ławkach. Siostry w sztyw-nych, białych fartuchach przechodziły energicznym krokiem. Dwaj lekarze rozmawiali przed uchylonymi drzwiami gabinetu przyjęć.

— Trzeba będzie zahaczyć siostrę.

Nie czekając na odpowiedź Julka Karioka zbliżyła się do pielęgniarki, która właśnie wyszła spoza białych drzwi.

— Bardzo panią przepraszam, gdzie tu leży Bolek Matulko, który wczoraj uległ wypadkowi?

Siostra spojrzała nieufnie.

— Ten chłopiec z kraksy?

— Tak, proszę pani — odparł Julek.

— Na dwunastce — wskazała ruchem głowy. — Tylko nie siedźcie tam długo, bo to nie pora wizyt.

— Udało się — szepnęła Karioka, gdy pielęgniarka odeszła. — Trafiliśmy na jakąś szlachetną duszę.

205

Ruszyli w stronę wskazanych drzwi. W szpitalnej sali pierwszą osobą, którą ujrzał

Julek, była pani Tułajowa. Siedziała przy łóżku. Jej siwe włosy połyskiwały w ukośnej smudze światła bijącego od okna. Obok niej siedziała matka Cegiełka, bardzo lichy ubrana i bardzo mizerna. Poznał ją, gdy zwróciła bladą twarz ku wchodzącym.

A na łóżku leżał Cegiełka. Głowa cała w bandażach jak w białym skafandrze, ręce bezwładnie spoczywające na kołdrze, oczy przymknięte.

Zbliżyli się na palcach do łóżka. Pani Tułajowa przywitała ich skinieniem głowy.

— Jak on się czuje? — zapytał szeptem Julek.

— Rozmawiałam z lekarzem. Do tej pory wszystko w porządku. Jeżeli nie będzie komplikacji, to możemy być spokojni. A teraz jest bardzo wyczerpany.

Julek spojrzał na przyjaciela. Zdawało mu się, że Cegiełka rozchylił nieco powieki.

— Cześć — przywitał go szeptem.

Cegiełka uśmiechnął się. Jego złociste oczy nagle nabrały blasku.

— Przynieśliśmy ci trochę owoców — powiedział Julek.

Skinął im ręką.

— Dziękuję.

206

— I pozdrowienia od wszystkich — dodała Karioka.

— To klawo — wyszeptał z trudem. — Powiedzcie im, że się nie łamię. I żeby się nie przejmowali.

— Jak się czujesz?

— Nie jest źle — westchnął głębiej i przymknął powieki.

— Wystarczy — szepnęła pani Tułajowa. Uniosła się z krzesła. — Nie można go męczyć.

Julek czuł, że łzy napływają mu do oczu. Zagryzł wargi, żeby się nie rozpłakać.

Zbliżył się do Cegiełki, dotknął jego ciepłej dłoni.

— Cześć — powiedział.

— Cześć — wyszeptała Karioka.

Wyszli z dusznej sali. Przy Cegiełce została tylko matka.

*

*

*

Porucznik milicji, który ich przesłuchiwał, był to człowiek ciężki, zwalisty, o szerokiej, dobrodusznej twarzy.

207

— Przykry wypadek — powiedział niskim, przytłumionym głosem. — Rozesłali-

śmy wczoraj radiowozy na miasto, ale nikt nie potrafi nas poinformować nawet w takiej głupiej sprawie, jakiej marki był ten samochód.

— Volkswagen — wtrącił z należytą powagą Julek.

Oficer spojrzał na niego uważniej.

— Znasz się dobrze na markach samochodów?

— Oczywiście — powiedział z przejęciem. — Przecież moja mama ma peugeota i w ogóle my wszyscy interesujemy się wozami.

— Ja też — dodała Karioka. — To był na pewno volkswagen, ciemnoszary i prawie nowy.

— Chwileczkę — zastopował ją oficer. — Czy ten wóz odznaczał się czymś szczególnym?

Julek z Karioka zamienili pytające spojrzenia.

— Jeżeli się nie mylę — odparł Julek — to właściwie niczym się nie wyróżniał.

Chyba tym, że miał na dachu bagażnik.

— Jesteś pewny?

208

— Tak, bagażnik na pewno widziałem. Taki lekki, z metalowych rurek.

— A ty — zwrócił się porucznik do Karioki — spostrzegłaś bagażnik?

— Zdaje mi się, że tak.

Oficer rozłożył ręce.

— To i tak niewiele nam daje. Co drugi samochód w Warszawie ma turystyczny bagażnik na dachu. Mnie chodzi o jakieś inne szczegóły. Powiedzmy, tabliczka rejestra-cyjna, dodatkowy reflektor albo jakaś maskotka. . .

Julek uśmiechnął się cierpko.

— Według nowych przepisów drogowych maskotek nie wolno wieszać na przedniej szybie.

— Brawo — ucieszył się oficer. — Widzę, że doskonale znasz przepisy drogowe.

Możemy więc jechać dalej. Jak ci się wydaje, z jaką szybkością jechał ten człowiek?

— Dokładnie nie mogę tego określić — odparł Julek. — Jedno jest pewne, musiał

mieć na liczniku ponad sześćdziesiątkę, bo gdy zahamował, to go bujało od krawężnika do krawężnika.

— Czy dawał przed zakrętem sygnały światłem?

209

— Nie. Gdyby dawał, tobyśmy go zobaczyli z daleka. Wypadł zupełnie nieoczekiwanie.

— Tak — podjęła Karioka. — Ja krzyknęłam do Cegiełki: „uważaj”, on się obejrzał

i już było po wszystkim.

Oficer zabębnił palcami po krawędzi biurka.

— Przykra sprawa — powiedział w zamyśleniu. — Mówicie, że był to mężczyzna.

W jakim wieku?

— Raczej młody — odpowiedział Julek.

— I z gołą głową — dodała Karioka. — Trudno było zauważyć, ale widziałam, że bez kapelusza.

— Młody i bez nakrycia głowy — powtórzył oficer. — To wszystko, co o nim możecie powiedzieć?

— Tak — potwierdził z pasją Julek. — I jeszcze to, że drań, bo się nie zatrzymał.

Na szerokiej twarzy oficera zaigrał przelotny uśmiešek.

— Widocznie miał jakieś powody — powiedział jakby do siebie. — Albo się przestraszył, albo. . .
— machnął desperacko ręką. Raz jeszcze zabębnił palcami po biurku 210

i powtórzył po raz trzeci: — Przykra sprawa. I niełatwa. Sami widzicie. Za mało danych. Takich szarych volkswagenów jest w Warszawie kilka setek. Młody mężczyzna, bez nakrycia głowy. . . Też nam to wiele nie daje. — Naraz uderzył dłonią w biurko. —

No, dobrze. To by było wszystko. Dziękuję wam, że zgłosiliście się tak szybko, a jak będziemy was potrzebowali, to was zawiadomimy.

Julek zrozumiał, że to koniec przesłuchania. Był rozczarowany. Spodziewał się usłyszeć przynajmniej kilka słów otuchy, tymczasem oficer w służbowym trybie załatwił

sprawę i teraz delikatnie ich wypraszał. Chłopiec wstał, lecz zanim doszedł do drzwi, zatrzymał się.

— Panie poruczniku — powiedział nieśmiało — czy jest nadzieja, że złapiecie te-go. . . — utknął, gdyż pytanie wydało mu się naiwne.

Oficer tarł dłonią czoło.

— Zrobimy, co będzie w naszej mocy. Przecież to nasz obowiązek, ale sami widzicie, że to trudna sprawa.

— To nasz najlepszy kolega — dodała Karioka. — Bardzo nam na tym zależy.

— I nam też. . . I nam też — powtórzył oficer.

211

3

Kiedy przyszli do meliny „Pod Dębem”, było już po jedenastej. Tamci czekali na nich. Zaraz ich okrążyli i zasypali pytaniami: „A jak się czuje? A jak to było? A o co wypytywali na milicji?” Wszyscy byli niezwykle wzburzeni i przygnębieni. Tylko Tolek Banan zachował spokój. Kiedy Karioka i Julek odpowiedzieli na wszystkie pytania, Tolek usiadł na stole i powiedział:

— Słuchajcie, wiara, teraz musimy się zastanowić, co dalej robić. Nasz kolega uległ

wypadkowi. Ten łobuz, który go tak urządził, umknął bezkarnie. Milicja zacznie śledztwo i będzie poszukiwała tego faceta, ale z tego, co nam opowiedzieli Julek i Karioka, widać, że sprawa jest rzeczywiście trudna.

— Mam pomysł! — zawołał Julek. — A gdybyśmy tak pomogli milicji?

— Muka — mruknął z dezaprobatą Filipek. — Jak gangsterzy mogą pomagać milicji?

— Tu przecież chodzi o naszego kolegę, a nie o milicję — natarła Karioka.

212

— A co będzie z akcją Kobra? — zapytał Cygan.- Zaczęliśmy robotę, to trzeba ją skończyć. Milicja jest po to, żeby śledziła, a my mamy swoje zadania.

Julek posłał mu pełne żalu spojrzenie.

— Zastanów się, co mówisz. Czy jesteś kolegą Cegiełki?

— No, jasne. Tylko nie jestem szpiclem, żeby za kimś chodzić, a zresztą co to wszystko Cegiełce pomoże?

— Chcesz, żeby temu bubkowi uszło na sucho? — zawołała gniewnie Karioka. —

A gdyby tak ciebie stuknął ten facet?

Cygan wzruszył ramionami.

— Ja bym się do tego nie mieszał. I nie radziłbym szefowi, bo to niebezpiecznie — powiedział Filipek.

Tolek Banan skinął kpiąco głową.

— Dziękuję ci, ale o mnie się nie martw.

Julek wystąpił na środek pokoju. Był blady, wargi mu drżały, zaciskał mocno pięści.

— Dziwię się — zaczął zdławionym głosem. — Przecież, gdy zakładaliśmy gang, to przyrzekaliśmy sobie koleżeństwo. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. A teraz

uchylacie się. Nie pomyślcie o koledze. Szkoda, żeście go nie widzieli. — Zwrócił

się do Cygana, podszedł do niego i wysuwając pałającą gniewem twarz, powiedział: —

Mówisz, że to Cegiełce nic nie pomoże. A ja ci mówię, że mu pomoże. Będzie wiedział, że stoimy za nim, że walczymy o sprawiedliwość.

Cygan splunął przez zęby.

— Nie szarp się, bo cię szkoda. Idź lepiej do mamy, żeby ci nos wytarła. I nie patrz tak na mnie, bo się nie przestraszę. Gorliwy, o!

Jasna twarz Julka pokraśniała z oburzenia. Chłopiec zacisnął wargi, przymrużył

oczy i wyszeptał:

— Z takim, jak ty, nie chcę mieć do czynienia.

Cygan wysunął ręce z kieszeni. Dłonie miał zwinięte w pięści. W oczach gniewne błyski.

— Odczep się ode mnie, bo cię skrzywdzę. I żał mi ciebie, kotusiu.

Zdawało się, że rzucą się na siebie, lecz Tolek Banan zsunął się spokojnie ze stołu i wdarł się między nich.

214

— Spokój! — huknął. — To nie banda, tylko gang. — Zdecydowanym ruchem odsunął ich od siebie. — Słuchałem do tej pory spokojnie, bo chciałem się przekonać, co wy o tym sądzicie. Ale nie zniosę bałaganu i rozróbek. A teraz powiem wam, co ja o tym myślę.

Powiódł spokojnym wzrokiem po otaczających go twarzach. Stał przy Julku. Położył mu dłoń na ramieniu.

— Masz, chłopie, rację. Jesteś dobrym kolegą i przyjacielem. — Potem spojrzał

kolejno na Filipka i Cygana. — A wam nie będę prawił kazania. Nie wiecie jeszcze, co to gang. Nie bójcie się, robota nam nie ucieknie. Zamelinowaliśmy się, jesteśmy na własnych śmieciach i przyjdzie czas, że zabierzemy się do akcji. Ale teraz pokażemy, że jesteśmy zgraną wiarą i każdy z nas może liczyć na wszystkich. A kto nie chce, nie będę miał do niego żalu. — Podszedł do Filipka, trącił go przyjaźnie w ramię: — No co, Filipek, zrozumiałeś?

Chłopiec opuścił głowę, wzrok wbił w podłogę, a dłonie wycierał w spodnie, jakby go piekły.

215

— Muka — powiedział po chwili. — Jak szef tak myśli, to zrobione. Ja przecież nic nie powiedziałem. . . Ja za Cegielką. Morowy kolega.

— To się cieszę. Zawsze liczyłem na ciebie.

Cygan stał posępny i naburmuszony. Nerwowo szarpał klamerkę paska i przestępował z nogi na nogę. Naraz łypnął w stronę Tolka.

— Szef nie rozumie. . . ja myślałem, że najpierw poszukamy tego skarbu. . . ale jak tak, to ja też. . .

Tolek Banan wyciągnął do niego rękę.

— Sztama.

— Sztama — powiedział Cygan i energicznie ucisnął dłoń szefa.

Tolek obrócił się na pięcie, podszedł do stołu i usiadł na swym ulubionym miejscu.

Chwilę kołysał nogami. Nagle plasnął się dłonią w udo.

— A teraz musimy dokładnie i szczegółowo przygotować plan nowej akcji. Na-zwiemy ją: akcja Volkswagen. Zgoda? A więc — podjął z zapałem Tolek Banan —

plan musi być precyzyjny. Dlatego proponuję, żebyśmy teraz rozeszli się i pomyśleli 216

o tym, jak rozwiązać tę trudną zagadkę. Niech każdy przygotuje swój plan. Spotkamy się po obiedzie, o trzeciej.

4

Filipek należał do chłopców niezwykle trzeźwych i praktycznych. Kiedy wyszli z meliny „Pod Dębem”, pożegnał się szybko z kolegami. Postanowił bowiem wykorzystać wolny czas na przeprowadzenie jakiejś pomyślnej transakcji na praskim bazarze. Sprawę Cegielki odłożył. Był przekonany, że jest beznadziejna. „A zresztą —

pomyślał — od czego mamy szefa. Tolek Banan na pewno coś wykombinuje. A interes interesem”.

Z tą myślą sypnął się prosto na bazar. Kiedy znalazł się wśród straganów, odzyskał

równowagę ducha i jasność myśli. Wolnym, dostojnym niemal krokiem przemaszerował

wzdłuż stoisk ze starzyzną. Same buble, nie warto nawet rzucić okiem. Dobry towar zjawia się później, kiedy ze śródmieścia przyjeżdża lepsza klientela.

217

Wsunął rękę w kieszeń, gdzie owinięte w nylonową folię tkwiły paryskie szelki Julka Seratowicza. Kupił je kilka dni temu za patentowy rozpylacz do wody kolońskiej.

Świetny interes. Trzeba tylko znaleźć odpowiedniego nabywcę.

Wnet jednak zapomniał o szelkach. Głowę jego zaprzątnęły inne myśli. W taj-nych marzeniach przeniósł się nagle na strych domu Mauera. Ujrzał starodawny kufer, a w tym kufrze wspaniałą kasetę. Z uczuciem błogości wyobrażał sobie chwile, gdy wyciągają kasetę z kufra i otwierają ją. Kasetę jest pełna brylantów, rubinów, turkusów, szafirów. Wszyscy mdleją, tylko on zachowuje spokój. Wiadomo, wszystko przewidział

i niczemu się nie dziwi. Trzeba mieć mocną głowę do interesów, to fakt. A potem dzielą te skarby. Tolkowi Bananowi, jako szefowi, przypada oczywiście podwójna dola. Julek zrzeka się swej części, bo i po co mu skarby, skoro i tak ma ładowanych rodziców, a on, Filipek, za to, że odnalazł kufer ze szkatułą, otrzymuje od Tolka największy brylant, wielki jak kurze jajo i błyszczący jak gwiazda.

Co zrobić z takim brylantem? Przecież w Polsce nikt go nie kupi. Ale to głupstwo, nie warto martwić

się takimi drobiazgami. Grunt, że za taki brylant można dostać sto kawałków, a może i więcej.

218

Ciekawe, ile można by za tę forszę kupić francuskich szelek? Świetna lokata. Na każdych szelkach można by zarobić podwójnie i w ciągu tygodnia podwoić kapitał.

Potem kupić cały wagon gumy do żucia. Idzie jak woda.

Gdy nasz znakomity handlowiec dołądził do budki z piwem, był już w swoich skrytych marzeniach multimilionerem.

Przy budce zobaczył nagle zezowatego Franka, któremu wczoraj sprzedał parkę ra-sowych gołębi. Zezowaty Franek był to osobnik około trzydziestki, dystyngowany i elegancki. Można powiedzieć, mister ciuchowego światka. Wspaniałe sztylpy na wysokim obcasie, spodnie wążutkie, marynarka w szalową kratkę, koszula non-iron, w niebieskie paseczki, i najmodniejszy model kapelusza — jak grzybek z małym rondkiem, ledwo trzymający się na czubku głowy. A przy tym mina światowca i spojrzenie księcia Monaco. Jednym słowem, zezowaty Franek we własnej osobie.

— Szanowanie — przywitał go z daleka Filipek z należnym szacunkiem.

Zezowaty Franek ruchem leniwym uniósł dłoń do ronda kapelusza.

— Się masz? Co u ciebie, Filipek?

— Po japońsku, ja-ko-ta-ko. A u pana, panie Franku?

219

— Obleci.

Filipek wiedział dobrze, że z Frankiem nie można zaczynać rozmowy bez wymienia grzeczności. Strzyknął więc przez zęby śliną i zapytał z należytą powagą:

— Napije się pan, panie Franiu? Może małe jasne? W taki upał nie zaszkodzi.

Zezowaty Franek czknął dystyngowanie.

— Dziękuję, coś mi dzisiaj na ś l e d z i o n e j siedzi.

— To może o r e n ż a d y?

Franek skrzywił się z niesmakiem.

— To dla dzieci.

— I w ogóle jak interesy?

Franek spojrział na niego zezem, bo inaczej nie mógł, i nagle złapał go za sprzączkę paska.

— Ty, sprzedałeś mi wczoraj chorego gołębia.

— Ja? — zdumiał się Filipek. — A niech mnie ręka boska.

— Ma zranioną lotkę.

220

— W imię Ojca i Syna. To jakieś optyczne nieporozumienie. Był zdrowy jak koń, a latał jak orzeł.

— Nie czaruj, nie czaruj.

— Żeby mi tak włosy na piętach wyrosły.

Zezowaty Franek machnął lekceważąco ręką.

— Niech stracę. Towar wzięty, nie będę l e k r a m o w a ł. Ale na drugi raz mnie nie nabierzesz.

— Ja? — zawołał z oburzeniem znakomity handlowiec. — Nawet mi przez myśl nie przeszło. Przecież pan wie, że ja to solidna firma.

Zezowaty Franio wyjął z kieszeni pilnik i spokojnie zaczął czyścić paznokcie.

— Co masz? — zapytał nie patrząc na malca.

— Paryskie szelki, pierwszorzędny gatunek ze znakiem jakości. Made in France.

— Pokaż.

Malec wyjął szelki z szeleszczącego opakowania. Rozwinął je i ruchem pełnym godności podał Franiowi. Ten oszacował je jednym spojrzeniem.

— Daję pięć dych i ani grosza. Szelki już wychodzą z mody.

221

— Muka — wyszeptał Filipek. — Pięć dych to pan możesz dać w kościele na tacę.

— Sześćdziesiąt.

— Sto dwadzieścia.

— Osiemdziesiąt.

— Sto dziesięć, ostatnie słowo.

— To zrób sobie z nich huśtawkę i odpływaj z prądem.

Filipek zaszeleścił w dłoniach nylonowym woreczkiem opakowania, jakby w ten sposób chciał oszołomić kontrahenta, lecz ten nie zwracał już na niego uwagi. Wyjął ze srebrnej papierošnicy papierosa i zapalił ostentacyjnie.

— Bez łaski — powiedział Filipek. W ten sposób zakończył rokowania. I nagle przypomniał sobie o sprawie Cegiełki. Zagadnął więc niezwykle dyplomatycznie:

— Nie słyŝał pan, panie Franiu, o jakimś wypadku samochodowym?

Zezowaty Franio zaciągnął się papierosem.

— Coś mówili, że wczoraj na Suskiej przejechali chłopca.

— Zgadza się. To mój kumpel z Grochowa. Pan orientuje się nieco w motoryzacji?

— Poniekąd — odparł tamten.

222

— To świetnie. Przy sposobności miałbym do pana prośbę. Gdyby pan coś w tej sprawie słyŝał, to proszę zapamiętać, że mnie to bardzo interesuje.

— Zrobione.

— Zwłaszcza kierowcy, panie Franiu. Pan się w tych sferach obraca.

— Mimochodem.

— O, właśnie. Przede wszystkim, gdyby pan coś słyŝał o volkswagenie. Szarym, panie Franiu.

— A co o volkswagenie?

— No, w ogóle, bo właśnie ten facet, który przejechał kumpla, leciał na volkswagenie.

— Dobry wóz — powiedział Franio w zamyśleniu. — Sto sześćdziesiąt kawałków albo i więcej.

— W takim razie polecam się łaskawej pamięci — Filipek swoim zwyczajem pstryknął palcami w daszek cyklistówki. — Szanowanie, panie Franiu. Pomyślnych interesów i sto lat.

Zezowaty dżentelmen spojrział za odchodzącym.

223

— Daję dziewięćdziesiąt! — zawołał.

Filipek wzruszył ramionami.

— Nie da rady, k a r k u l a c j a nie wytrzymuje.

5

Nie zrażony niepowodzeniami handlowymi, Filipek przeszedł jeszcze raz wzdłuż straganów, a gdy znalazł się przy bramie, pomyślał, że warto by wstąpić do domu na obiad. Nie można żyć samymi interesami. Minął Skaryszewską i skierował się w stronę Berka Joselewicza.

Dzień był upalny. Z przymglonego nieba spływał na miasto żar. Przydrożne drzewa rzucały na jezdnię plamy cienia. Powietrze zakrzepło w skwarze. Filipek zdjął cyklistówkę i wachlował się bez przerwy. Ogarniało go znużenie.

Ożywił się dopiero wtedy, gdy za rogiem ujrzał nagle samochód; nie zwykły samochód, lecz szarego volkswagena.

224

Wóz stał przy krawężniku, a obok młody człowiek w irchowej kurteczce mocował się z kołem. Widocznie chciał je zmienić.

Filipek okrążył z daleka samochód, jak gdyby bał się spłoszyć ten nieoczekiwany widok. Gdy znalazł się przy masce, zdumienie jego osiągnęło punkt kulminacyjny.

Na masce, z prawej strony, zauważył bowiem pokaźne wgniecenie. Oszołomiony tym odkryciem przymknął oczy. Momentalnie uprzytomnił sobie, że skoro facet zahaczył

Cegielkę na rogu Walecznych skręcając w Suską, to właśnie uderzył go prawą burtą samochodu.

Teraz przyjrzał się uważniej właścicielowi. Młody mężczyzna, tęgi, ociężały, na pierwszy rzut oka wydał mu się uosobieniem niezaradności. Mimo piekielnego upa-

łu tkwił w irchowej kurteczce. Włosy miał zmierzwione, twarz zlaną potem, ubranie zmięte, a wzrok błędny. Żal było na niego patrzeć. Nie potrafił nawet założyć koła.

„Podejrzany — błysnęło w trzeźwym umyśle chłopca. — Taka łamaga mogła w bia-

ły dzień przejechać nawet krowę. Widać, że nie ma zielonego pojęcia o prowadzeniu wozu. To mu wprost z oczu bije”.

225

I nagle Filipek postanowił, że zajmie się tym podejrzany typem. Było nie było, można spróbować.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, ukrył się w cieniu i przez chwilę udawał, że zajmuje się wróblami, które urządziły sobie kąpiel piaskową pod podmurówką najbliższego do-mu. Tymczasem z ukosa obserwował samochód i jego właściciela. Słyszał jego głośne sapanie i przekleństwa, którymi

częstował piękny samochód.

Filipek cierpliwie czekał na zakończenie tej sceny. Wreszcie usłyszał stłumiony jęk; a potem wydobywający się z piersi nieszczęsnego okrzyk:

— Niech to szlag trafi, nie dam sobie rady z tym mamutem!

Znakomity handlowiec doszedł do wniosku, że nadarza się okazja. Przybrał minę przypadkowego przechodnia, wbił ręce w kieszenie i zbliżył się do nieszczęsnej ofiary motoryzacji.

— Przepraszam — zagadnął — może panu pomóc?

— Niech to szlag trafi — powtórzył mężczyzna ocierając pot z czoła i rozmazując brudną ręką smar na zatroskanym obliczu. — Od wczoraj mam z tym gratem kłopoty.

Naraz spojrział na chłopca i twarz mu się nieco rozpogodziła.

226

— Jakiś poważny defekt? — zapytał Filipek.

— A żebym to ja wiedział. Tymczasem koła nie mogę wymontować. Nie widzisz, że siadła dętka?

Chłopiec udał niezwykle zainteresowanie.

— Musiał pan porządnie o coś zahaczyć.

— Gwóźdź złapałem.

— Wczoraj?

— Nie. Teraz niedawno. I w ogóle dość mam już tej choleryjnej maszyny. Diabli nadali!

Filipek przysunął się bliżej maski.

— Widzę, że pan rąbnął się gdzieś solidnie.

Mężczyzna udał, że nie słyszy.

— Słuchaj — zapytał nagle — czy tu gdzieś w pobliżu jest warsztat samochodowy?

— To się wie — podjął Filipek skwapliwie. — Tutaj na Berka Joselewicza jest Auto-Service pana Rutkowskiego. Niedaleko. Może sto metrów.

Nieznajomy rzucił ze złością klucz o ziemię.

227

— No, proszę, a ja tu się szamoczę przez pół godziny.

Filipek zmrużył porozumiewawczo oko.

— Pewno pan solidnie zdenerwowany.

Tamten uśmiechnął się nikle.

— Od wczoraj mam cholernego pecha.

„Od wczoraj” — powtórzył w myśli Filipek, a potem powiedział głośno: — Tak bywa. Może panu pomóc, jeżeli trzeba?

— Dziękuję ci, mały. Trzeba ściągnąć tego grata do warsztatu. — Naraz jakby sobie coś przypomniał: — Ale mam do ciebie inną prośbę.

— Słucham — podjął skwapliwie Filipek.

Nieznajomy zaczął szukać po kieszeniach. Miał tak nieszczęśliwą minę, jakby zgu-bił ciężką forszę. Wreszcie wyciągnął długopis i starą zmiętą kopertę.

— Masz trochę czasu?

— Znajdzie się.

— To świetnie. Napiszę kilka słów do jednego pana. Bardzo mi na tym zależy, żeby dostał tę wiadomość jak najszybciej. Możesz się tam kropnąć?

228

— Daleko?

— Nie. Na Saską Kępę.

— Zrobione, panie szefie — wykrztusił oszołomiony Filipek.

Niefortunny kierowca oparł się o dach wozu i zaczął pospiesznie pisać na kopercie. Gdy skończył, był tak zdenerwowany, że podał chłopcu kopertę wraz z pięknym długopisem.

— Tu masz adres — pokazał. — Pan Stanisław Żuliński, ulica Aldony piętnaście, mieszkanie cztery. Przeczytasz?

Filipek zachłysnął się z wrażenia.

— Aldony? — wyszeptał. — To blisko Walecznych.

— Przecznicą — mruknął mężczyzna. — Masz tu dwadzieścia złotych. Kup bilet na tramwaj, a reszta twoja.

— Dziękuję! — zawołał Filipek i, nie obejrzawszy się, ruszył przed siebie, lecz gdy znalazł się za rogiem ulicy, przystanął. Wyciągnął z kieszeni kopertę i przyjrzał się jej uważnie. Była to zwykła, biała koperta z ostemplowanym znaczkiem za sześćdziesiąt groszy. Na kopercie widniał stary adres wypisany prostym, czytelnym pismem: 229

Dr Maciej Walentowicz

Warszawa

ul, Cyraneczki 6 m. 43

Nasz znakomity handlowiec w mig zrozumiał, że było to najprawdopodobniej nazwisko właściciela volkswagena i jego adres. Nie będzie go trzeba szukać.

Gorzej poszło z odczytaniem listu. Początkowo Filipkowi zdawało się, że ma przed sobą egipski papirus z hieroglifami. Ani rusz nie mógł go rozszyfrować. Filipek należał

jednak do stworzeń upartych i sprytnych. Zaczął porównywać niektóre litery, wyławiać łatwiejsze słowa, domyślać się sensu. Po żmudnej pracy odczytał urywki tego tajemniczego listu. Brzmiały one następująco:

Staszek, mam poważne kłopoty. Wczoraj. . . nie zastałem. Telefon nie odpowiada. . . Powiedz wiadomej ci osobie, że byłem u ciebie wczoraj od ósmej do dziesiątej. Wóz wysiadł. Będziesz mi musiał pożyczyć trochę forsy.

Czekaj. . . między piątą a szóstą.

230

List kończył się okropnym zawijasem i bardzo wyraźnym odciskiem brudnego kciu-ka. Stanowił więc idealny dowód rzeczowy dla służby śledczej.

„Mam cię! — pomyślał Filipek z radością. — Przecież to wszystko jasne jak parasol! Nie trzeba nawet dedukować”.

„Mam poważne kłopoty” — pisał właściciel volkswagena. Oczywiście, że miał. Je-

żeli bowiem prosił kolegę, żeby przekazał wiadomej osobie, że był u niego wieczorem między ósmą a dziesiątą, to po prostu asekurował się i szukał alibi. W tym właśnie czasie jadąc z Saskiej Kępy potracił na rogu ulicy Cegiełkę. Jest początkującym kierowcą, więc ogromnie się przeraził i nie zatrzymał wozu. Drań! Pewno się bał, żeby mu nie odebrali prawa jazdy. Wczoraj szukał kogoś, przychodził do niego, telefonował, lecz go nie zastał. Miał bubek pecha. Ale największego pecha miał dopiero dzisiaj, kiedy natknął się na Filipka.

Filipek czuł, że oczy mu płoną i pieką go policzki. Był ogromnie przejęty, a jednocześnie zachwycony samym sobą. Ciekawe, co powie Tolek Banan, gdy dowie się o wspaniałym odkryciu, i jaką minę zrobią koledzy?

Tymczasem jednak należało odnieść list i przekonać się, co to za jeden ten pan Stanisław Żuliński, któremu facet powierzał sprawę stworzenia sobie alibi.

Filipek wytarł rękawem czoło, wsunął kopertę z hieroglifami do kieszeni i biegiem runął w stronę przystanku tramwajowego. Nie zdawał sobie sprawy, że w tak krótkim czasie z gangstera przeistoczył się w natchnionego detektywa.

6

Zatrzymał się przed numerem piętnastym. Ulica tonęła w cieniu. W wielkich topolach szemrał wiatr, śpiewały ptaki. W głębi za ogrodzeniem z siatki drucianej był

mały ogródek z krzewami bzu i jaśminu, ze srebrzystym świerkiem kanadyjskim, który w słońcu wyglądał jak stożek obsypany ciężkim szronem, zieloną ławeczką przy ścież-

ce wysypanej czystym żwirem. A dalej stała piętrowa willa po dach opleciona dzikim winem.

232

Filipkowi dom wydał się dziwnie tajemniczy. Gdy stanął przed furtką, poczuł, że traci odwagę. Nacisnął mosiężną klamkę. Furtka nie ustąpiła. Z prawej strony spostrzegł

dwa czerwone guziki. Nad jednym tkwiła w metalowej ramce wyblakła wizytówka: STANISŁAW ŻULIŃSKI

Dzwonić dwa razy

Nacisnął dwa razy dzwonek. W mansardowym oknie nad wejściowymi drzwiami ukazała się brodata twarz.

— Ty do mnie, mały? — zawołał wesoło właściciel ryżej, szczeciniastej brody.

— Do pana Stanisława Żulińskiego! — odkrzyknął Filipek zachęcony wesołym tonem głosu brodacza. — Mam list!

Usłyszał brzęczyk, a potem ten sam głos, pogodny, dolatujący jakby z obłoków:

— Naciśnij klamkę. Już otwarte.

Chłopiec wszedł do ogrodu. Pod sandałami zachrzęścił cienko suchy żwir.

— Idź prosto na górę! — zawołał brodacz i nagle zniknął z ramy okiennej.

233

Po chwili Filipek znalazł się w ciemnym korytarzu. Wszedł na strome, drewniane schody. Gdy stanął na pięterku, zobaczył przed sobą drzwi oklejone afiszami. Z jednego z nich spoglądała maska afrykańskiej maskary z wytrzeszczonymi oczami i ustami pełnymi krwiożerczych zębów.

Naraz drzwi się rozwarły, a w progu stanął brodacz. Miał na sobie jedynie krótkie szorty. Był boso, a jego muskularny tors osmalony słońcem lśnił w półcieniu jak odlany z brązu. Największe wrażenie na Filipku zrobiła jednak jego gęsta, kędzierzawa broda i ciemne, błyszczące oczy, w tej chwili mętne nieco i nieprzytomne.

— Witaj, posłańcze! — zawołał brodacz wyciągając przed siebie ramiona teatralnym gestem. Wraz ze słowami buchnął na chłopca zapach alkoholu. — Z jakimi przybywasz wiadomościami? — gestem niezwykle serdecznym zapraszał Filipka do mieszkania.

Filipek, zaskoczony tym ceremonialnym przywitaniem, zatrzymał się na ostatnim stopniu. „Zgrywa się — pomyślał — bo jest pod muchą”. Nie byłby jednak Filipkiem, gdyby nie odparł rezolutnie:

— Wiadomości niezbyt pomysłne.

234

— A któż cię przysyła?

— Pana kolega, jeżeli się nie mylę — odrzekł i wręczył brodaczowi kopertę. Ten nawet na nią nie spojrział, tylko ujął chłopca za ramię i poprowadził do pokoju.

Chłopiec stanął na progu z rozdziawionymi ustami i wydał stłumiony jęk. Miał bowiem wrażenie, że przez ten pokój przeszedł przed chwilą tajfun i trzęsienie ziemi z epi-centrum pod tapczanem. Największy bałagan bowiem panował na tym właśnie meblu.

Tapczan był oczywiście nie zaścielony. Leżały na nim zwały książek, zarysowanych arkusików papieru, naczyń z resztkami jedzenia, części garderoby, nawet kwiaty, piękne czerwone goździki, które nie wiadomo skąd tam się wzięły.

Reszta mansardowego pokoju przedstawiała podobny widok. Na środku, pod szklanym dachem, stały sztalugi malarskie z nie wykończonym obrazem. Kilka nie oprawionych jeszcze płócien walało się po kątach. W powietrzu unosił się mdły zapach farb olejnych, dymu z fajki i alkoholu.

Brodacz zatoczył krąg ręką.

— Wybacz, bracie, wczoraj były moje urodziny.

— W takim razie sto lat — powiedział Filipek.

235

— Niestety, wszystko już zeżarli. Nie mogę cię niczym poczęstować.

— Nie szkodzi, ja tylko z tym listem.

— Prawda — mruknął brodacz.

Wziął fajkę w zęby i zbliżył się do okna. Kiedy spojrział na kopertę, huknął wesoło:

— A, to kochany Maciuś! Gdzieżeś, chłopie, spotkał tego błędnego rycerza?

— Na Berka Joselewicza, proszę pana.

— I w jakim stanie?

— W rozpaczliwym. Ten pan ma jakieś kłopoty.

— Maciek! — zawołał malarz ubawiony. — On przecież zawsze ma jakieś kłopoty!

On składa się ze zmartwień, długów i kłopotów.

— Może pan jednak przeczyta.

Brodacz przybliżył kopertę do oczu, potem ją oddalił i znów podsunął pod sam niemal nos. Naraz odsunął kopertę zdecydowanie.

— Powiedz mu, mój drogi, jeżeli szanuje moje cenne oczy, niech albo pisze wyraźniej, albo klepie na maszynie.

Filipek uśmiechnął się łobuzersko.

236

— Jeżeli pan nie potrafi przeczytać, to może ja spróbuję?

— Czytaj, zbawco! — zawołał uradowany. — Czytaj, jeśli tylko potrafisz.

Filipek znał treść listu prawie na pamięć. Nie wypadało jednak zdradzić się, że popełnił niedyskrecję. Udawał więc, że niezwykle trudno przychodzi mu odczytywanie gryzmołów. Potykał się, jąkał, zastanawiał, a gdy dobrnął do końca i przeczytał ostatni fragment listu: Wóz wysiadł. . . Będziesz musiał pożyczyć mi trochę pieniędzy, rudo-brody artysta wybuchnął piekielnym śmiechem.

— Jeżeli ten marzyciel myśli, że pożyczę mu chociaż złotówkę, to się grubo myli. —

Naraz złapał chłopca za ramię. — Słuchaj, on na pewno rozbił wóz w drobny maczek.

Filipek postanowił jak najwięcej szczegółów dowiedzieć się od artysty, odparł więc z humorem:

— Nie, proszę pana. Wóz ma tylko mały defekt.

— Tym gorzej dla niego.

— Dlaczego?

— To proste, chłopie — zaśmiał się brodaczo. — Wszyscy się modlą, żeby wreszcie rozbił tego fiata.

237

— Fiata? — zdumiał się Filipek.

Tamten zmarszczył brwi i spojrzał uważniej.

— A jakim on był wozem?

— Volkswagenem, proszę pana.

— To jeszcze lepszy kawał! — wybuchnął nowymi spazmami śmiechu. — To dopiero kosmiczna heca! Rozbił prawie nowy wóz swego ukochanego tatuńcia. Nie chciał-

bym być w jego skórze.

Filipek postanowił wykorzystać znakomity humor brodaczo. Zadał więc podchwytliwe pytanie:

— Przepraszam, zdaje mi się, że ten pan ma jeszcze większe kłopoty.

— Tak? — spoważniał nagle brodaczo. — A co takiego?

— Właśnie nie wiem. . . Czy on przypadkiem nie jechał wczoraj od pana?

— Ode mnie? Nie. Właśnie dziwiłem się, że nie przyszedł na moje urodziny.

— I zdaje mi się — ciągnął chytrze Filipek — ten pan nie bardzo umie prowadzić.

— To ci się świetnie zdaje, bo ten filozof już trzy razy wylądował na słupie, a teraz. . . — Naraz urwał i tak spojrzał na Filipka, jakby się dziwił, skąd chłopiec się zna-238

lazł w jego pracowni. — Powiedz temu panu, żeby mi nie zawracał głowy. Jestem piekielnie zajęty. I w ogóle nie mam ochoty martwić się jego kłopotami.

Filipek zrozumiał, że go delikatnie wypraszają. Nagle, wpadł mu genialny pomysł.

— Przepraszam — rzucił podstępnie — ten pan prosił, żeby mu pan dał odpowiedź.

— Możesz mu powiedzieć, że mam to wszystko w nosie.

— Wolałbym jednak, żeby mu pan to napisał.

Malarz spojrzał na Filipka przez ramię.

— Niech będzie. Zrobię to dla ciebie.

Usiadł przy zawalonym książkami biurku, wyrwał z bloku kartkę i zamasztyłym piśmem skreślił kilka słów. Potem złożył kartkę we dwoje.

— Masz i kłaniaj się doktorowi filozofii, panu Maciejowi Walentowiczowi. I ogromnie cię przepraszam, że nie mogę cię niczym poczęstować. — Sięgnął do kieszeni i wyjął dziesiątkę. — Masz, chłopie, na lody i trzymaj się.

— Jeszcze tylko adres tego pana — wtrącił zawsze opanowany handlowiec.

— Dawaj kartkę — powiedział brodaczy i szybko dopisał adres.

Filipek skłonił się wytwornie.

239

— Szanowanie panu. Życzę jeszcze wszelkiej pomyślności w związku z urodzinami.

To powiedziawszy, odwrócił się i zniknął za drzwiami. Na schodach pomyślał:

„Dziwak, bo dziwak, ale sympatyczny i wesoły”. A gdy już był na ulicy, wycią-

gnął kartkę z kieszeni. Najpierw sprawdził adres. Zgadzało się: dr Maciej Walentowicz, Cyraneczki 6 m. 43. Na szczęście brodaty artysta pisał bardzo wyraźnie: Kochany mój!

Zawsze możesz na mnie liczyć, bratnia duszo. Niestety pieniędzy pożyczyć ci nie mogę, bo nie posiadam takowych.. Mogę natomiast dodać ci otuchy i życzyć szczęścia i zdrowia. Żegnaj, niech ci los życie zmieni.

Staszek

„To mu dosolił — uśmiechnął się Filipek. - Tylko jak tu się dowiedzieć, czy doktor filozofii o godzinie dwudziestej pierwszej piętnaście przejeżdżał przez ulicę Walecznych i skręcał w Suską? I czy właśnie on potrafił wtedy Cegielkę?” Nasz znakomity handlowiec należał do chłopców, którzy nie lubią długo się zastanawiać. Postanowił więc sypnąć się na ulicę Cyraneczki i tam szukać dalszych dowodów.

Jak już śledzić, to śledzić na całego.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

1

— Co jest z Filipkiem? Dlaczego się spóźnia? — zapytał Tolek Banan, kiedy o trzeciej zebrali się „Pod Dębem”.

— Może się rozmyślił — powiedział przeciągle Cygan.

Siedział na fotelu na biegunach. Kołysząc się przymykał sennie czarne oczy.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— A nic. Tylko nie każdemu podoba się ten pomysł

241

— Może tobie też się nie podoba?

— Ja przecież nic nie powiedziałem. Ja mówię o Filipku.

— Poczekajmy jeszcze chwilę — wtrącił pojednawczo Julek.

Tolek usiadł na stole.

— Nie znoszę niepunktualności! I nie możemy dłużej czekać. — Spojrzał na swoich poddanych. — No, co, pomyśleliście o naszym planie?

— Mam pomysł — odezwał się pierwszy Julek. Był niezwykle poważny. Przejechał

palcami przez jasne włosy i zaczął mówić pospiesznie: — Jest takie przekonanie wśród kryminologów, że sprawca zbrodni zawsze wraca na miejsce, w którym. . .

— Eee. . . — przerwała mu Karioka. — To tylko takie gadanie. Przecież człowiek, którego szukamy, nie będzie się narażał.

— Daj mu dokończyć — powiedział spokojnie Tolek Banan. — Sama nie lubisz, gdy ci ktoś przerywa.

— No dobrze, niech mówi.

Julek zagryzł wargi.

— Jeżeli uważacie, że to jest bez sensu, to nie mam ochoty wygłupiać się.

242

— Wał, co się przejmujesz — zachęcał go Cygan.

Julek zaciął się. Milczał.

— Nie gniewaj się — powiedział Tolek — ale z tym wracaniem zbrodniarza na miejsce zbrodni, to rzeczywiście nie jest tak, jak piszą w niektórych powieściach. Pomyśl, jaki cel miałby kierowca wracając na róg Walecznych i Suskiej ?

— No, tak — wyszeptał Julek.

Cygan uśmiechnął się kpiąco.

— Pewno widział taki film.

— A ty — zahaczył go Tolek Banan — myślałeś o tym?

Cygan wzruszył ramionami.

— Czemu nie. Myślałem, myślałem i nic mądrego nie mogłem wymyślić. To pewno przez ten piekielny upał. Wreszcie zdenerwowałem się i poszedłem na plażę. Mówię wam, woda jak marzenie.

...

— Dziękuję ci — przerwał mu Tolek Banan i przeniósł wzrok na Kariokę.

Dziewczyna zrobiła tajemniczą minę.

243

— Wszystko dokładnie przestudiowałam — powiedziała poważnie. Z koszyczka wyjęła mapę Warszawy. Rozłożyła ją na kolanach. — Spójrzcie. Tu jest Saska Kępa, tu ulica Walecznych, a tu Suska. Wypadek zdarzył się na samym rogu. Kierowca jechał

w tym kierunku — wodziła palcem po liniach ulic. — Jest niemal pewne, że ten bubek nie mógł jechać ani w stronę Warszawy, ani Pragi, tylko na Grochów.

— Oczywiście — wtrącił Julek — bo gdyby jechał do Śródmieścia albo na Pragę, to wybrałby ulicę Francuską.

— To jasne — potwierdziła Karioka. — Dlatego możemy założyć, że kierowca jechał z Saskiej Kępy na Grochów, i w tych rejonach skoncentrować nasze poszukiwania.

Co o tym myślicie?

— Pierwszorzędny pomysł — powiedział Cygan. - Tylko jak zacząć te poszukiwania?

Tolek Banan wskazał na plan Warszawy.

— Trzeba się wziąć do tego systematycznie. Inaczej nie ruszymy z miejsca. Jeżeli założymy, że kierowca jechał z Saskiej na Grochów, to możemy przypuścić, że gara-244

żuje na Saskiej albo na Grochowie. Pierwsze zadanie, szukać szarych volkswagenów garażujących na Saskiej Kępie lub na Grochowie.

— Świetny pomysł! — zawołał Julek.

— Świetny — powiedziała Karioka — tylko tych volkswagenów jest kilkaset, a nas. . .

— Ty od razu rączki do góry, i cześć — natarł na nią Julek.

Tolek uderzył dłonią w stół.

— Spokój, wiara. To jeszcze nie wszystko. Trzeba poszperać po warsztatach samochodowych na Saskiej i Grochowie. Często w warsztatach parkują samochody albo oddają je do przeglądu.

— I jeszcze sprawdzić na parkingach — dodał Julek.

— Tak. To też się przyda — powiedział Tolek. — Musimy być przygotowani na niepowodzenia, ale jednocześnie wierzyć, że nam się uda. Bo inaczej to cześć, możemy w ogóle nie zabierać się do roboty. Proponuję więc, żeby Karioka i Julek wzięli Saską Kępę, a Cygan i Filipiek Grochów. Je będą kierował akcją. Bazę będziemy mieli tutaj, 245

„Pod Dębem”. Postaram się może jeszcze o jeden radiotelefon. Wtedy będziemy mieli zapewnioną łączność. Jak wam się ten plan podoba?

— Zdaje mi się, że pierwszorzędny — Julek zatarł dłonie i z uznaniem spojrzał na szefa.

— Pierwszorzędny — potwierdził Cygan — ja bym coś takiego nigdy nie wymyślił.

Tylko jak ja mogę pracować z Filipkiem, kiedy go w ogóle nie ma.

2

Tymczasem znakomity handlowiec, który przemienił się w jeszcze wspanialszego detektywa, zbliżał się do ulicy Cyraneczki. Był tak zajęty sprawą niefortunnego kierowcy, że zapomniał zupełnie o obiedzie i o wyznaczonym na trzecią spotkaniu. Chciał

jak najszybciej zbadać teren, ewentualnie zrobić wywiad w sprawie lokatora mieszkania numer czterdzieści trzy.

246

Było coraz upalniej. Nad wielkimi blokami nowego osiedla wisiało popielate od żaru niebo. Rozgrzane mury buchały gorącem. Podwórka, piaskownice, place zabaw opustoszały. Nawet psy kryły się w cieniu. Wszystko wydawało się ospałe, ociekające potem.

Filipek zbliżył się do budynku oznaczonego numerem szóstym. Wnet wyłonił się nowoczesny blok mieszkalny, wielopiętrowy wieżowiec. Z numeru mieszkania wywnioskował, że będzie się musiał wspinać na ostatnie piętro. Na szczęście w klatce schodowej spotkał starszą panią, która chętnie otworzyła mu drzwi windy. Pojechał

więc z fantazją na najwyższe piętro, wychwalając po drodze techniczne udoskonalenia nowoczesnej cywilizacji.

Na górze okazało się, że wjechał jednak za wysoko. Opuścił się więc o jedno piętro, a gdy znalazł się w korytarzu, zobaczył siedzącego na schodach chłopca. Był to piętnastoletni wyrostek ubrany na wzór sławnych beatlesów: czarne spodnie, sztylpy, ma-rynareczka z tweedu w szerokie pasy, a pod brodą koronkowy żabocik. W takim stroju w taki upał mógł wystąpić jedynie ktoś, komu zależało na pokazaniu superfasonu.

247

Na widok Filipka chłopiec obejrzał się, lecz po chwili na nowo zapadł w ospałość i nudę. Filipek tymczasem z wielką ulgą spostrzegł nad drzwiami małą tabliczkę z numerem czterdziestym trzecim oraz przypiętą na drzwiach wizytówkę: dr Maciej Walentowicz. Nie mógł się mylić. Był pod drzwiami niefortunnego kierowcy. Wiedział, że nie zostanie go w domu, lecz dla pewności nacisnął guzik dzwonka. Wtedy usłyszał za sobą ospały głos:

— Ty do kogo walisz?

Polskie wydanie beatlesa stało tuż za nim i przypatrywało mu się podejrzliwie.

— Ja? Jak widzisz, do pana doktora Walentowicza.

— Nie ma go w domu.

— Skąd wiesz?

— Bo sam na niego czekam.

— O! — Filipek wydał okrzyk zdziwienia. — To fajno, możemy poczekać razem.

Beatles ruchem ociężałym uniósł barki.

— Nie wiem, czy się doczekamy.

248

Odwrócił się, zrobił kilka kroków w kierunku schodów i usiadł na najwyższym stopniu. Spod wąziutkich spodni wyłoniły się sztylpy o piekielnie długich cholewkach i ja-skrawoczerwone skarpetki. Takie sztylpy i takie skarpetki mógł nosić jedynie wielbiciel bigbitu i angielskich zespołów dżezowych.

Filipek nie śmiał usiąść obok niego. Stał skromnie z boku i zagadnął:

— Od dawna czekasz na tego bubka?

Znowu powolny ruch barków:

— Pięć razy już tu byłem. . . Nie nocował w domu.

— To po co czekasz?

— Muszę. Fater powiedział mi, żebym stał pod drzwiami, jak go nie zastanę.

— Jakaś ważna sprawa?

— Eee. . . Fater tylko strasznie cięty na niego. Powiedział, że go nie chce znać.

— To po co cię tutaj posyła?

— Czy ja wiem. Nigdy nie można wiedzieć, co mu strzeli do głowy. A ty?

— Co ja? — zapytał Filipek.

— Ty w jakiej sprawie?

249

— Ja? Mam list do niego.

— Pokaż, to może coś wykombinujemy.

„Poczekaj, bratku — pomyślał Filipek. — Wolnego. Myślisz, że ci dam list do prze-czytania”. A głośno powiedział:

— Prywatny list.

— Od kogo?

— Może go znasz? Malarz z rudą brodą.

Beatles uśmiechnął się nikle.

— No jasne. Żuliński. Straszna moczymorda. Pewno chce pożyczyć dwie setki.

— Kto od kogo?

— No, ten malarz od Maćka. Bo oni nic nie robią, tylko pożyczają od siebie pieniądze.

Filipek zrozumiał, że właściciel szalowych sztylp jest dobrze zorientowany w sprawach dotyczących obu poznanych niedawno osobników. Postanowił więc wyciągnąć jak najwięcej wiadomości. Usiadł wygodnie na schodach.

250

— Powiedz no mi, bracie, a ten doktorek to jaki on właściwie jest? Może też moczymorda?

— Eee. . . za słaby na to. On tylko ma słabość do motoryzacji, kapujesz?

— Kapuję — wyszeptał z przejęciem Filipek. Sytuacja wymagała, by w tym momencie wykorzystał całą swą przebiegłość i cały spryt nabyty w praktyce handlowej.

Zrobił więc obojętną twarz i rzucił:

— Fachowiec, co?

— Gdzie tam. Ma słabość ale nie ma bladego pojęcia o prowadzeniu. Już trzy razy rozbił swojego fiata.

— A kto to w ogóle jest ten doktor Walentowicz?

Beatles spojrzał ze zdumieniem na Filipka.

— To nie wiesz? Przecież to mój starszy brat. — A potem dodał pośpiesznie: — Nie rodzony, tylko przyrodni.

Filipek zatrzepotał bezręsyymi powiekami. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Przed chwilą gotów był naurągać niefortunnemu kierowcy. Dobrze się stało, że 251

ostrożnie prowadził cały wywiad. Pocieszało go jedno: młodsza latorośl rodu Walentowiczów niezbyt pochlebnie wyrażała się o swym starszym bracie.

Tamten nie zauważył chwilowej konsternacji naszego handlowca. Ruchem powolnym, nie wymagającym wysiłku sięgnął do kieszeni i wyciągnął paczkę papierosów.

— Zapalisz?

— Nie. Taki upał, że w gardle mi zaschło — odparł wykrętnie Filipek.

— Nie, to nie. — Młody Walentowicz włożył do ust papierosa. — Żałuj, amerykańskie. Podiwaniłem ojczulkowi. On na szczęście tylko takie pali. Ale teraz strasznie cięty na Maćka, bo Maciek wziął jego volkswagena i od wczoraj nie wraca do domu. —

Westchnął, zapalił, zaciągnął się z przyjemnością, a potem dodał z odcieniem żalu: —

I dlatego muszę tu sterczeć jak głupi. A wszystko przez tę rudą. . .

— Jaką rudą? — zapytał Filipek, starając się nadać głosowi odcień zupełnej obojęt-ności.

— A, taką jedną aktorkę. Waniewska. Nie widziałeś jej w telewizji? Grała w jednej

„Kobrze” taką, co to niby zabiła, a właściwie nie. Słaba — stwierdził kategorycznie. —

Ale Maciek stracił dla niej głowę i dlatego najpierw naciągnął ojca na fiata, a potem 252

trzy razy się rozbił. Chciał jej zaimponować. — Znowu westchnął głęboko. — Szkoda go, bo jest fantastycznie zdolny. Niedawno zrobił doktorat, a teraz jest już starszym asystentem na uniwerku i robi karierę. Ale ta ruda mu przeszkadza.

Filipek zrozumiał, że powinien wyrazić współczucie. Zawtórował więc westchnieniem i powiedział:

— To zawsze tak jest.

— Właśnie — podjął młody Walentowicz. — Mówię ci, stracił dla niej głowę, a ojciec jest na niego cięty i powiedział, że nie chce słyszeć o tej rudej. A tę rudą to Maciek poznał u tego malarza. I ojciec na malarza też cięty, bo mówi, że on tylko źle wpływa na Maćka. Ale dlaczego ja muszę sterczeć tutaj, tego właściwie nie wiem.

Filipkowi żal się zrobiło młodego beatlesa.

— Właśnie — powiedział. — Ty tu sterczysz, a twój brat jest jeszcze pewnie na Joselewicza.

— Skąd wiesz?

— Bo sam mu powiedziałem, że na Joselewicza jest warsztat samochodowy.

— To dlaczego mi dopiero teraz mówisz?

253

Filipek zrobił minę niewiniątka.

— A czy ty mnie o to pytałeś?

— Szczeniak! — rzucił tamten wyzywająco.

— Tylko nie szczeniak, nie szczeniak — zaperzył się Filipek. Nagle uśmiechnął się łobuzersko. — Czy nie klawo było pogadać sobie na schodach?

Beatles przeciągnął się i ziewnął.

— To znaczy, że rozbił volkswagena. Jak pech, to pech. Wyobrażasz sobie, co to się będzie działo w domu? Nie mogę powiedzieć ojcu, boby była straszna draka. Joselewicza, mówisz? A gdzie to?

— Chodź ze mną, to ci pokażę.

Walentowicz westchnął tak ciężko, jakby za chwilę miał wyzionąć ducha.

— Daleko? — zapytał.

— Pojedziemy tramwajem do wiaduktu, a potem już kilka kroków.

— Życ się nie chce w taki upał. — Uniósł się z trudem i zaczął schodzić.

Na niższym piętrze Filipek zahaczył:

— Te, może kupisz ode mnie paryskie szelki, made in France?

254

— Pokaż.

Filipek z powagą wyciągnął szelki.

— Pierwszorzędny gatunek, prosto z Paryża.

Tamten ożywił się.

— Nieźle. Ile chcesz?

Filipek myślał błyskawicznie: jeżeli on ma tatuńcia, który fundnął doktorowi fiata, a który sam ma volkswagena, to można ładnie zaśpiewać.

— Dwieście — powiedział nie patrząc na niego.

— Widziałem w komisie za sto sześćdziesiąt.

— Nie takie, nie paryskie — zaśmiał się Filipek szyderczo. — Pewno jakieś buble, a tu masz pierwszorzędny towar, w sam raz dla ciebie.

— Sto osiemdziesiąt.

— Niech stracę. Tylko gotówką.

— Teraz nie mam tyle. Po południu sprzedam jednego longplaya, to ci dam forszę.

— To ja przyjdę wieczorem.

— Nie wierzysz?

255

— Wierzę, tylko mam zwyczaj z rączki do rączki. Jeżeli ci się podobają, daj adres, to będziesz miał towar wieczorem.

— Tylko pamiętaj, nie opyl.

— Spokojna głowa, ze mnie solidna firma. Zaklepane.

Byli już na dole.

— Gdzie mieszkasz? — zapytał Filipek.

— Na Saskiej, Zakopiańska dwadzieścia siedem. Zagwiźdź trzy razy na palcach.

— W porządku. — Naraz przypomniał sobie, że o trzeciej miał być „Pod Dębem”. — Te, która godzina?

Walentowicz zerknął na zegarek.

— Dwadzieścia po trzeciej.

Filipek złapał się za głowę.

— Koniec świata! — zawołał przerażony. — A ja myślałem, że dopiero druga. Przykro mi, ale będziesz musiał sam iść na Joselewicza. Dojedziesz do wiaduktu, a potem na prawo. Zresztą zapytaj się, to każdy ci powie, gdzie jest Auto-Service pana Rutkowskiego.

256

3

— Ty zawsze musisz się spóźniać, Filipek — przywitał sławnego handlowca Tolek Banan.

Filipek był tak wyczerpany, że nie potrafił wykrztusić słowa. Opadł ciężko na fotel i bełkotał coś niezrozumiale.

— Mów, co się stało? — szarpnął go niecierpliwie za rękaw Julek.

— Mam — wydusił wreszcie z wielkim trudem.

— Co masz?

— Wielką bombę. . . — utknął na chwilę, a potem zaczął opowiadać. Mówił jednak tak chaotycznie, że początkowo nic z tego nie zrozumieli. Dopiero gdy Tolek Banan zaczął mu zadawać pytania, jał odpowiadać jak uczeń w szkole. Wreszcie zakoń-

czył: — Jeżeli ten doktorek nie jest tym bubkiem, którego szukamy, to ja jestem starym kaloszem. Powiódł po otaczających go kolegach triumfalnym spojrzeniem i dodał: —

A teraz dajcie mi coś zjeść, bo za chwile umrę z głodu.

257

Stało się. Mały Filipek został bohaterem dnia. Wszyscy spoglądali nań z podziwem.

Krzętałi się wokół niego. Tolek przyniósł mu ze swych zapasów dwie duże bułki, kawał

suchej kiełbasy i kiszony ogórek. Filipek pożerał dary z apetytem młodego hipopotama, a między jednym kęsem a drugim odpowiadał na pytania.

— Gratuluję — powiedział Tolek Banan. — Trzeba przyznać, miałeś piekielne szczęście.

Filipek rzucił mu kpiące spojrzenie.

— Szczęście! A moja głowa się nie liczy? A to, że kombinowałem, to w ogóle gips? Szczęście szczęściem, ale najważniejszy sposób. Mówię wam, musiałem dobrze kombinować, żeby zebrać te wiadomości.

Tolek Banan rozłożył na stoliku plan Warszawy. Wyglądał teraz jak wódz przygotowujący plan strategiczny wielkiej batalii.

— Musimy teraz sprawdzić i ocenić wszystkie zebrane przez Filipka wiadomości —

powiedział pełnym rozwagi głosem. Potem powiódł ołówkiem po mapie. — Rodzice doktora Walentowicza mieszkają na Saskiej Kępie, on zaś na Grochowie. Przypuśćmy, 258

że zabrał volkswagena spod domu rodziców i pojechał na Grochów, a więc mógł obrać drogę przez Walecznych i Suską.

— To by nawet klapowało — wtrąciła Karioka.

— Możemy również założyć, że biorąc bez pozwolenia wóz ojca był bardzo zdenerwowany. Jeżeli dodamy do tego, że źle prowadzi i miał już trzy kraksy, wtedy. . .

— To jasne — przerwał mu Julek. — Mamy go!

— Wtedy — dokończył Tolek Banan posyłając Julkowi karcące spojrzenie — możemy również przypuścić, że to on był sprawcą wypadku, ale to tylko przypuszczenie.

Musimy znaleźć dowody.

— A to, że jego volkswagen ma wgniecioną karoserię? — powiedział Cygan. — I to z prawej strony.

— A to, że pisał do tego malarza, że ma wielkie kłopoty? — dodał Julek.

Tolek uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Widzę, że dobrze kombinujecie. To wszystko może świadczyć przeciw niemu, ale to jeszcze nie dowody. Musimy stwierdzić, że przejeżdżał o godzinie dziewiątej piętnaście przez Walecznych i skręcał w Suską.

259

— Tak, ale jak mu to udowodnić? — zasepiła się Karioka.

Tolek cmoknął zniecierpliwiony.

— Może byś chciała, żeby pan doktor Walentowicz przyszedł do ciebie, uklonił się i przyznał: „To ja wtedy przejeżdżałem ulicą Walecznych i potrąciłem tego chłopca”.

— Jasne, że sami musimy do tego dojść i udowodnić — powiedział Julek.

— Wreszcie uczciwe słowo — podjął Tolek Banan. — A teraz trzeba się dobrze zastanowić, jak przycisnąć faceta do muru. Zdaje mi się, że są dwa sposoby. Pierwszy, odszukać tę aktorkę i od niej dowiedzieć się, co pan doktor robił wczoraj wieczorem.

— Fantastyczny pomysł — ucieszyła się Karioka. — Mam już nawet na nią sposób.

Pójdę niby po autograf. Te aktorki są wyjątkowo czułe na punkcie swojej sławy.

— Świetnie — pochwalił szef. — Tylko musisz być ostrożna i podejść ją dyplomatycznie.

— Niech się szef nie martwi, ja już potrafię. „My panią wszyscy ubóstwiamy. Pani była wspaniała w roli. . .” itepe, itepe, a potem podsunę jej kilka podchwytliwych pytań.

Tę rudą biorę na siebie.

260

— A ja tego braciszka pana doktora — zapalił się Filipek. — Mam już zahaczenie.

Zaniosę mu szelki, a przy sposobności przycisnę go, jak należy.

— Znakomicie — szef zatarł dłonie. — Jeszcze tylko zostaje warsztat. Proponuję, żeby do warsztatu poszedł Cygan.

— Może być — powiedział chłopiec bez entuzjazmu.

Szef przyjrzał mu się uważniej.

— Jeżeli nie masz ochoty, to poślę Julka.

— Może być — powtórzył Cygan przeciągle.- Wpadnę tam i dowiem się, co piszczy w trawie.

— A ja? — zapytał Julek.

— Ty pójdziesz z Karioką. Weźmiesz bukiet kwiatów i wręczysz rudej aktorce.

Karioką zrobiła kilka tanecznych kroków.

— Będzie wniebowzięta. — Naraz zwróciła się do Julka: — Tylko pamiętaj, zachowuj się, jakbyś był jej największym wielbicielem i nie rozśmieszaj mnie, bo będzie wsypa.

261

— Zaklepane. Każdy ma swoje zadanie. Mam nadzieję, że nam się powiedzie —

powiedział Tolek.

A Julek pomyślał wtedy:

„Gdyby Cegiełka wiedział, jak się zabieramy do roboty, to na pewno lżej by mu było leżeć w szpitalu”.

4

Nadciągała burza. Było parno. Od wschodniej strony kłębiły się zwały atramento-wych chmur. Wiatr wyginał przydrożne topole, strzępy gazet wirowały w powietrzu niesione gwałtownym podmuchem. W domach trzaskały nie domknięte okiennice, a ludzie spoglądając na niebo umykali w pośpiechu.

Cygan doszedł do ulicy Berka Joselewicza. Z daleka zobaczył szyld warsztatu pana Rutkowskiego. Nagle runęła na ziemię ulewa, niebo rozjaśniły pierwsze wężyki błyskawic. Chłopiec wbił ręce w kieszenie, skulił się, nasunął daszek kolarki na oczy i pchnął

262

się w sam środek ulewy. Nie zważając na nowe buty, na wytworną koszulę, pobiegł do warsztatu. Minął bramę, przebiegł jeszcze kilka kroków, by wreszcie schronić się pod daszkiem szopy.

— Cześć, Cygan — usłyszał za sobą wesoły głos.

Obejrzał się. W głębi szopy zobaczył Felka Metelskiego, z którym jeszcze niedawno grywał w Parku Skaryszewskim w piłkę.

— Co ty tu robisz? — zdziwił się, otrzepując z kolarki wodę.

— Nie wiesz, poszedłem do zawodówki, a teraz praktykuję u Rutkowskiego.

— To się nawet dobrze składa — powiedział Cygan.

— Co się składa?

— W ogóle. . . — zbliżył się do Felka i znizywszy głos zahaczył: — Macie tu w warsztacie szarego volkswagena?

— Jest. A co?

— A nic, tak tylko chciałem zapytać.

— Możesz przyszedł ściągnąć wycieraczki? — przymrużył tamten porozumiewawczo oko. — Nie próbuj takich numerów, boby cię stary ze skóry obłupił.

— Coś ty, bracie — odął się Cygan. — Nie znasz kolegi. Powiedz lepiej, co z tym volkswagenem.

Felek wzruszył ramionami.

— Nic. Stuknął facet w maskę, wgniół trochę blachę i zatarł tarczę tylnych hamulców. To wszystko. I w ogóle dziwny facet, bo chciał, żeby mu na poczekaniu wyklepać blachę i jeszcze dobrać farbę. Nieprzytomny.

— I co?

— Człowieku, tutaj wozy po dwa tygodnie w kolejce stoją. Majster dobry fachowiec.

Walą do niego jak do spowiedzi.

— No, toście go spławili.

— Mało się nie rozplakał. Mówił, że musi mieć wóz na jutro. Ale majster nie dał się zaczarować. Powiedział, że najwcześniej za tydzień może mu oddać wóz.

— A on?

— Mówię ci, że mało nie płakał. — Nagle spojrzął dociekliwie. — A co ty się tak wypytujesz, jakbyś był z Komendy Ruchu?

— A nic — Cygan splunął w szumiącą ulewę. — Koniec świata, dawno takiej pom-py nie widziałem. — Potem uśmiechnął się zachęcająco. — Jak ci leci?

— Dziękuję, powoli. A tobie?

— Jakoś leci. Te, a gdzie on się rozbił?

— Kto?

— No, ten z volkswagenem.

— Poczekaj. . . Mówił coś majstrowi, że pod Wyszkowem.

— Pod Wyszkowem — zasępił się Cygan.

— Coś się tak zmartwił.

— A nic. Myślałem, że w mieście. Pod Wyszkowem, mówisz?

— No tak. . . Tak przynajmniej mówił ten gość majstrowi.

Cygan zamyślił się.

*

*

*

Tymczasem Julek z Karioką stali na skraju parku Skaryszewskiego pod rozłożystym kasztanem. Gęsta korona starego drzewa wytrzymała pierwsze uderzenie ulewy.

265

Chroniła ich jak wielki, zielony parasol. Gdy patrzyli przed siebie, widzieli srebrzystą zasłonę z deszczu, a za nią zarys Stadionu Dziesięciolecia i tramwaje wolno sunące mostem Poniatowskiego.

Julek spoglądał ukradkiem na dziewczynę. Ogromnie mu się podobała. Kosmyk włosów opadał jej na czoło. Odgarnęła go wdzięcznym ruchem. Roześmiała się.

— Ale pompa! Lubię, jak tak leje.

— Będzie czyste powietrze — powiedział.

Myślał, że może teraz zaproponuje jej pójście do kina. Marzył o tym, żeby usiąść z nią w ciemnej sali, wziąć ją za rękę i razem oglądać płynące przez ekran obrazy. Nie miał jednak odwagi zapytać. A nuż go wyśmieje.

— Lubię deszcz, lubię wiatr, lubię burzę — mówiła śmiejąc się. Jej zielone oczy błyszczały, twarz promieniała. Naraz zrzuciła z nóg sandały, wzięła je w rękę i zawoła-

ła: — Chodź, pobiegniemy! No, nie bój się, zobaczysz jak wspaniale.

Pobiegli w stronę ronda Waszyngtona. Chłodna nawałnica chlustała im w twarz, pod nogami rozpryskiwały się kałuże, a oni biegli śmiejąc się i wykrzykując.

266

— Wstąp do mnie — powiedział Julek, gdy zatrzymali się pod pomnikiem. — Za-telefonujemy do teatru i dowiemy się, gdzie można zastać tę aktorkę.

— Świetna myśl. Ułożymy cały plan. Będzie wspaniała heca — chwyciła Julka za rękę i pociągnęła go za sobą. Znowu biegli przez szumiącą ulewę aż do utraty tchu.

Julek był szczęśliwy.

— Jesteś najmorowszą dziewczyną — powiedział.

— A ty nie taki znowu goguś, jak myślałam.

— I w ogóle jest wspaniale w naszej paczce.

— Fantastycznie.

— Zobaczysz, będzie jeszcze lepiej!

— Śmieszny jesteś, ale miły.

— A najważniejsze, że się razem trzymamy. Bo ja do tej pory nie miałem dobrych kolegów. Lubię cię bardzo.

— I ja ciebie.

267

Pomyślał, że wreszcie nadszedł odpowiedni moment. Powie jej wprost, że chce z nią iść do kina. Było nie było, raz wreszcie trzeba się zdobyć na odwagę. Już otwierał usta, gdy nagle Karioka roześmiała się.

— Muszę ci coś powiedzieć. Ogromnie mi się podoba Tolek Banan. . .

Julka ukłuło coś boleśnie.

— Coś zrobił taką smętną minę?

— A nic — wykrztusił. — Pewno, Tolek może się podobać.

— Tylko że on nie zwraca na mnie uwagi. Taki strasznie poważny, że aż mi się chce śmiać.

— No tak — powiedział pospiesznie, a po chwili dodał: — Co my tak stoimy na deszczu? Chodź, wysuszymy się trochę.

Wbiegli do hallu. Z kuchni wytoczyła się pani Teczka. Gestem rozpaczy załamała rękę.

— Jak wy wyglądacie! Przemokli do suchej nitki.

— To nic, pani Teczko! — zawołał zuchowato Julek. — To przecież zdrowo.

— Tylko uważajcie mi na podłogę.

268

Jej surowe spojrzenie spoczęło na Karioce. Julek ją uprzedził:

— Nie zna pani Teci Karioki? To moja koleżanka z Saskiej Kępy.

— Mieszkam tu niedaleko, na Czeskiej — wtrąciła dziewczyna, — Chciałam tylko zadzwonić do koleżanki.

— I poprosimy o gorącą herbatę — dodał Julek.

Pani Teci pokręciła głową.

— W taką ulewę. Wyście chyba zwariowali.

Jeszcze raz obrzuciła dziewczynę badawczym spojrzeniem, odwróciła się i zniknęła w kuchni.

— Mam świetny pomysł — szepnęła Karioka. — Zadzwonię do Zuli, ona jest obla-tana i zna wszystkie aktorki. Przeprowadzimy wywiad i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Po chwili była już przy telefonie. Wybierała numer.

— To ty, Zula? — zaczęła wesoło. — Tu ja, Karioka. Cześć. Jak ci leci?

— Cześć, Karioka — usłyszała uradowany głos koleżanki. — Co się z tobą dzieje?

269

— Jestem okropnie zajęta. Wpadnę do ciebie, to poplotkujemy. Teraz mam ogromnie ważną sprawę. Słuchaj, czy ty znasz taką aktorkę. . . Nazywa się Maniewska, czy coś w tym guście.

— Waniewska. Marta Waniewska.

— No właśnie. Gdzie ona gra?

— W „Syrenie”. Strasznie słaba.

— Ale podobno ładna i podobno ma powodzenie.

— Może ładna, ale gra jak noga.

— Wiesz coś o niej?

— A co cię tak interesuje?

— Nie zadawaj głupich pytań, tylko mów, co i jak. Gdzie grała, w jakim filmie i w ogóle?

W słuchawce dał się słyszeć głośny śmiech.

— Ty zawsze masz zwariowane pomysły. Czekaaj, czekaaj, zaraz sobie przypomnę.

Już wiem. Występowała w filmie „Płaczące wierzby”. Okropna. Grała taką, co się pod-270

kochiwała w Łapickim, ale on ją wykołował dla jakiejś barmanki. Straszna bzdura, a ona zupełnie rozpaczliwa.

— „Płaczące wierzby”? Banalny tytuł. I w czym ją jeszcze widziałas?

— W jakiejś „Kobrze”, ale nie pamiętam tytułu. Czy to ważne?

— Ważne. Przypomnij sobie.

— Już mam. „Tajemnica Krystyny”. Ale ona nie grała Krystyny, tylko taką, co wciąż płakała. Nawet płakać dobrze nie umie.

— „Tajemnica Krystyny”? Dobra. A teraz w czym gra?

— W takiej składance. Makabra. Nie byłam na tym, ale Wacek mi mówił. Wiesz, ten z jedenastej od „Batorego”. Zupełna rozpacz.

— Ten Wacek?

— Nie. Waniewska.

— No, jasne. Czy ona teraz gra w „Syrenie”?

— Tak. Wybierasz się?

— Nie, tylko chce wiedzieć. Dziękuję ci, Zula. Miej się. . . Cześć!

Położyła szybko słuchawkę, tanecznym krokiem okrążyła cały hall.

271

— Tak się załatwia sprawy! — A gdy mijala Julka, powiedziała: — Nie patrz tak na mnie. O siódmej idziemy do „Syreny”.

*

*

*

Deszcz przestał padać. Rozpogadzało się.

Filipek stanął przed domem wskazanym przez młodszego Walentowicza. Była to stara willa otoczona dokoła pięknym ogrodem.

Filipek ukrył się za krzewami, gwizdnął przeciągle na palcach. Potem jeszcze dwa razy powtórzył sygnał.

Za chwilę ktoś wyszedł do ogrodu. Filipek poznał z daleka młodszego Walentowicza. Wysunął się dyskretnie zza krzaków, dał mu znak, że czeka na ulicy. Tamten ruszył

wolno i ociężale. Wnet jednak znalazł się za furtką.

— Masz szelki? — zapytał.

— Mam. A ty przyniosłeś forszę?

272

— Nie sprzedałem jeszcze longplaya. Nie miałem czasu. Mówię ci, w domu grobowy nastrój. Fater dowiedział się, że Maciek rozbił mu volkswagena. Wszyscy chodzą na palcach i boją się oddychać. Taki los — zakończył żalonym westchnieniem.

— Skąd fater wie, że twój brat rozbił wóz?

— Nie mam pojęcia. W każdym razie krucho z Maćkiem.

— Niewesoło — zawtórował mu Filipek westchnieniem. — Te, powiedz, kiedy doktorek dmuchnął faterowi tego volkswagena?

Beatles z Saskiej Kępy spojrział na chłopca z ukosa.

— A co ci właściwie do tego?

— Bo można skombinować, kiedy i gdzie go rozbił.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Może ma. Tak szczerze mówiąc, to żal mi tego twojego brata. Oferma.

— I mięczak — dodał poważnie młodszemu Walentowiczowi. — A volkswagena zabrał wczoraj wieczór.

— O której?

— A co ty mnie tak wypytujesz? Czy to ważne?

273

— Jak dla kogo — rzucił podchwytliwie Filipek. — Nie jesteś ciekaw, gdzie go rozbił?

— Mnie się zdaje, że zabrał go o tej porze. Może była piąta, może szósta.

— Nie później?

— Nie, bo jak fater przyszedł do domu, była szósta, a wóz nie stał już przed domem.

— Między piątą a szóstą — powtórzył zawiedziony Filipek. — To się nie zgadza. . .

— Co się nie zgadza? Ty coś, bracie, kręcisz. O co chodzi?

— Nic. Powiedz lepiej, dokąd on mógł wtedy jechać?

— Do tej rudej aktorki. On ją wieczorem przywoził do teatru. Fasoniarz, co?

— A gdzie ona mieszka?

— Na Mokotowie.

— Na Mokotowie. To też nie klapuje.

Domorosły beatles cmoknął zniecierpliwiony.

— Te, bo cię palnę w ucho. Co ci nie klapuje?

— Jesteś pewny, że na Mokotowie?

274

— Jak dwa a dwa cztery. Woziłem tam list. Gniewała się na niego, a on chodził jak struty. Myślałem, że się utopi. Śmieszny, co?

Filipek posmutniał. Wiedział bowiem, że jeżeli doktor jechał z Zakopiańskiej na Mokotów, to nie mógł przejeżdżać przez Walecznych. Cały misterny gmach dociekań, domysłów, wniosków walił się z powodu jednej drobnej informacji.

— Co się łamiesz? — usłyszał głos tamtego.

— Nic. . . muszę wracać do domu.

— A szelki?

— Powiedziałem ci, z rączki do rączki. Inaczej nie chwyci.

— Dam ci zadatek.

— Nie biorę.

— To przynieś jutro o tej porze. Będę miał forszę. I nie opyl nikomu.

— Jeden dzień mogę jeszcze poczekać — zgodził się wspaniałomyślnie. — Cześć!

275

O godzinie siódmej piętnaście Karioka z Julkiem byli już pod teatrem „Syrena”.

Nawet najdociękliwszy obserwator nie domyśliłby się, że to członkowie groźnego gangu Tolka Banana. Oboje wystrojeni, oboje uroczyści i odświętni. Karioka w najlepszej letniej sukience, w szpileczkach; Julek w szarych flanelowych spodniach, w zamszowej kurtce, białej koszuli i krawacie. A do tego wielki bukiet róż, które pani Teczka łaskawie zerwała w ogrodzie. Szczyt elegancji i dobrego tonu.

Julek miał niezwykle uroczystą minę, lecz gnębiła go trema. Tymczasem Karioka wydawała się być ubawiona.

— Zobaczysz, że wszystko przejdzie bez bólu. Tylko, błagam cię, nie otwieraj dzioba, bo mnie rozśmieszysz. Podasz tylko kwiaty i powiesz: „To w dowód naszego wielkiego uznania dla pani”. Resztę zostaw mnie. Ja już wiem dobrze, jak z taką rozmawiać.

Julek chrząknął znacząco.

— Kiedy mam wręczyć te kwiaty?

— Wtedy, kiedy mrugnę do ciebie, kapujesz?

276

— Kapuję — westchnął. — Ale najchętniej tobym wcale tam nie poszedł.

— Nie żartuj. Przecież szef wyraźnie powiedział, że masz jej wręczyć kwiaty. Tak będzie lepiej. Niby delegacja. Więc trzymaj się, żeby nie było gafy.

— Możesz być spokojna.

— To fajno. Teraz tylko trzeba się dowiedzieć, kiedy ona będzie wolna. Poczekaj tu na mnie, a ja zrobię wywiad.

Karioka weszła do westybulu. W głębi zobaczyła siwego biletera w szarej liberii.

Podeszła więc, obdarzyła go kokieteryjnym uśmiechem i zapytała:

— Bardzo pana przepraszam, przyszliśmy z delegacją szkolną, żeby wręczyć pani Marcie Waniewskiej kwiaty. Chciałam się dowiedzieć, kiedy pani Waniewska mogłaby nas przyjąć. Może byłby pan tak dobry zapytać ją o to?

Stary bileter spojrzał podejrzliwie spoza opadających na nos okularów.

— Do pani Waniewskiej? — zdziwił się.

— Tak, proszę pana, my ją po prostu ubóstwiamy. Była taka wspaniała w „Tajemnicy Krystyny”.

— Do Waniewskiej, no dobrze. . . Ona występuje dopiero po pierwszej przerwie.

277

— Jeszcze jej nie ma?

— Jest, tylko teraz się charakteryzuje. Niech panienka poczeka chwilę, zaraz się zapytam.

Drobnym kroczkiem poczłapał ku drzwiom prowadzącym za kulisy. Po chwili wrócił.

— Jest już wolna i może was przyjąć.

Karioka dygnęła po sztubacku i wybiegła na ulicę. — Chodź! — zawołała na Julka. — Pani Waniewska jest już po charakteryzacji i czeka na nas. Widzisz, idzie jak z płatka. Tylko pamiętaj, co ci mówiłam. Nie otwieraj buzi i rób niezwykle poważną minę.

— Poczekaj — jęknął. — Muszę poprawić krawat.

— Nie trzeba. Masz świetnie zawiązany i w ogóle wyglądasz szafowo.

Ruszyli; Karioka lekko, Julek jakby miał nogi z ołowiu. Przeszli westybul, potem długi korytarz i zatrzymali się przed drzwiami garderoby. Karioka zapukała.

— Proszę — usłyszała cichy głos.

278

Weszli do środka. Przed lustrem siedziała młoda kobieta. Wprawnymi ruchami poprawiała rude włosy. Była świeża i ładna. Na widok przybyłych zerwała z ramion płó-

cienny peniuar, uniosła się, stanęła przed nimi, wysoka, smukła, uśmiechnięta.

— My z Saskiej Kępy, proszę pani — zaczęła Karioka z uśmiechem, lecz nagle utknęła, nie wiedząc, co dalej mówić.

Pani Waniewska odwzajemniła uśmiech.

— Bardzo mi miło. Bardzo miło. . .

Nastąpiła chwila haniebnego ciszy. Julek czuł, że się poci. Spojrzał na Kariokę. Ta stała cała w pąsach i poruszała wargami, lecz nie mogła wydobyć głosu. Naraz spojrzała na kolegę. Nie wiedział, czy mrugnęła. Na wszelki wypadek postąpił pół kroku, wyciągnął

bukiet i palnął bez zająknięcia:

— To w dowód naszego wielkiego uznania dla pani — a potem ruchem pełnym godności wręczył aktorce róże.

W tym momencie Karioka odzyskała mowę.

— Właśnie — zaszczębiotała po swoim. — My jesteśmy z Saskiej Kępy i po prostu uwielbiamy panią. Podziwialiśmy panią w filmie „Płaczące wierzby” A w tej „Ko-279

brze”, „Tajemnica Krystyny”, to tak nam się pani podobała, że postanowiliśmy wręczyć pani kwiaty i prosić o autograf.

— Ogromnie mi miło, moi drodzy — powiedziała aktorka mrugając przyklejonymi rzęsami.- Widzę, że interesujecie się filmem i przedstawieniami telewizyjnymi.

— Tak — Karioka nabrała do płuc powietrza, a potem sypnęła jednym tchem: —

Ogromnie się interesujemy i w ogóle głosowaliśmy na panią w plebiscycie „Expressu” na Złotą Maskę, bo nam się pani szalenie podoba.

Julek przymknął oczy. Skąd ta dziewczyna ma tyle tupetu? Stał z zamkniętymi oczami, czekał, kiedy ze wstydu zapadnie się pod ziemię. Tkwił w jednym miejscu i czuł, jak kroplisty pot występuje mu na czoło.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył aktorkę przy stoliku. Wpisywała coś zamasyście do pamiętnika Karioki.

— I w ogóle — podjęła Karioka z tym swoim szelmowskim uśmieszkiem — to my panią znamy, bo pan doktor Walentowicz to mój sąsiad.

Aktorka drgnęła, przerwała nagle pisanie.

— Ach, tak. . . — powiedziała zaskoczona.

280

— Bardzo zdolny facet, tylko trochę lekkomyślny. . . Ciekawa jestem, czy odwiózł dzisiaj panią do teatru?

Aktorka pokryła chwilowe zakłopotanie nic nie znaczącym uśmiechem.

— Jesteś podobno jego sąsiadką, a nie wiesz, że miał wypadek.

— Wypadek? To straszne! — zawołała dziewczyna.

Julek pomyślał, że to ona powinna być aktorką, a nie pani Waniewska.

Ta tymczasem skinęła uspokajająco ręką.

— Nic strasznego. Na szczęście wyszedł cało.

— Chwała Bogu — odetchnęła Karioka. — Nic o tym nie wiedziałam, pewno zdarzyło się to niedawno. . .

— Wczoraj po południu.

— Po południu, to rzeczywiście nie mogłam wiedzieć. Pewnie zdarzyło się to gdzieś w centrum miasta?

— Pod Wyszkowem. Pan Maciej zabrał mnie na uroczy spacer. Nagle spadł deszcz, szosa zrobiła się śliska, przy mijaniu furmanki zarzuciło nas porządnie. . . ale, jak widzisz, nic mi się nie stało.

281

— Chwała Bogu — wyszeptała grobowym głosem Karioka.

Julek miał takie uczucie, jakby go powoli zamrażali w lodówce.

„Po południu. . . pod Wyszkowem. . .” — powtarzał w myśli. A więc pan doktor Maciej Walentowicz nie był tym, którego poszukiwali. Z rozpaczą spojrzął na koleżankę.

Karioka straciła nagle cały tupet i fantazje. Stała sztywno jak zbaraniała.

— Co ci się stało, moja droga? — zapytała zdumiona aktorka.

— A nic, nic — Karioka ocknęła się z osłupienia. — Tak mi strasznie żal pana Walentowicza. To taki miły i przyzwoity człowiek. . .

— Tak — westchnęła aktorka. — Ale trzeba przyznać, że prowadzi samochód jak noga. — Odwróciła się i pod skreślonymi słowami złożyła swój cenny podpis. — Proszę — podała pamiętnik Karioce. — Jeszcze raz dziękuję wam serdecznie za kwiaty.

— Dziękuję za autograf — powiedziała Karioka drętym głosem.

— I w ogóle bardzo było miło — dodał Julek i zrobił zwrot. Nie czekając na Kariokę, wyszedł z garderoby.

— Klapa na całej linii — wyszeptał, gdy znaleźli się na korytarzu.

— Na całej linii — powtórzyła Karioka. — Filipek nie ma nosa do takich spraw.

Wygłupiliśmy się do potęgi, a skorzystała jedynie pani Waniewska.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Minęły dwa dni.

Przez te dwa dni Julek Seratowicz chodził po Saskiej Kępie i wypisywał w note-sie numery rejestracyjne szarych volkswagenów garażujących lub parkujących w tej dzielnicy. Miał już sporą listę, lecz nic nie wskazywało na rychłe wykrycie sprawcy nieszczęśliwego wypadku.

283

Po generalnej klapie z niefortunnym panem Maciejem Walentowiczem gang wrócił do pierwotnego planu. Gangsterzy przeistoczyli się nagle w poszukiwaczy. Widywano ich najczęściej w okolicach garaży i parkingów, jak z wypiekami na twarzy wypatrywali szarych volkswagenów. Żmudna to była praca i niewdzięczna dla amatorów awanturni-czych przygód. Nic więc dziwnego, że z upływem czasu ogarniało ich zwątpienie.

Julek Seratowicz też poddawał się temu uczuciu. Kiedy rano zeszedł na śniadanie, pani Teczka na jego widok załamała ręce:

— Co ty taki nadąsany, jakby cię osa ucięła?

Julek wzruszył tylko ramionami.

— Idziesz do Cegiełki? — zapytała go po chwili. — Zabierz rosół z kury i kawałek cielęciny na zimno. Zaraz ci przygotuję.

— Dziękuję — mruknął bez entuzjazmu.

— Wyglądasz, jakby cię z krzyża zdjęli. Nie masz apetytu ani. . .

Julek zachnął się.

— Źle się czuję i to wszystko.

284

— Dobrze, już dobrze, tylko nie bądź taki opryskliwy, bo ci przecież nic nie zrobiłam. Z tobą to teraz nie można mówić.

Chciała odejść, lecz Julek zatrzymał ją.

— Pani Teczku — zagadnął — czy pani zna się na samochodach?

— Ja? — zachłysnęła się zdziwiona. — A co ci do głowy strzeliło?

— Nic, tylko pytam. . . Bo myślałem, że mi pani Teczka pomoże.

— A w czym ja ci mogę pomóc, mój drogi?

Julek wstał od stołu, stanął naprzeciw gosposi i powiedział szeptem:

— Da pani słowo, że nikomu pani nie powie?

— Dam, ale nie wiem, o co chodzi.

— Najpierw musi pani dać słowo — powiedział poważnie.

— No daje, niech ci będzie.

— I zachowa pani tajemnicę?

— Zachowam — wyszeptała pani Teczka i swoim zwyczajem utkwiała wzrok w suficie. Julek tymczasem przełknął ślinę, przejechał kilka razy palcami przez jasną czuprynę.

285

— My, to znaczy ja i moi koledzy, szukamy tego faceta, co przejechał Cegielkę.

— Czy to taka wielka tajemnica? — uśmiechnęła się gosposia.

— Tak, bo nikt o tym nie może wiedzieć, żeby przestępca nie zmylił śladów.

— Żeby on wcale nie wiedział, że wy go szukacie, prawda?

— Oczywiście. Pani jedna wie na całej Saskiej Kępie. I dlatego mam do pani wielką prośbę. . . Chodzi o to, żeby pani dobrze słuchała, co mówią. Może pani coś usłyszy o szarym volkswagenie. Volkswagen to marka samochodu. Tak jak nasz samochód nazywa się peugeot, tak samochód, który przejechał Cegielkę, nazywa się volkswagen, kapuje pani?

— No jasne, przecie takiego volkswagena ma ten doktor, co mieszka pod czternastką.

— Znakomicie — ucieszył się Julek. — To znaczy, że pani nawet wie, jak volkswagen wygląda.

— A co bym nie wiedziała. Mogę ci nawet powiedzieć, jak wygląda wartburg i wołga. Co ty sobie wyobrażasz?

— To świetnie. W takim razie mogę na panią teraz liczyć.

286

Podniesiony nieco na duchu poszedł do szpitala. Znali go już, więc bez trudności dotarł do sali, na której leżał Cegielka. Chłopiec na jego widok uniósł się na łokciach.

— Niech mnie drzwi ścisną — przywitał go radośnie. — Pewno znowu taszczysz żarcie.

— Pani Teci przysłała ci trochę rosółu z kury i cielęciny. Musisz nabierać sił.

Chłopiec mrugnął porozumiewawczo.

— Anioł z tej pani Teci. Ten rosół, coś mi wczoraj przyniósł, był pierwszoklasny.

Nigdy jeszcze nie zjadłem takich frykasów. — Naraz ściszył głos i zapytał: — A co w gangu?

— Po staremu — odparł Julek wymijająco.

— Jak tam z akcją Kobra?

— Rozwija się.

Cegielka spojrzał nieufnie.

— Coś ty, bracie, taki urzędowy? Mów, co i jak, bo ja tu nie mogę wysiedzieć. Śniło mi się, że w nocy znalazłem na strychu cały worek pieniędzy. No, opowiadaj, na co czekasz? — dokończył przynaglająco.

287

Julek nie patrzył na niego.

— No co. . . Szef cię pozdrawia. Powiedział, żebyś się nie denerwował.

— Właśnie, co z szefem?

— Dzięki Bogu, trzyma się.

— Wymyślił coś nowego?

— Tymczasem jeszcze nic. Powiedział, że musimy zaaklimatyzować się w melinie.

Potem dopiero przystąpimy do prawdziwej akcji.

— No jasne, szef najlepiej wie, co robić. A Cygan pewno stale się stawia. On już taki.

— Trochę się stawia, ale nasz szef ma na niego sposób.

— No jasne. A Filipek? Pewno robi interesy i handluje?

— Teraz nie ma czasu.

Cegielka złapał Julka za rękę.

— Ty coś przede mną ukrywasz. Pewno wam się coś nie udało?

— Nie, daję słowo — zaprotestował żywo. — Akcja Kobra trwa. Szef powiedział, że musimy pracować rozważnie. Zresztą znasz go. On nic nie ryzykuje.

288

Cegielka uśmiechnął się i powiedział z uznaniem: — Stary lis, wie, jak i co. Powiedz, bezpieczny jest w tej nowej melinie?

— Świetnie się czuje, popija sok owocowy i je pomidory. Cholernie lubi pomidory.

— Chytrus — powtórzył z uwielbieniem Cegielka. — On dobrze wie, co jeść i czym popijać, żeby mózdek dobrze pracował. A Karioka?

Julek opuścił smętnie głowę.

— Karioka?. . . No cóż, coraz bardziej mi się podoba.

— Nie masz szans. Ona leci na szefa.

— Wiem, że nie mam, ale chciałbym choć raz iść z nią do kina.

— To co się łamiesz? Fundnij jej, i po krzyku.

Julek wzruszył ramionami.

— Nie mam odwagi jej zaproponować.

— Coś ty? — zaśmiał się Cegielka. — Widzę, żeś jeszcze zupełnie zielony. Powiedz jej po prostu: „Karioka, jest świetny western, może byśmy poszli razem do kina”. Bez żenady, bracie, i ceregieli.

289

— Jakoś nie mogę się zdobyć. — Uścisnął mu dłoń. — Trzymaj się. Wszyscy życzą ci, żebyś jak najszybciej wrócił do paczki. Ja już muszę iść. O jedenastej mamy zbiórkę — pożegnał go z uczuciem zażenowania.

Zdawało mu się, że go zawiódł, że zawinił wobec niego. Spojrzał jeszcze raz na kolegę. Ten leżał cały w bandażach jak mumia egipska. Spomiędzy bieli błyskały złociste oczy pełne w tej chwili niepokoju.

— Co się tak śpieszysz? — zapytał z żalem.

— Mówię ci, że mamy zbiórkę, a ja muszę jeszcze odnieść do domu koszyk i me-nażki.

— To cześć — powiedział z odcieniem smutku. — Pozdrów całą wiarę. No i szefa.

Powiedz mu, żeby się o mnie nie martwił.

— Wpadnę do ciebie jutro. Powiedz, co ci przynieść?

— Dziękuję. I tak za dużo mi przynosisz.

— To pani Teczka tak dba o ciebie.

— Podziękuj jej.

— Cześć, Cegiełka.

290

— Cześć, Julek. Miej się. . .

Julek odszedł wolnym krokiem. Zastanawiał się, dlaczego nie wspomniał Cegiełce o akcji Volkswagen. Wprawdzie szef prosił, żeby nie mówić o tym, dopóki nie wykryją sprawcy, lecz Julek miał takie uczucie, jakby okłamywał kolegę. Wyszedł więc ze szpitala smętny i roztargniony.

2

Smętny i roztargniony był również Filipek, gdy swoim zwyczajem znalazł się rano na bazarze. Od dwóch dni nie wiodło mu się w interesach. Dwa razy zachodził z szelkami do młodego Walentowicza, lecz ten za każdym razem zwodził go, że jeszcze nie sprzedał longplaya. Najgorzej zaczynać z takimi miłkami bubkami, co nie mają pojęcia o uczciwym handlu. A niech go licho, trzeci raz Filipek nie będzie się fatygował. Wo-li stracić kilkadziesiąt złotych aniżeli narażać na szwank swoją nieskazitelną reputację handlowca.

291

Gnębiła go jeszcze jedna myśl: jak mógł tak ogromnie skompromitować się w sprawie volkswagena? Znakomity handlowiec nie mógł sobie darować tej haniebnej pomył-

ki. Wszyscy z niego nabijali się, byli wściekli. Niech sobie będą. . . Czy to jego wina, że w pierwszy dzień nawinął się osobnik, który wydał mu się podejrzany? Mądrzy! Każdy na jego miejscu naciąłby się i ośmieszył.

Starął się wytłumaczyć swe niepowodzenie, a jednak w najskrytszych myślach postanowił pokazać im, że oprócz głowy do handlu ma jeszcze smykałkę do rozwiązywania kryminalnych zagadek. Niech mu włosy wyrosną na podniebieniu, jeżeli nie przyskrzyni tego przestępcy.

Z tym skrytym postanowieniem wyruszył rano na bazar. Wiadomo bowiem, że na bazarze skupiają się sprawy całej Pragi, rozstrzygają się losy niejednego przestępstwa.

Miał więc nikłą nadzieję, że właśnie tutaj natrafi na nitkę, która doprowadzi go do kłębka prawdy. Kiedy zbliżał się do budki z piwem, z daleka zobaczył zezowatego Frania.

— Szanowanie, panie Franiu — przywitał go z fasonem. — Ładną mamy pogodę.

Wicherek zapowiadał wyż od Wysp Azorskich.

Światowiec leniwym ruchem uniósł dłoń do kapelusza, musnął go lekko palcami.

292

— Będzie urodzaj na pomidory — rzucił z wytworną obojętnością.

— I na szpinak — dodał Filipek.

— Nie cierpię szpinaku. Mdli mnie, gdy o nim myślę. Uwielbiam szparagową fa-solkę.

— Szparagowa też obrodzi — podjął Filipek z humorem. — Pan pewno lubi z ma-sełkiem i bułeczką.

Na pełnym rezerwy obliczu światowca pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiezek.

— Znasz się na rzeczy, Filipek. Fasolka musi być na maśle i z tartą bułeczką. —

Naraz zmienił temat: — Ty, sprzedałeś już te szelki?

— Się wie, panie Franiu. Za sto osiemdziesiąt, jak leci.

— Sto osiemdziesiąt — uśmiechnął się ironicznie.- Nie uwierzę.

— Daję słowo i jeszcze pokwitowanie.

— Bujasz.

— Niech moją cenną głową w gałę grają, jeżeli wziąłem o grosz mniej. Pan mnie zna. Jak powiem cenę, to jak w komisie.

293

— Szkoda — westchnął światowiec. — Kupiłbym, tylko nie za taką cenę. Nie da rady.

— Mam jeszcze drugie, ale nie opuszczę ani grosza.

— Gdzie je masz?

— A w domu. Nie przypuszczałem, że pan będzie sobie życzył.

— Daję sto dwadzieścia.

— Sto osiemdziesiąt, ani grosza. Ceny stałe i bez l e k r a m a c j i.

Zezowaty Franio przesunął kapelusz na tył głowy, pociągnął łyczek piwa, zgarnął

z ust pianę i rzucił tonem podziwu:

— Z ciebie stary cwaniak, Filipek. Niech stracę, daję sto pięćdziesiąt i ciemna mogiła.

Filipek doskonale wiedział, że „ciemna mogiła” w języku bazarowym znaczy zakończenie licytacji. Więcej już nie można było wyciągnąć. Uśmiechnął się ugodowo i powiedział:

— Niech i ja stracę. Zaklepane.

Zezowaty dżentelmen ledwo raczył podać mu dwa palce.

294

— Skocz do domu na jednej nodze, bo ja tu dłużej nie będę urzędował.

— Zrobione. Zaraz towar będzie na miejscu. — Chciał odejść, lecz światowiec zatrzymał go władczy gestem.

— Chwileczkę, co się tak spieszysz. Słuchaj no, może wiesz, kto ma do opylenia kilka baniek zagranicznego lakieru?

Filipek zatrzymał się i spojrzał z powagą należną przy tak poważnej transakcji.

— Lakieru, ale jakiego?

— Do samochodu, oczywiście. Był tu przed chwilą jakiś facet i koniecznie szukał

lakieru, ale pierwszorzędnej marki.

Filipka coś tknęło. Nie zdradził jednak chwilowego podniecenia. Przy transakcjach handlowych nie wolno okazywać zdenerwowania.

— Co to za facet? — zapytał obojętnym głosem.

— Facet się nie liczy, lakier się liczy, rozumiesz? Musi być zagraniczny i klapować do koloru.

— Jaki ma być kolor?

295

Zezowaty Franio zwolnionym ruchem sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Filipkowi zdawało się, że ruch ten trwa wiecznie. Wreszcie w dłoni światowca błysnął czerwony notes.

— Mam tu gdzieś zapisane. Chwileczkę — powiedział takim tonem, jakby chodziło o akcje Forda.

Filipek stał jak na rozpalonej blasze. Nie mógł się doczekać, kiedy Franio raczy odnaleźć drogocenne zapiski. Tamten wychylił resztę piwa, splunął i powiedział:

— Jest. Na życzenie klienta lakier ma być firmy zachodnioniemieckiej „Lutex”, kapujesz?

— Kapuję — odrzekł chłopiec zaciskając zęby, żeby nie krzyknąć. — Ale jakiego koloru?

— Nie denerwuj się, wszystko jest zapisane. Koloru. . . koloru. . . granatowego.

Można ładnie zarobić, bo klient na gwałt potrzebuje towaru.

— Rozumiem, granatowy — wyjąkał Filipek. — Towar musi być pierwszej klasy, firmy „Lutex”. — I dorzucił w myśli: „Facet chce przelakierować volkswagena”.

296

— Granatowy — powtórzył zezowaty Franio. — Jeżeli znajdziesz coś takiego, to przyjdź tu jutro o dziesiątej, bo ten facet tu będzie. A szelki możesz przynieść zaraz.

— Się wie, panie Franiu — Filipek skinął mu na pożegnanie i ruszył zrazu wolno, żeby go nie podejrzewano o brak opanowania. Potem jednak puścił się biegiem. Zatrzymał się dopiero przy najbliższej budce telefonicznej. Dysząc ciężko, nakręcił numer Julka. Po chwili usłyszał głos gosposi:

— Tu mieszkanie inżyniera Seratowicza.

— To się samo przez się rozumie — powiedział z należytą powagą. — Czy jest Julek?

— A kto mówi?

— Kolega. . . W ważnej sprawie. — Jaki kolega?

— Filipek.

Wnet usłyszał oddalający się głos.

— Luluś, jakiś Filipek do ciebie. . .

— Co się stało? — usłyszał po chwili głos Julka.

— Te, powiedz szefowi, że dziś nie przyjdę na zbiórkę.

297

— A co robisz?

Chciał powiedzieć, że wpadł na nowy ślad przestępcy, lecz w ostatniej chwili zmienił zamiar. Nie ma głupich! Znowu pomyślał, że ich nabiera, a gdy mu się nie uda, wyśmieją jeszcze i wypomną. Tym

razem trzeba działać ostrożniej.

— Nic takiego — odparł spokojnie.

— Szef się będzie denerwował.

— Trudno. Daję słowo, nie mogę.

— A kiedy przyjdiesz?

— No, jutro, po dziesiątej.

— E, z wami to zawsze taka robota. Jak zbiórka, to zbiórka.

— Ja nie bumeluję.

— Pewno znowu jakiś handel?

— Może.

— W takim razie cześć!

298

— Cześć, Julek — Filipek odwiesił słuchawkę i przetarł dłonią spocone czoło. „Granatowy, firmy «Lutex»” — powtórzył w myśli i zaczął się zastanawiać, gdzie można dostać taki lakier.

3

— Kto to do ciebie dzwonił? — zapytała pani Teczka, gdy Julek wyszedł z hallu.

— A taki jeden, Filipek,

— Był tu kiedy u ciebie?

— Nie. Nie zna go pani Teczka. Zresztą nie mam czasu. Bardzo się spieszę.

— Znowu na korty grać w tenisa? — zapytała z przekąsem. — Poczekaj, już niedługo tego dobrego. Mamusia mówiła mi, że wysyła cię z Krzysiem i z panią doktorową do Zakopanego.

Chłopiec zacisnął z pasją pięści.

299

— Masz babo placek! Mama zawsze ma pomysły. Jeżeli myśli, że pojedą z Krzyskiem do Zakopanego, to się bardzo grubo myli. Wolę iść do psychiatry.

Gospośnia zniżyła głos:

— Pani już telefonowała w tej sprawie do pani doktor Sekocińskiej.

— Dziękuję bardzo. Nie z Krzyśkiem i nie teraz. Przecież pani wie, że musimy znaleźć tego. . .

Pani Teca uniosła rękę.

— O święci anieli, na śmierć bym zapomniała o tym, coś mi rano mówił.

Julek spojrział na nią przynaglająco.

— Są jakieś wiadomości? Mówią coś o tym? — wyszeptał konspiracyjnie.

— Jedna pani, co mieszka na Walecznych, powiedziała mi w mięsny sklepie, że jednemu panu, co przyjechał z wizytą do jej sąsiadów, ukradli auto spod samiusieńkiego domu.

Julek zadreptał, jakby go pięty swędziały.

— Niemożliwe. Jakie to było auto?

— Ano właśnie takie, o jakim wspominałeś.

300

— Volkswagen?

— O, właśnie, volkswagen.

— Szary?

— Nie wiem. O to nie pytałam.

— Szkoda. Trzeba zawsze pytać o takie szczegóły.

Pani Teca obruszyła się:

— Skąd ja mogłam wiedzieć. Wiem tylko, że ten pan przyszedł do tych sąsiadów tej pani. Poczęstowali go kawą? Porozmawiali. A potem wyszedł, a tu po volkswagenie ani śladu. Podobno dwieście tysięcy za niego zapłacił. Święci pańscy, ja tobym musiała trzy razy umierać i na nowo się rodzić, żeby tyle pieniędzy nazbierać. . .

— Pani Teci — przerwał Julek — kiedy to się stało?

— No, właśnie w sobotę, kiedy przejechali nieszczęsnego Cegielkę. Powiedz, a ro-sól mu smakował?

— Bardzo mu smakował, ale to w tej chwili nieważne.

— Jak to: nieważne, przecie wybrałam najładniejszą kurę. . .

301

— Tak, wiem — niecierpliwił się chłopiec. — Cegielka kazał pani podziękować.

Ale niech mi pani powie, o jakiej porze ukradli mu ten wóz?

— O jakiej porze? A cóż ty mnie tak męczysz i męczysz? A skąd ja mam wiedzieć?

— To bardzo ważne. Dlaczego pani nie zapytała?

— Mój drogi, ta pani właśnie płaciła przy kasie za schab i pół kilo żeberek.

— No, właśnie! — zawołał zawiedziony. — To, że płaciła za pół kilo żeberek, to pani zapamiętała.

Gospośia rzuciła mu karcące spojrzenie.

— Jakże bym mogła zapomnieć, kiedy teraz ludzie się o nie zabijają, bo tanie i zupę można ugotować.

— Naraz uniosła dłoń do czoła. — Czekaj, czekaj — wyszeptała z namysłem. — Przecież ta pani mówiła, że ten pan przyszedł z wizytą, a tam go częstowali kawą. No to rano chyba nie składa się wizyt.

— Właśnie! — zawołał Julek. Oczy mu płonęły gorączkowo i dreptał w miejscu pełen radosnego podniecenia.

To było po południu albo wieczorem i w tym dniu, kiedy przejechano Cegielkę. Pani Teci, pani jest fenomenalna. Gospośia machnęła lekceważąco.

302

— Jaka tam fenomenalna. Po prostu w sklepie zawsze mówi się o tym i o tamtym, żeby czas szybciej zleciał. A zresztą, czego ty się tak cieszysz?

Julek okrążył gospośię tanecznym krokiem.

— To dobry znak! — zawołał. — Niech pani Teci posłucha. Facet rąbnął samochód i był strasznie zdenerwowany. Walił na cały regulator, więc nie zwracał uwagi, kto jest na drodze. Rozumie pani?

— Rozumiem, tylko nie wiem, co ma z tego wyniknąć.

— To, że mamy już poszlaki. — Naraz uderzył się w czoło. — Nie zapytałem o najważniejsze: gdzie ta pani mieszka?

— Przecież mówiłam ci, że na Walecznych.

— Racja! Na Walecznych! — zawołał radośnie. — To się wszystko zgadza. Niech pani słucha: on

wyjechał z Walecznych i skręcał w Suską, i na rogu potrącił Cegielkę.

Gosposia spojrzała z niedowierzaniem.

— Co ci się zgadza?

303

— Wszystko. To, że był volkswagen, to, że jechał szybko, bo się spieszył, i to, że wyjechał właśnie z Walecznych. — Chwycił gosposię za ręce i okręcił ją wokół

siebie. — Pani jest najwspanialszą osobą pod słońcem.

— A daj że mi spokój! — wołała śmiejąc się. — Przestań, bo mi się w głowie zakręci! Uspokój się, na litość boską.

Chłopiec zatrzymał się.

— Jeszcze jedno — zapytał poważnie. — Czy zna pani dokładny adres?

— Nie znam, ale wiem, gdzie to jest, bo byłam raz u tej pani. To blisko rogu Walecznych i Francuskiej. Obok domu w którym podnoszą oczka. Na dole jest wywieszka.

— Jakie oczka, pani Teci?

— No jakie? Takie, co lecą w pończochach, a potem się je zarabia.

— Znajdę bez pudła — rzucił uradowany. — Lecę zawiadomić wiarę.

Gosposia kręciła głową.

— Co się stało z tym chłopcem. Zmienił się nie do poznania.

304

4

— Brawo, Julek — powiedział Tolek Banan, gdy Seratowicz zdał mu sprawę ze swego odkrycia. — Zdobyłeś niezwykle cenne informacje. Musimy być jednak ostroż-

ni, żeby znowu nie było wsypy, jak z tym doktorem. Proponuję, żebyś sam przeprowadził delikatny wywiad. Trzeba pokręcić się przy tym domu, zapytać chłopców, czy wiedza coś o kradzieży samochodu, wysondować, kto to są ci ludzie, u których był

ten facet, któremu świsnęli volkswagena. Jeżeli zdobędziemy dalsze wiadomości, które nas upewnią, że można prowadzić akcję w tym kierunku, to wtedy ruszymy na całego.

W każdym razie jest to jedyna poważna informacja od trzech dni. . .

Julek wyszedł z meliny z Karioką. Zdecydował wykorzystać moment chwilowego sukcesu. Nie jest już ostatnim pataląchem, maminsynkiem, na którego patrzyli z politowaniem. Przecież sam Tolek Banan pochwalił go i jednocześnie powierzył mu niezwykle trudne zadanie.

305

Trzeba się wreszcie zdecydować i zaprosić Kariokę do kina. Właśnie w kinie „Sawa” na Saskiej Kępie idzie znakomity western z Jamesem Stewardem i Johnem Waynem.

Raz kozie śmierć. Cegiełka ma rację. Trzeba postępować zdecydowanie i po męsku.

Kiedy znaleźli się w głównej alei parku Skaryszewskiego, Julek chrząknął znacząco, przejechał palcami przez gęste włosy i powiedział głośno:

— Słuchaj, Karioka, już od dłuższego czasu mam zamiar. . .

Dziewczyna roześmiała się wesoło.

— Coś ty dzisiaj taki poważny? Zaczynasz, jakbyś odpowiadał na lekcji.

Znakomicie obmyślony plan rozsypał się w jednej chwili. Julek spąsował, czuł, że mu nagle zaschło w gardle i nie może wydobyć głosu.

— No, wał, nad czym się namyślasz? — zachęcała go dziewczyna.

Przełknął ślinę i doznał takiego uczucia, jakby mu język ucięto. Należało jednak coś powiedzieć.

— Właśnie. . . — wydusił z wielkim trudem — od dłuższego czasu. . . zastanawiam się, czyby nie zrobić Cegiełce jakiegoś prezentu.

306

— Świetny pomysł, tylko co chcesz mu dać? Masz tyle fantastycznych rzeczy, możesz mu coś zanieść do szpitala.

— Tak — powiedział zaciskając z rozpaczy zęby.

— Albo mógłbyś mu choćby pożyczyć — ciągnęła — ten japoński odbiornik tranzystorowy.

— Już mu proponowałem. Powiedział, że na tej sali nie wolno słuchać radia.

A w ogóle. . .

— W ogóle co?

— A nic — wybąknął — tak sobie coś pomyślałem.

Myślał o Karioce. Szła obok niego smagła, wesoła, powabna. Widział jej twarz złotą od opalenizny, jej zielone oczy, błyszczące i jakby zdziwione, dławił się w bezsilnej rozpacz. Nie potrafił nawet złożyć swobodnie prostego zdania i zdobyć się na odwagę, by zaproponować jej pójście do kina.

Karioka tymczasem stąpała lekko, myśląc już o czym innym.

— Wiesz — powiedziała po chwili — dostałam kartkę od tego marynarza ze Szkoły Morskiej. Jest teraz w Libanie.

307

— W Libanie — mruknął ponuro Julek. Zamroczyło go. Był pewny, że gdyby spotkał teraz tego marynarza, to rzuciłby się na niego z pięściami.

— Pisze, że bardzo tęskni. A na tej pocztówce był stary bazar arabski. Brodaci Arabowie i żebracy. Śmieszne, co?

— Co ma być śmieszne?

— A wszystko. A najśmieszniejsze, iż on nie wie, że mi się podoba Tolek Banan.

— Przecież on nawet nie wie, kto to jest Tolek Banan.

— Myślisz, że oni tam nie czytają polskich gazet?

— Arabskie — powiedział z przekąsem.

Szli chwilę w milczeniu. Julek wbił wzrok w ziemię i do bólu zaciskał pięści. Nie mógł sobie wybaczyć, że nie wykorzystał tak znakomitej sytuacji. Karioka niczego się nie domyśla. Gdyby przynajmniej wiedziała, jak bardzo mu na niej zależy. Gdyby powiedziała chociaż jedno ciepłe słowo. A ona tymczasem wyjeżdża z tym marynarzem.

Znienawidził go, a przez niego wszystkich marynarzy. Marynarz, wielka rzecz. Tolek Banan to co innego. Tolek pokazał, co potrafi. Jest sławny, a przede wszystkim nie zwraca-308

ca uwagi na Kariokę. Traktuje ją jak chłopca, ba, może nawet jest wobec niej bardziej wymagający.

Nie spostrzegł, kiedy doszli do ronda Waszyngtona. Karioka zatrzymała się.

— To cześć.

— Cześć — odparł smutnie. — Spotkamy się jutro rano. Zadzwoń, pójdziemy razem na zbiórkę.

— Dobra. — Naraz dziewczyna zrobiła taki gest, jakby sobie coś przypomniała. —

Julek, słuchaj, w „Sawie” jest fantastyczny western z Johnem Waynem. . .

— I z Jamesem Stewartem — dodał.

— Tak. Może byśmy się razem wybrali?

Chwilę stał jak ogłuszony.

— Co cię tak zamurowało? — zapytała śmiejąc się.

— A nic, nic — powiedział szybko. — To świetnie, bo właśnie chciałem ci zaproponować. . .

— Masz bilety?

— Nie, ale kupię dla nas obojga.

309

— Na balkon, pamiętaj — skinęła mu ręką i biegiem ruszyła po białych pasach na drugą stronę ulicy.

Gdy była już przy Francuskiej, odwróciła się i znowu skinęła mu ręką. Potem zniknęła za rogiem ulicy. Julek czuł wzbierającą radość. Rozejrzał się. Wszystko wokół wydało mu się piękne: drzewa, ludzie, domy, wysokie niebo i obłoki nad Wisłą. I pomyślał, że to bardzo szczęśliwy dzień.

Trwał chwilę w radosnym upojeniu, lecz wnet przypomniał sobie, że powinien iść na Walecznych. Ruszył więc różnym krokiem, a gdy znalazł się na rogu ulicy i skręcił

w głąb szpaleru starych drzew, zobaczył w oknie na parterze wywieszkę: ELEKTRYCZNE

PODNOSENIE OCZEK

Następny dom miał kryć tajemnicę ukradzionego volkswagena. Przeszedł jeszcze kilka kroków wzdłuż ogrodzenia. Zatrzymał się przed żelazną furtką prowadzącą w głąb ogrodu i wtedy na chodniku zobaczył dwie dziewczynki grające w kometkę.

310

Dziewczęta były tak zajęte grą, że nie zauważyły zbliżającego się chłopca. Rakiety śmigały w ich rękach, a piłeczka przelatywała ponad chodnikiem. Wreszcie, odbita niezbyt fortunnie, upadła pod nogi Julka.

Chłopiec podniósł ją, podał nadbiegającej dziewczynce. Było to pucołowate, opalone, niezwykle zuchowate stworzenie, przypominające raczej chłopca.

— Te — zahaczył Julek, gdy podawał jej piłeczkę — podobno rąbnęli sprzed tego domu volkswagena?

Oczy dziewczynki błysnęły zainteresowaniem.

— Rąbnęli. . . i co z tego?

— A nic — powiedział siląc się na obojętność. — Tak tylko. . . To ciekawa historia — dodał podchwytliwie. — W biały dzień ukradli samochód.

Dziewczyna połknęła haczyk.

— Wcale nie w biały dzień, tylko wieczorem.

— A skąd wiesz?

— Bo bawiliśmy się właśnie w chowanego, a na dworze już ciemniało.

— Widziałaś może ten samochód? Nie pamiętasz, jakiego był koloru?

311

— Jasne, że widziałam. Stał tutaj, przy furtce. Był szary i miał bagażnik na dachu.

Julek drgnął, lecz wnet opanował się. Trzeba było zachować spokój i wyciągnąć jak najwięcej wiadomości. Do tej pory śledztwo dawało rewelacyjne wyniki.

— Szary — powtórzył w zamyśleniu. — I miał na dachu bagażnik. Jesteś tego pewna?

Dziewczyna wyduła wargi.

— No jasne. Przecież się za nim kryłam. A Jurek nie mógł mnie znaleźć. Taka fujara.

Druga dziewczyna, chuda, nadmiernie wyrośnięta, o nogach szczudłowatych i kro-stowatej twarzy, zawołała zniecierpliwiona :

— Marta, grasz czy nie grasz, bo ja nie będę czekała!

— Już idę! — odkrzyknęła Marta.

Julek zatrzymał ją.

— Poczekaj. Może widziałaś tego faceta, co wsiadał do samochodu?

— Nie, bo mama zawołała mnie na kolację.

— A do kogo przyjechał ten pan volkswagenem?

— A na co ci to? — zdziwiła się. — Do pana Sacharkiewicza, tego dentysty 312

Mignęła mu raketką przed oczami i skacząc na jednej nodze oddaliła się. Po chwili gra zaczęła się od nowa.

Julek dopiero teraz odetchnął radośnie. Miał przecucie, że nareszcie natrafił na właściwy ślad. Rozejrzył się uważnie. Na murze przy furtce spostrzegł białą, emaliowaną tabliczkę:

MARIAN SACHARKIEWICZ

lekarz dentysta

PRZYJMUJE OD 16 DO 18

Było dopiero wpół do pierwszej. Zawrócił zawiedziony. Chciał odejść, lecz zauważył, że dziewczęta grające w kometkę pokłóciły się. Ta chuda, o szczudłowatych nogach, rzuciła Marcie raketkę i z obrażoną miną odeszła w głąb ulicy. Postanowił jeszcze raz porozmawiać z Martą. Usiadł na podmurowaniu ogrodzenia i zaczął czyścić zapałką paznokcie. Dziewczynka zbliżyła się trzęsąc się z gniewu.

— Widziałeś? — zawołała. — Ta niezdolna Zośka popsuła mi raketkę i jeszcze się pogniewała. Myśli, że będę z nią grała. Nie ma głupich. Wolę grać z chłopcami.

313

Julek cierpliwie wysłuchał skarg, a gdy skończyła, zagadnął niemal obojętnie:

— Zęby mnie bołą i po południu wybieram się do dentysty. Czy ten doktor Sacharkiewicz przyjmuje tego samego dnia?

— Chcesz sobie wyrwać?

— Nie, tylko zaplombować.

— Jeżeli cię bołą, to może cię przyjmie. Raz moją mamę strasznie bolał ząb, to poszła do niego, a on jej zatruł. . . nawet po godzinach przyjąć. Spróbuj, może jest w domu.

Julek spojrzał niechętnie w stronę zasłoniętych okien.

— Czy to dobry dentysta?

— Nie wiem. Idź, to się przekonasz. — Chłopiec wzruszył ramionami. Marta zaśmiała się: — Tere fere, pewno się boisz.

— Nie, tylko nie mam przy sobie forsy.

— To po co wybierasz się do dentysty?

— Chciałem zobaczyć, o której przyjmuje.

Julek nie mógł znaleźć sobie miejsca. Był tak zdenerwowany, że pół obiadu zostawił na stole. Co chwila spoglądał na zegarek, a czas, jak na złość, płynął wolno, jakby sobie kpił z chłopca.

Na szczęście przed czwartą zadzwoniła Karioka.

— Masz już bilety? — zapytała wesoło.

— Mam na szóstą, ale przed szóstą musimy załatwić jeszcze pewną sprawę — odparł tajemniczo.

— Jaką sprawę?

— Bardzo ważną. Słuchaj, czy cię przypadkiem nie bolą zęby?

— Przypadkiem nie.

— To fatalnie, bo mnie też nie bolą, a muszę iść do dentysty.

— Zwariowałeś! Po co do dentysty?

— Powiem ci, jak się spotkamy. Słuchaj — dodał — może umiesz udawać, że cię bolą?

Karioka zachichotała.

— Udawać umiem doskonale.

— To świetnie się składa. Spotkajmy się zaraz na rondzie Waszyngtona. Wszystko ci wytłumaczę. Za dziesięć minut tam będę.

— Dobra. I nie zapomnij biletów. Ciao!

Za pięć minut był już na rondzie. Czekał niecierpliwie na Kariokę, a gdy ją zobaczył wychodzącą z ulicy Francuskiej, przybiegł do niej rozgorączkowany.

— Słuchaj, wiem już, do kogo przyszedł ten gość, któremu ukradli volkswagena.

Zrobiłem fantastyczny wywiad i wszystko klapuje. Volkswagen był ciemnoszary i miał na dachu bagażnik. Teraz ktoś z nas musi iść do dentysty.

— Dlaczego do dentysty? — zapytała zdziwiona Karioka.

— Bo to właśnie dentysta i przyjmuje między czwartą a szóstą.

Karioka przymrużyła zielonkawe oczy.

— To znaczy ja mam iść? Wygodny jesteś, szkoda gadać.

— Daję ci słowo, że wszystkie zęby mam zdrowe.

— Ja też. Dla dobra sprawy mógłbyś się poświęcić.

316

— Dałbym sobie nawet wyrwać, ale nie umiem udawać. Błagam cię, idź, bo inaczej nie ruszymy z miejsca. To przecież bardzo ważne.

Karioka roześmiała się.

— Wiesz, że to nawet zabawne. Będzie heca.

Julek miał ochotę rzucić się jej na szyję.

— Jesteś najmorowsza dziewczyna na świecie.

— Nie wygłupiaj się. Zbliża się już czwarta, trzeba tam iść.

— Masz pietra?

— Nie. Ale jeżeli ten dentysta wyrzuci mnie za drzwi, to na twoją odpowiedzialność.

Ruszyli w stronę Walecznych. Zatrzymali się dopiero przed furtką prowadzącą do domu dentysty.

— Trzymaj się, Karioka — wyszeptał z przejęciem Julek. — Czekam tu na rogu.

— Nie martw się, dam sobie radę. Masz czystą chustkę? Daj.

Karioka przytknęła podaną sobie chustkę do policzka, skrzywiła się płacząco i zaczęła pojękiwać. Julek roześmiał się.

317

— Świetnie. Można powiedzieć, że masz zapalenie okostnej. Tylko pamiętaj, staraj się przynieść jak najwięcej informacji.

Mrugnęła porozumiewawczo, odwróciła się i ruszyła w stronę wejściowych drzwi.

Po chwili zniknęła w ciemnym korytarzu. Na końcu korytarza spostrzegła następne drzwi, na których

widniała tabliczka z nazwiskiem dentysty i z napisem: Poczekalnia.

Zatrzymała się na chwilę, lecz wnet nacisnęła energicznie klamkę i weszła do środka.

Poczekalnia była niewielka. W kącie stał okrągły stolik zarzucony starymi tygodnikami ilustrowanymi, a przy stoliku siedziały już trzy osoby. Starszy pan w okularach, młodzieniec z łuszczącą się od opalenizny twarzą i tęga kobieta w koronkowej bluzce.

Karioka wsunęła się na palcach. W tej samej chwili spojrzenia czekających pobiegły na jej spotkanie. Dziewczyna zrobiła tak bolesną minę, jak gdyby rozbolały ją wszystkie zęby, a potem dla spotęgowania wrażenia jęknęła głucho i żałośnie. Efekt był natychmiastowy. Młodzieniec o łuszczącej się twarzy zerwał się z krzesła i zaofiarował jej miejsce. Karioka skinęła mu z wdzięcznością głową. Za chwilę wyszeptała głosem peł-

nym cierpienia:

318

— Dziękuję panu, ale jak siedzę, to mnie jeszcze bardziej bolą — i jeszcze raz jęknęła długo i przeciągle.

Starszy pan posłał jej pełne współczucia spojrzenie.

— Zapalenie?

— Tak — wyszeptała — całą noc nie mogłam spać.

— Trzeba było przykładać lód.

— Przykładałam. Nic nie pomagało.

— Biedactwo. . .

— Biedactwo — powtórzyła z przekąsem tęga kobieta w koronkowej bluzce, a jej małe świdrujące oczka błysnęły zawistnie. — Trzeba dbać o zęby, a nie jęczeć. Jęczenie nic nie pomoże. Pewno od trzech lat nie była u dentysty. Taka to dzisiaj młodzież.

A teraz to jeszcze będzie chciała, żeby ją puścić poza kolejką.

Jegomość w okularach chrząknął znacząco.

— Nie widzi pani, jak ona cierpi? Ja nie mam nic przeciwko temu, żeby ją pan doktor przyjął przed nami.

319

— Pewno — dodał młodzieniec opalony jak czerwonoskóry Indianin. — Nie może czekać. Ja też nie

mam nic przeciwko. . .

— A ja mam — łypnęła zawistnie kobieta.

Karioka wiedziała, że za chwilę pokłóca się o nią. Chciała przyjść z pomocą dwóm panom, którzy okazali jej tyle serca. Jęknęła więc jeszcze głośniejsze. W drzwiach gabinetu ukazała się łysa czaszka dentysty.

— Co się stało? — zapytał cicho, lecz stanowczo.

Pod Karioka ugięły się nogi. Poczowała się nagle tak nieszczęśliwa i zagubiona, że nie musiała się zbytnio wysilać, by wydobyć z siebie jęk, który potrafiłby wzruszyć najtwardszego człowieka.

Dentysta zbliżył się do niej. Był niski, pulchny. Miał małe, przekrwione oczy, a z uszu sterczały mu pęczki włosów. Położył rękę na jej ramieniu.

— Czy panienka ma zamówioną wizytę? — zapytał łagodnie.

— Nie — zaszlochła — ale wścieknę się za chwilę, jeśli mnie pan doktor nie przyjmie.

Lekarz zwrócił się do pacjentów:

320

— Państwo pozwolą, to jakiś nagły wypadek, wymagający natychmiastowej inter-wencji.

Karioka znalazła się w gabinecie. Dopiero teraz uprzytomniła sobie, co jej grozi.

Na widok dentystycznego fotela ugięły się pod nią nogi. Z półek oszklonej szafki po-

łyskiwały pincety, szczypce, cążki, dłutka — niby złowieszcze narzędzia tortur. Doktor zakasał rękawy i mył pospiesznie ręce w porcelanowej umywalce. Karioce pociemnia-

ło w oczach. Żałowała tej nieszczęsnej chwili, kiedy zgodziła się na tę awanturniczą eskapadę. Nie wiedząc, co robić, dokąd uciekać, jęknęła jeszcze bardziej grobowo.

— Siadaj, moje dziecko — usłyszała spokojny głos dentysty. — I proszę cię, nie histeryzuj, bo takiej dorosłej panie nie wypada. Zaraz zobaczymy, co ci dolega.

Karioka zamknęła oczy i powiedziała w myśli: „Wszyscy święci, ratujcie!” Wyczu-

ła, że dentysta zbliża się do niej.

— Otwórz usta.

Zamiast otworzyć, zacisnęła jeszcze bardziej.

— Bez hysterii, moja droga! — krzyknął dentysta. — Otwieraj usta i pokaż, który to ząb.

Karioka otworzyła usta, a potem, nie wiedząc, co robić, pokazała palcem na dolny ząb trzonowy z prawej strony. Dentysta dotknął go lekko.

— Ten?

— Ten — odparła z ulgą.

— Dziecko, przecież to zupełnie zdrowy ząb — usłyszała głos dentysty.

Otworzyła oczy i spojrzała na doktora Sacharkiewicza.

— Pan doktor jest chyba cudotwórcą. Dotknął pan tylko i natychmiast przestało boleć.

Na pulchnej twarzy dentysty odbiło się zdumienie.

— Nie rozumiem. . . — wyszeptał. — Przed chwilą jęczałaś z bólu, a teraz. . . E, mo-ja panno!

— Kiedy naprawdę bardzo mnie bolało, a teraz przestało.

Pan doktor zatrzęsł się z oburzenia.

— Moja panno, dosyć tych żartów. . .

— Proszę się nie denerwować — przerwała mu zeskakując beztrosko z fotela tortur. — Rozbębnię po całej Saskiej Kępie, że pan doktor jest najlepszym dentystą.

— Tego już za wiele — doktor uniósł ręce takim ruchem, jakby chciał sobie rwać włosy, których nie miał. Dziewczyna uśmiechnęła się rozbrajająco.

— I w ogóle proszę na mnie nie krzyżeć. Wiem, że ma pan przykrości. Podobno zdmuchnęli sprzed pana domu volkswagena. Ciekawa jestem, kto był tym pechowcem, którego tak paskudnie urządzili?

Błada twarz cudotwórcy stała się nagle buraczkowa, a jego łagodne oczy błysnęły gniewnie. Schwycił dziewczynę za ramię i pchnął w kierunku poczekalni.

— Proszę wyjść! Ja nie mam czasu na dyskusję! Pacjenci na mnie czekają!

Karioka wzruszyła ramionami.

— Ciekawe. Nie chce się pan dowiedzieć, kto podiwaniał tego volkswagena?

Dentysta zatrzymał ją jednym szarpnięciem.

— Kto cię tu przysłał? Czego chcesz ode mnie?

— Ja? — zrobiła minę niewiniątka. — Ja nic. . . tak sobie. . . Tylko wydaje mi się, że tego volksa zdmuchnął ten sam facet, co przejechał jednego chłopca na rogu Suskiej i Walecznych.

— A kto go przejechał?

323

— Właśnie chciałabym się dowiedzieć, bo to bardzo interesujące.

Lekarz z rezygnacją opuścił ręce. Po chwili powiedział spokojnie:

— Słuchaj, moja droga, radzę ci, żebyś się nie wtrącała do spraw dorosłych, a przy sposobności powiedz swoim rodzicom, żeby cię zaprowadzili do psychiatry. . . — To powiedziawszy, ujął ją mocno za ramię i wyprowadził do poczekalni.

Karioka skinęła głową.

— Dziękuję panu doktorowi. Daję słowo, przestało jak ręką odjął.

Ruszyła ku drzwiom. Mijając starszego pana w okularach, spostrzegła, że ten uśmiecha się do niej przyjaźnie. Nie omieszkała więc powiedzieć z wdziękiem:

— Na szczęście przestał boleć. A pan był naprawdę bardzo uprzejmy.

Wyszła krokiem niemal tanecznym, lecz gdy znalazła się w korytarzu, poczuła, że za chwilę się rozplacze. Tyle trudu, tyle poświęcenia, a tymczasem dentysta nie chciał

z nią rozmawiać, ba, wyrzucił ją z gabinetu.

Nagle zauważyła, że boczne drzwi w korytarzu uchylają się i ktoś ją bacznie obserwuje. W szparce mignęły jej kasztanowate włosy i fragment barwnej sukienki.

324

Nagle drzwi się otworzyły, a przed Karioka stanęła elegancka dziewczyna, osiemnasto-, a może dziewiętnastoletnia. Biło od niej zapachem drogich perfum i nie-opanowaną wściekłością.

— Czego chciałaś od mojego papy? — zapytała groźnie, marszcząc wyskubane brwi.

Karioka zatrzymała się gwałtownie.

— Przepraszam, ale co to kogo może obchodzić?

— Byłam w sąsiednim pokoju i słyszałam całą rozmowę — syknęła tamta.

Karioka prychnęła zaczepnie.

— Phi, czy to ładnie tak podsłuchiwać?

— Co ci do głowy strzeliło. . . Dlaczego udawałaś?

— W ogóle nie rozumiem. . . każdemu przecież wolno chodzić do dentysty.

— Chciałaś nabrać mojego papę. Przyszłaś w sprawie kradzieży samochodu?

— Poniekąd. Czy też nie wolno?

— I mówiłaś o tym, że ktoś przejechał jakiegoś chłopca?

Karioka wydeła wyzywająco wargi:

325

— Nie ktoś, tylko prawdopodobnie ten sam facet, który zdmuchnął volkswagena.

I nie jakiegoś, tylko naszego kolegę.

Tamta zacisnęła palce na ramieniu Karioki.

— Skąd wiesz? Kto cię tu przysłał?

Karioka próbowała zwolnić się z jej uścisku.

— Phi. . . — parsknęła zuchwale. — Wie się niejedno. I w ogóle czego pani chce?

— Chce wiedzieć, po co tu przyszłaś i dlaczego odgrywasz te hece? Ze mną możesz mówić zupełnie szczerze.

Puściła Kariokę. Spojrzała z ukosa na wymanicurowane palce, jakby chciała sprawdzić, czy nie połamala sobie paznokci.

Karioka przyjrzała się jej uważniej. Dziewczyna była rosła, zgrabna i bardzo gustownie ubrana. Twarz miała ładną, śniadą, lecz zaciśnięte wargi i przymrużone, ciemne oczy wskazywały, że nie należy do osób łagodnych.

— Szczerze — powtórzyła przeciągle Karioka. — Szczerze mówiąc, to nic mnie to nie obchodzi.

326

— Tak byłoby najlepiej — powiedziała z naciskiem córka dentysty. — Nie powinnaś interesować się takimi sprawami.

Karioka odsunęła się od niej, a gdy stwierdziła, że jest w bezpiecznej odległości, rzuciła z przekąsem:

— I pani też!

Nie czekając na odpowiedź dobiegła do drzwi i jak pocisk wpadła do ogrodu i na ulicę.

— I co? — zapytał Julek, kiedy dziewczyna dobiegła do niego.

— Aleś mnie pięknie urządził. Wyobraź sobie, ten łysy wyrzucił mnie na zbitą twarz.

— To znaczy kłapa.

— Kłapa i nie kłapa.

— Błagam cię, mów po ludzku, bo nic z tego nie rozumiem.

— Ja też niewiele, ale może coś z tego wyniknie. Z dentystą kłapa na całej linii, ale za to zjawiała się kochana córeczka. Szyk, elegancja, paryskie perfumy i wielka zagadka.

Julek zadreptał z przejęcia.

327

— Jaka zagadka? Karioka, mów, bo umrę z ciekawości. Dziewczyna z wrodzonym dowcipem opowiedziała o spotkaniu z córką dentysty. Kończąc roześmiała się:

— Mówię ci, była wściekła. Myślałam, że mnie nie wypuści. Ale muszę przyznać, że pantofle miała pierwsza klasa, a suknię według najnowszej mody. . .

— To nieważne — przerwał jej Julek. — Właściwie czego ona chciała od ciebie?

— Ba, też mądre pytanie. Nie mam pojęcia. Ale ta cała historia wydaje mi się po-dejrzana. Wyczułam, że boi się czegoś.

— To jasne — wtrącił Julek. — Przecież wyraźnie powiedziała, żebyś się nie interesowała sprawą kradzieży.

— I dopytywała się, kto mnie przysłał. I w ogóle miała niewyraźną minę.

— Czy ona nie jest przypadkiem wmieszana w tę sprawę? Widziałem taki film. . .

— Przestań nareszcie z filmami. Na filmach dzieją się nieprawdopodobne historie.

— W takim razie nie znasz życia.

— A ty znasz?

— Więc co o tym myślisz?

328

— W tej chwili mam w głowie zupełny zamęt. Jedno wiem, że córeczka pana doktora

Sacharkiewicz jest osobą podejrzaną i trzeba ją śledzić.

— Nareszcie przyzwoite słowo.

— Trzeba ją śledzić — powtórzyła z naciskiem. — Zdaje mi się, że ona była ubrana do wyjścia. Poczekajmy chwilę, może się zjawi. Tylko tym razem ja nie mogę się pokazywać, boby mnie od razu poznała. Tę sprawę zostawiam tobie.

— Świetnie — ucieszył się Julek. — Zobaczysz, że tym razem załatwię bez pu-dła. — Naraz spochmurniał i trąc policzek, zapytał: — A co będzie z kinem? Mam bilety na szóstą.

Karioka rozłożyła ręce gestem przygany.

— Julek, taka ważna sprawa, a ty chcesz iść do kina.

— To prawda. . . — wyszeptał zawiedziony i pomyślał, że ma okropnego pecha.

— Nie rób takiej tragicznej miny, bo pęknę ze śmiechu — usłyszał głos dziewczyny. — Ten film będzie szedł najmniej miesiąc. Pójdziemy jutro albo za kilka dni. Cześć!

Walę zawiadomić szefa o naszych najnowszych odkryciach.

Odwróciła się i biegiem ruszyła w stronę Francuskiej. Julek został sam.

329

„Trudno — pomyślał z żalem. — Ona ma racje. Sprawa volkswagena jest ważniejsza. Trzeba się z tym pogodzić”.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, stanął za pniem starej topoli i z uwagą obserwował

furtkę prowadzącą do domu dentysty. Chwilowo nic się nie działo. Czasem tylko zjawił się na chodniku przechodzień: starszy pan wyprowadzający na spacer psa, kobieta z siatką pełną zakupów, młody człowiek spieszący na spotkanie. . .

Julek zaczął się niecierpliwić. Naraz ktoś zawołał na niego. Obejrzał się. Tuż za nim stała puciołowata Marta.

— Byłeś już u dentysty? — zapytała z przekąsem.

— Tak. Oczywiście — odparł zbyt gorliwie.

— Przyjął cię?

— Bez trudności.

— I wyrwał ci ząb?

— Nie. Mówiłem ci, że chciałem założyć plombę.

— Ciekawe — uśmiechnęła się przekornie. — To po co sterczysz tu pod drzewem?

Chytra smarkula. Niczego przed nią nie można ukryć. Julek wzruszył ramionami.

330

— Stoję, bo nie mam nic innego do roboty.

— Tere fere — wykrzywiła się pociesznie. — Pewno śledzisz kogoś.

— Niech ci będzie — powiedział pojednawczo. W tej samej chwili pomyślał, że warto by zahaczyć Martę w sprawie córki doktora Sacharkiewicza. — Słuchaj — zapytał — jak na imię tej córce doktora?

— Danka, a co?

— Nic. Znasz ją dobrze?

— Jasne, że znam.

— Co ona robi?

— Nic. . . tylko kłopoty rodzicom.

— Skąd wiesz?

— Jak to: skąd? Przecież jej mama, to znaczy doktorowa, daje mojej mamusi pończochy do repasacji. Czasem siedzi godzinę i nic nie robi, tylko narzeka na Dankę.

Mówi, że w głowie jej się przewróciło i że zrujnuje całą rodzinę, bo kupuje tylko zagraniczne ciuchy w komisach. I w ogóle, że się zadaje. . .

— Co znaczy: zadaje się?

331

— Po prostu zadaje się z nieodpowiednimi typami. — Marta szczebiotała bez za-czerpnięcia powietrza, jakby była magnetofonem. Naraz urwała, spojrzała na Julka i skrzywiła się. — To cię zresztą nic nie obchodzi. Chodźmy lepiej zagrać w kometkę.

Julek wzruszył ramionami.

— Niestety, nie mam czasu.

— Nie masz, a stoisz pod drzewem. Śmieszny jesteś., Jak nie chcesz, to nie trzeba.

Idę nad Wisłę, tam grają na plaży.

Chciał ją zatrzymać, lecz w tej samej chwili w furtce zobaczył elegancką dziewczynę. „To ona” — pomyślał i w tej samej chwili zapomniał o małej Marcie.

Tymczasem panna Danka zatrzasnęła za sobą furtkę i sprężystym krokiem ruszyła w stronę ulicy Francuskiej. Była wysoka, smukła, opalona i tak szykownie ubrana, że Julek na jej widok westchnął z podziwu. Przez chwilę podziwiał jej szyk i grację. Wnet jednak przypomniał sobie, że nie po to czekał na nią pół godziny, by się nią zachwycić.

Ukrył się więc za pniem drzewa, przepuścił ją, a gdy oddaliła się o kilka kroków, ruszył za nią nie spuszczając jej z oczu.

332

Dziewczyna minęła ulicę Francuską, potem nagle skręciła w boczną uliczkę i weszła do ogrodu, w którym mieściła się letnia kawiarnia „Zacisze”. Julek znał doskonale tę kawiarnię. Nieraz przychodził tu z kolegami na lody.

Wśród krzewów i pięknych drzew wyrastały jak barwne grzyby parasole. Pod parasolami stały stoliki. O tej porze w „Zaciszu” było jeszcze pusto. Słońce łagodnie przeciekało przez zwisające gałęzie, kładąc się na ziemię ciepłymi plamami. W konarach drzew pogwizdywały kosy, a nad dachem pawilonu ciemnymi ściegami szyły błękit ja-skółki. Panował ospały nastrój wczesnego popołudnia.

Panna Danka zatrzymała się na środku cienistego ogrodu. Spojrzała na zegarek, rozejrzała się, a potem energicznym krokiem skierowała się ku ukrytemu w kącie ogrodu stolikowi.

„Pewno się z kimś umówiła” — pomyślał Julek. Wybrał oczywiście sąsiedni stolik i tak się usadowił, by mógł obserwować podejrzaną. Widział jej barwną suknię przebi-jającą przez prześwity gałęzi i jej zamyśloną twarz wyrażającą przytłumione zdenerwo-wanie. Obserwował każdy jej ruch. Najpierw wyjęła z torebki lusterko, przejrzała się w nim, wykrzywiając lekko wargi.

333

Po chwili zapaliła papierosa. Potem wzięła z krzesła białe rękawiczki i zaczęła je wykręcać, jakby chciała wyżyć z nich wodę. Co chwila spoglądała w stronę ulicy.

Z pawilonu wytoczył się otyły kelner w białym kitlu i sapiąc głośno przyszybował do stolika.

— Proszę kieliszek koniaku i kawę — powiedziała nie czekając na jego pytanie.

— Francuski czy gruziński? — skłonił się stosownie do nieoczekiwanego o tej porze zamówienia.

— Może być gruziński — rzuciła szorstko nie patrząc na niego.

„Pije gruziński koniak” — zanotował w pamięci Julek. Wydało mu się to jeszcze bardziej podejrzane. Dla siebie zamówił duże lody i wodę, chociaż był tak przejęty swoją misją, że nie miał na nic ochoty.

Kelner poszybował drobnymi kroczkami do pawilonu, a ogród znowu pogrążył się w ospałej ciszy. Naraz amatorka gruzińskiego koniaku drgnęła. Uczyniła taki ruch, jakby chciała wstać. W tej samej chwili za siatką ogrodzenia ukazał się rosły młodzieniec.

Szedł energicznym krokiem, a gdy znalazł się przy furtce, skręcił do ogrodu.

Panna Danka dała mu znak ręką, podszedł prosto do jej stolika.

334

Był wysoki, barczysty, muskularny, osmalony słońcem. Ubrany w letni garnitur z granatowej alpaki poruszał się płynnie i energicznie. Z daleka robił sympatyczne wrażenie, lecz gdy się zbliżył, Julek spostrzegł, że twarz jego wyraża nieprzeciętną brutalność. Rysy grubo ciosane, nos boksterski i głęboko osadzone oczy patrzące ostro i pośpennie. I jeszcze jeden szczegół. Nad brwią miał bliznę, która od opalonej twarzy odbijała jaśniejszym odcieniem.

Na jego widok Julek stęzał w niecierpliwym oczekiwaniu.

— Znowu się spóźniłeś — przywitała go panna Danka.

— Tak się złożyło — odparł szorstko. — Wiesz, że mam sporo kłopotów.

— Mimo wszystko chociaż raz mógłbyś być punktualny.

— Daj spokój. Nie po to przyszedłem, żeby wysłuchiwać kazań.

— Co słychać?

— A nic, po staremu.

— Jakie kłopoty?

W tej chwili na horyzoncie zjawił się kelner. Młodzieniec przysunął się bliżej panny Danki i powiedział już ciszej:

335

— O tym później pogadamy.

Julek wyteżył słuch, lecz z dalszej rozmowy zrozumiał tylko kilka wyrwanych słów.

Pomyślał, że z tej odległości nie usłyszy ich rozmowy. Postanowił więc podejść bliżej. Zaczekał, aż kelner się oddali, a kiedy zostali sami, wstał i kryjąc się za kępa krzewów, ostrożnie zbliżył się do ich stolika. Znał podobne sytuacje z wielu telewizyj-nych filmów, więc udając, że obserwuje coś bacznie na drzewie, zbliżał się krok po kroku. Wreszcie stanął niemal za ich plecami.

Wtedy usłyszał jej cichy, lecz napięty głos:

— Słuchaj, czyś ty wtedy wieczorem przejechał jakiegoś chłopca?

Młodzieniec wzruszył ramionami.

— Ja? Co ci do głowy strzeliło?

Ujęła go mocno za rękę.

— Rysiek, powiedz prawdę.

— Jakiego chłopca? Kiedy?

— No, wtedy. Powiedz, bo się strasznie zdenerwowałam.

336

— Uspokój się, nie mów tak głośno — wyszeptał z naciskiem. — I nie rozklejaj się, bo możesz nas tylko zasypać.

— Rysiek — rzekła patrząc mu prosto w oczy — powiedz prawdę.

— Przecież ci mówię.

— To dlaczego milicja była u ojca i pytała o tego chłopca?

— Bo oni są od tego, żeby pytać — odparł spokojnie.

— A do tego dzisiaj ta heca. Przyszła jakaś smarkula, niby jako pacjentka, i powiedziała ojcu, że ten sam facet, który zdmuchnął volkswagena, potrafił jej kolegę. . .

W tym momencie do ogrodu wszedł starszy pan, a jednocześnie z pawilonu wytoczył się kelner. Julek zazgrzytał ze złości zębami. Przerwali mu w najciekawszym miejscu. Nie mógł dłużej sterczeć za plecami wytwornej córki dentysty, zwłaszcza że młodzieniec poruszył się nagle i zerknął za siebie. Julek był już przy swoim stoliku.

W głowie miał chaos. Serce biło mu przyśpieszonym rytmem, a policzki i uszy piekły aż do bólu. A jednak czuł wzbierającą radość. Przypuszczał, był nawet pewny, że wpadł

na trop, który powinien ich doprowadzić do upragnionego celu. W uszach dźwięczały 337

mu jeszcze przytłumione słowa młodzieńca: „Uspokój się, nie mów tak głośno. . . I nie rozklejaj się, bo możesz nas tylko zasypać. . . ” Julek dziobał łyżeczką roztopione lody i drobnymi łykami popijał letnią już wodę, a jednocześnie nie spuszczał z oczu siedzącej przy stoliku pary. Rozmawiali chwilę żywo gestykulując, jakby się o coś spierali. Wreszcie młodzieniec przywołał kelnera, wyrównał rachunek i oboje wstali od stolika.

Julek był tak przejęty, że odsunął nie dojedzone lody i ruszył za odchodzącymi.

Zatrzymał go dopiero gromki głos kelnera:

— Ej, kawalerze, a kto za ciebie zapłaci?

— Przepraszam — rzucił zmieszany. Zawrócił i zaczął grzebać w kieszeni poszukując pieniędzy.

Kelner spoglądał na niego kpiąco, a panna Danka z Ryszardem oddalali się nieubłaganie.

— To tak — powiedział kelner — konsumuje się, a potem muszę dokładać z własnej kieszeni.

338

— Ogromnie pana przepraszam — jąkał się chłopiec, płonąc ze wstydu. — Ja. . .

naprawdę nie chciałem. . . Po prostu zapomniałem.

— Znamy się na takich. Najłatwiej to zapomnieć. Julek z pasją rzucił na stół dwadzieścia złotych.

— Dziękuję, reszty nie trzeba.

— Fasoniarz poniewczasie — pożegnał go kelner z drwiącym uśmiechem na księżycowym obliczu.

Julek nie słyszał jego ostatnich słów. Ruszył biegiem za odchodzącymi. Gdy znalazł

się na ulicy, w głębi szpaleru drzew mignęło mu jeszcze granatowe ubranie Ryszarda, ale gdy dobiegł do rogu, stracił ich z oczu. Rozejrzał się rozłoszczony, lecz nie zobaczył ani granatowego garnituru, ani wzorzystej sukni. Był ogromnie zawiedziony.

Nauczył się jednak, że w takich wypadkach należy z góry regulować rachunek.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

1

Nazajutrz punktualnie o dziesiątej Filipek zjawił się na bazarze przy budce z piwem.

Z należyтым szacunkiem przywitał zezowatego Frania, który do tej pory zdążył już wypić kilka kufelków piwa i z tego powodu był dziwnie rozmarzony.

— Masz ten lakier? — zapytał chłopca.

— Się wie, panie Franiu. Jak coś powiem, to mur-beton.

— Firmy „Lutex”?

340

— Jak napisane. I granatowy.

Elegant przesunął kapelusz na tył głowy, poskrobał się za uchem i z podziwem zerknął na chłopca.

— No, no, pistolet z ciebie, Filipek. Zamówiłem na wszelki wypadek u kilku pomagierów i nikt mi nie przyniósł. Skąd go wytrzasnąłeś?

— Tajemnica zawodowa, panie Franiu. Klient może mieć, ile zechce.

Elegant skinął dyskretnie głową. Znał reguły pokątnego handlu. Wiedział, że tajemnica zawodowa to rzecz święta.

— Gdzie masz ten lakier?

— Na składzie. Mogę doręczyć w każdej chwili na żądanie klienta.

— W porządku. Tylko pamiętaj, transakcję przeprowadzam osobiście, żebyś mi się nie wtrącał. Po ile bańka?

— Moja cena trzysta pięćdziesiąt. Pan sobie może dobić, ile dusza zapragnie.

A gdzie szanowny klient? — zapytał ciszej.

— Jeżeli mu zależy na towarze, to powinien się zjawić. Napijesz się czegoś?

— Nie, dzięki. Wytrąbiłem już pół litra mleka. Surowego, bo to najzdrowsze.

341

Zezowaty strzyknął śliną przez zęby i dla uczczenia pomyślniej wiadomości zamó-

wił duże jasne. Filipek tymczasem usiadł na skrzynce po piwie. Zebrał z ziemi kilka kamyków. Rzucił nimi celując do leżącej w pobliżu puszki. Przybrał maskę zupełnego spokoju, tymczasem drżał z niepewności. A nuż nie przyjdzie? A może dostał lakier w innym miejscu? Tego nie mógłby mu darować. Nie dość, że wczoraj nie poszedł

na zbiórkę, to jeszcze cały dzień latał z wywieszonym językiem, żeby wytrzasnąć ten przeklęty lakier. Dopiero późnym wieczorem spotkał znajomego taksówkarza i ten mu wskazał miejsce. Lakier lakierem, ale tu przecież chodzi o ważniejszą rzecz, o honor.

Niech Tolek Banan wie, że Filipek potrafi wszystkim zakasować. Niech się wiara nie śmieje. Raz mu się nie udało, ale teraz, zobaczycie, jak Filipek potrafi pracować.

Wyzbierał już wszystkie kamienie dokoła, a tymczasem tajemniczy klient nie zjawiał się.

— Ładnych ma pan klientów, panie Franiu — dociał piwoszowi.

Ten nawet się nie skrzywił. Oczy miał maślane i jeszcze bardziej zezował.

342

— Nie przejmuj się, Filipek — powiedział spokojnie. — Nie będzie ten, to będzie inny. W handlu zawsze trzeba być przygotowanym na ryzyko. Bez ryzyka nie zarobisz ani grosza.

— Żeby mi kiszki do kręgosłupa przyrosły — wyszeptał z tłumionym gniewem Filipek.

— Coś powiedział?

— A nic, ładną mamy pogodę, panie Franiu. Będzie urodzaj na pomidory.

— Ale ogórki marne w tym roku. Za sucho.

— Za to jabłka, palce lizać. . .

Zanim to zdążył powiedzieć, w głębi uliczki zawarczał motor i w smudze kurzu ukazał się skuter, a na skuterze młody człowiek w ochronnym kasku.

— Jest — powiedział zezowaty Franio. — Mówiłem ci, że nie warto się denerwować.

Skuter zatrzymał się przy budce. Filipek ocenił go fachowym spojrzeniem. Lam-bretta, nielicha maszyna i nielichy właściciel. Rosły, muskularny, ogorzały — zmotory-zowany Tarzan. Ustawił maszynę pod budką, zdjął kask i wtedy Filipek zobaczył jego 343

grubo ciosaną twarz spaloną słońcem i jaśniejszą bliznę nad brwią. „Pewno się gdzieś wyłożył na motorze” — pomyślał i jako dobry znawca ludzi doszedł do wniosku, że z takim mocnym typem należy działać ostrożnie.

Motocyklista zbliżył się do Frania, który dla fasonu popijał właśnie z kufelka. Zdawał się go nie zauważać.

— Ma pan ten lakier?

Elegant odstawił wolno kufel, przeszył zezem przybysza i splunął przez zęby.

— Panie, wczoraj cały dzień przez pana straciłem. Ładne pan masz wymagania.

Rakietę międzyplanetarną łatwiej wytrzasnąć w Warszawie niż pański lakier. . .

— Nie czaruj pan — przerwał mu ostro młodzieniec. — Mów pan, czy jest lakier?

— Jest, jest — zastopował go zezowaty Franio. — Co by nie było, tylko nie wiem, czy zgodzi się pan na cenę.

— Ile za bańkę?

— Pięć stów, ani grosza mniej.

— Coś pan, myślisz pan, że na parafianina trafiłeś? W zeszłym roku trzysta za bańkę płaciłem.

344

— To szkoda, żeś pan na zapas nie kupił. — Franio splunął z obrzydzeniem i od-wrócił się od klienta, jakby ten przestał dlań istnieć. — Pani szefowo — zwrócił się do sprzedawczyni — proszę jeszcze jedno jasne, bo mi od tego gadania w gardle zaschło.

Młodzieniec patrzył na niego z rosnącym zmieszaniem. Mina mu mocno zrzędła i nagle stracił pewność siebie.

— Niech pan powie uczciwą cenę — zaczął pojednawczo.

— Jak w Ewangelii — rzucił mu przez ramię Franio. — Taka k a r k u l a c j a, inaczej nie da rady.

— Mogę dać czterysta.

— Proszę bardzo, ale na szkoły tysiąclecia.

— Więc ile ostatecznie? Franio wzruszył ramionami.

— Nie zwykłem dwa razy powtarzać. Ceny stałe, a kredytu się nie udziela. Amen.

Młodzieniec zacisnął mocno szczęki. Zdawało się, że za chwilę rzuci się na popija-jącego spokojnie piwo zezowatego Frania, lecz nagle opuścił bezradnie ramiona.

— Potrzebne mi są dwie bańki. Gdzie je pan ma?

345

Przez rozmarzoną twarz eleganta przemknął ledwo dostrzegalny uśmieszek. Prze-
łknął jeszcze jeden łyk, wytarł wargi i skinął na Filipka.

— Ten chłopak panu dostarczy i zainkasuje gotówkę.

Filipek, który do tej pory z boku przysłuchiwał się rozmowie, odetchnął z ulgą.

Obawiał się bowiem, że transakcja nie dojdzie do skutku.

— Gdzie mam szanownemu panu dostarczyć?

Młodzieniec wyciągnął notes, wyrwał kartkę i długopisem zanotował adres. Podał kartkę Filipkowi.

— Zawieziesz ten lakier do warsztatu samochodowego na Białostocką dwadzieścia siedem. Tam oddasz go panu Walędziakowi. Pamiętaj, Walędziakowi.

— Walędziak, Białostocka dwadzieścia siedem — powtórzył chłopiec tuszując drżenie głosu.

— A gotówka? — zapytał zezowaty Franio.

— Pieniądze dostanie na miejscu — rzucił pośpiesznie, a potem z rezygnacją po-kręcił głową. — Aleś mnie pan oskubał. Pięćset złotych za bańkę.

Elegant uśmiechnął się kpiąco.

346

— Dziękuj pan, żeś taki towar znalazł. Żelówki zdarłem przez pana. To też trzeba wliczyć w koszty handlowe.

2

Filipek należał do chłopców flegmatycznych. Nie lubił się spieszyć. Tym razem jednak zdawało się, że mu stopy płoną. Gdy wysiadł z tramwaju przy cerkwi na Pradze, puścił się biegiem w kierunku Białostockiej. Dwie ciężkie bańki obijały mu się o nogi, pot spływał mu z czoła, a on zaciskał tylko zęby i co kilka kroków ruszał biegiem, żeby jak najszybciej znaleźć się w warsztacie Walędziaka.

Nareszcie na starym, walącym się płocie zobaczył tabliczkę z numerem dwudzie-stym siódmym. Przystanął, żeby odsapnąć nieco i wytrzeć spoconą twarz. Do tak waż-

nej sprawy należało przystąpić z fasonem i w dobrej formie.

Rozejrzał się. Za płotem ciągnęło się obszerne podwórko, wciśnięte pomiędzy mury starych zabudowań, zarzucone żelastwem. Pod murem stały trzy stare samochody —

347

jakiś przedpotopowy citroen i dwie warszawy. Zardzewiałe, pozbawione kół, łuszczące się odpadającym lakierem wyglądały jak trzy nieszczęsne potwory ginące pod płotem.

Dalej jednak na betonowym podjeździe błysnął prawie nowiutki peugeot odcinający się piękną linią od wraków. A dalej pod dachem z falistej blachy widać było warsztat.

Filipek szukał volkswagena. Niestety, w warsztacie pana Walędziaka samochodu tej marki nie

dostrzegł.

„Pewno go gdzieś zamelinowali” — pomyślał i podniósłszy dwie bańki z lakierem, wszedł pewnym krokiem na teren warsztatu. Zdziwił się bardzo, gdyż warsztat wyglądał

jak wymarły. Dopiero po chwili usłyszał głośny stukot, a potem zobaczył długie nogi wyłaniające się spod eleganckiego peugeota. Ruszył więc w tamtym kierunku.

— Dzień dobry — powiedział głośno.

Nogi poruszyły się, a spod samochodu wydobył się głos:

— Czego tam?

— Przyniosłem lakier dla pana Walędziaka.

— To postaw, na co czekasz?

— Mam odebrać pieniądze.

348

— Majstra nie ma, poszedł na piwo.

— A kiedy wróci?

— Pies go wie, czasem to do wieczora pociąga.

Filipkowi zrzędnęła mina. Ładna perspektywa, czekać na tym cmentarzysku starych gratów do wieczora. Spojrzał jeszcze raz na nogi. Widział granatowe nogawki wysma-rowanego kombinezonu, owłosione, brudne łydki i strzępiące się tenisówki. Widok nie był zachęcający i niełatwo było prowadzić rozmowę z człowiekiem, któremu widać tylko nogi.

— Do wieczora? — powiedział przeciągle.

— No jasne — odezwał się głos spod samochodu. — Stary lubi sobie popić. A na pieniądze to nie licz, bo majster groszem nie śmierdzi.

— To nie dostanie lakieru.

— Myślisz, że mu na tym zależy? A kto zamówił u ciebie ten lakier?

— Jeden facet, co jeździ lambrettą.

— Szamajski. . . na niego też nie licz. Już niejednego wykantował.

349

„Szamajski — powtórzył w myśli Filipek. — I do tego kanciarz. Wszystko się zgadza. Tylko gdzie ten volkswagen?” Postanowił delikatnie zahaczyć w tej sprawie.

— Spokojna czaszka — powiedział z rozmysłem. — Nie da forsy, nie będzie miał

lakieru. — A potem dodał, ot, tak sobie, jakby mu się wymknęło: — A gdzie ten volkswagen, który macie lakierować?

Nastąpiła chwila ciszy. Potem Filipek usłyszał pytanie:

— A jaki przyniosłeś lakier?

— Granatowy, marki „Lutex”, taki, jaki zamówił.

— To do tego peugeota.

— Do peugeota? — Filipek nie potrafił opanować zdumienia. Czuł, że słabnie i ciemno mu się robi przed oczyma. Jeszcze raz miał doznać bolesnego zawodu. Spojrzał na wóz. Peugeot, przed którym właśnie stał, był granatowy, miał wgnieciony przedni błotnik, a na wgnieceniu popękany lakier. Nie było wątpliwości, że to właśnie do tego wozu Szamajski potrzebował dobrego, granatowego lakieru.

— Nie widzisz, że ma wymieniony błotnik? — usłyszał dochodzący spod wozu głos.

350

Filipek nie byłby Filipkiem, gdyby nie potrafił opanować gwałtownego zmieszania.

— Widzę — odparł niepewnie, lecz po chwili dodał już spokojnie: — A gdzie ten volkswagen, o którym wspominał mi pan Szamajski?

— Volkswagena tu nie ma, rozumiesz? — powiedział tamten spod wozu.

— To ciekawe, bo w sobotę pan Szamajski przyholował tu szarego volkswagena — fantazjował z uporem.

— Nie widziałem żadnego volkswagena, rozumiesz?

Filipek znowu odzyskał nadzieję. Wydało mu się, że człowiek leżący pod samocho-dem zbyt gorliwie zapiera się, jakby mu chciał dać do zrozumienia, że volkswagen to ryzykowny temat.

— Muka — wyszeptał swe ulubione słówko. Tym razem miało ono wyrażać niedowierzenie i roztargnienie. — Myślałem, że lakier do Volkswagena.

— Do peugeota — powiedział tamten z pasją.

— Niech będzie do peugeota. Mało mnie to obchodzi. A ten peugeot to też pana Szamajskiego? —

zahaczył dyskretnie.

Tamten wparł się nogami w ziemię i przesunął się do przodu.

351

— Za dużo chcesz wiedzieć.

Filipka ogarnęło zwątpienie. Chciał zabrać bańki z lakierem i opuścić warsztat Wa-lędziaka. Zrobiło mu się ogromnie smutno. Tyle starań, tyle zabiegów, a wszystko na marne. Podniósł bańki i nie pożegnawszy mechanika, skierował się do otwartej bramy.

W tym momencie na ulicy rozległ się warkot silnika, a za chwilę w bramie ukazał się Szamajski na swej rasowej lambrecie. Spozrzegł chłopca, zatrzymał skuter obok niego.

— Dokąd walisz, mały? — zapytał ostro.

— Eee. . . tam — Filipek wzruszył ramionami. — Czekam już pół godziny i nie ma z kim rozmawiać.

— A gdzie majster?

— Podobno pociąga. . . — uśmiechnął się cierpko. — Nie mam czasu.

— Zaczekaj — zastopował go Szamajski. Postawił lambrettę w cieniu, zdjął kask i przetarł dłonią czoło. — Cholerny upał.

Filipek wskazał na bańki.

— „Lutex”, jak pan sobie życzył.

352

— W porządku. Zaczekaj tu chwilę. Ja kropnę się po tego moczymordę — powiedział z wściekłością. — Zaraz dostaniesz pieniądze.

Wsiadł na lambrettę, z fasonem zatoczył pętlę wokół peugeota. Za chwilę zniknął za bramą.

Na podwórzu było duszno. Zalatywało mdłym zapachem oleju i smarów. W głębi na budzie obitej papą siedziało kilka gołębi. Duży rudy kot wałęsał się w cieniu okapu, a pod peugeotem wciąż tkwił mechanik, który do tej pory nie pokazał swej twarzy.

Walił z pasją młotkiem i kłął od czasu do czasu. Filipek schronił się w cieniu. Wolnym krokiem przeszedł wzdłuż warsztatu, zatrzymał się przy tokarce, a potem skierował się ku starej, walącej się szopie. Spalone słońcem, obryzganym smarami deski bocznej ściany upstrzone były zatartymi napisami. W samym środku ściany, zamiast deski, tkwił stary szyld z żółtym napisem:

STOMIL

OPONA KRAJOWA

a nad tym szyldem ktoś białą kredą napisał:

353

TOLEK BANAN

Coś szarpnęło nim boleśnie. Na myśl o szefie ogarnęło go jeszcze sroższe uczucie zawodu. Szef przecież liczy na nich, wierzy, że pomogą leżącemu w szpitalu koledze, a tymczasem — klops. Chłopiec westchnął i przymknąwszy oczy, oparł się o ścianę.

Naraz poczuł, że jedna z desek wygina się pod naporem jego ramienia. Odchylił ją. . .

W ciemnej szopie, w smugach przeciekającego przez szpary światła zobaczył samochód — volkswagena — wóz, który nie dawał mu spokojnie spać. Na jego widok aż jęknął z radości.

3

— Gdzie ten Filipek? — zawołał Tolek Banan, spoglądając w okno. Zebrali się w klubie gangsterów „Pod Dębem”. Byli w komplecie — Tolek Banan, Karioka, Cygan i Julek. Brakowało tylko małego handlowca. Cygan ziewnął przeciągle.

— Mnie się zdaje, że on już zrezygnował.

354

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— A. . . to, że znudziła mu się ta zabawa.

— Skąd wiesz? — zachnął się gniewnie Julek. — Dlaczego go podejrzewasz?

— Nie podejrzewam, tylko widziałem, jak taszczył dzisiaj dwie bańki lakieru. Woli handlować.

Tolek Banan podszedł do okna.

— To jego sprawa — powiedział z odcieniem zawodu. — Dziwne tylko, że mnie nie uprzedził. Przecież mówiłem, że każdy może odejść w każdej chwili, jeżeli mu się nie będzie gang podobał.

Tolek Banan machnął z rezygnacją ręką i zwrócił się do Julka:

— Mów, jak to było. To przecież ważniejsze.

Julek chrząknął znacząco.

— Byłem na Walecznych. O ósmej, tak jak szef kazał. Czekałem może godzinę, może dłużej. Po dziewiątej przyjechał skuterem pan Ryszard.

— Skuterem? — zdziwiła się Karioka. — To on ma skuter?

355

— Skuterem, daję słowo — ciągnął dalej z przejęciem Julek. — Zdaje mi się, że lambrettą. Dał sygnał, a panna Danką zaraz wyszła i rozmawiali kilka minut.

— O czym mówili?

— Stałem za drzewem, ale dość daleko. Właściwie nic nie słyszałem.

— Fujara.

— A co miałem robić? Może zamienić się w biedronkę i usiąść tej Dance na ramieniu?

— Mogłeś udawać, że spacerujesz albo coś w tym guście. ..

— Żeby mnie zauważyli? I tak miałem porządną tremę. Zanotowałem tylko numer skutera. — Wyciągnął karteczkę. — O, proszę: WS 2413. No i słyszałem, jak się uma-wiali na piątą do „Zacisza”.

— Człowieku — Tolek uniósł ręce gestem zniecierpliwienia — to dopiero teraz mówisz? Przecież to niezwykle ważne.

Chłopiec odetchnął z ulgą. — Na piątą — powtórzył. — On odjechał potem w stronę Francuskiej, a ona za chwilę wyszła w plażowej sukni i poszła nad Wisłę.

— Sama?

356

— Sama. I została na miejskiej plaży.

— Ciekawa jestem, jaki miała kostium? — zagadnęła Karioka.

— To chyba nieważne — zauważył Tolek.

— Dla mnie ważne, bo właśnie zastanawiam się, jaki sobie uszyć. . .

— Bikini — powiedział -Julek. — Jeżeli się nie mylę, to czarny w żółte kwiaty.

I trzeba przyznać, że piekielnie zgrabna.

Tolek skwitował uwagę uśmiechem.

— Teraz musimy się zastanowić, jak rozwiązać tę zagadkę. Że on świsnął volkswagena, to niemal pewne.

— Na sto dwa — wyrwał się Julek.

— Wolnego. Jeszcze nie wiemy, gdzie jest skradziony wóz. Nas jednak bardziej interesuje, czy właśnie ten facet potrafił Cegiełkę.

— Wygląda mi na takiego.

— Wygląd jeszcze o niczym nie świadczy. Jedno jest pewne, że musimy to wyja-

śnić. Dzisiaj po południu wszyscy zabieramy się do roboty. Szkoda tylko, że nie ma Filipka. . .

357

W tym momencie na schodach zadudniły czyjeś kroki. Po chwili do klubu wpadł

znakomity handlowiec. Był spocony, zdyszany, ledwo żywy, lecz gdy zatrzymał się na środku pokoju, rozejrzał się triumfalnie.

— Mam! — zwołał. — Jest na Białostockiej dwadzieścia siedem w warsztacie Wa-lędziaka. — To wykrztusiwszy, opadł bezsilnie na fotel.

— Co masz? W jakim warsztacie? Co się stało? — sypnęli pytaniami.

— Szarego volkswagena z bagażnikiem na dachu.

Dopiero teraz zrozumieli, że Filipek dokonał epokowego odkrycia. Otoczyli go wia-nuszkami i zasypali gradem pytań.

— Dajcie mi pić — przerwać im błagalnie — a potem wszystko wam opowiem.

Tolek Banan podał mu butelkę nektaru z czarnych porzeczek. Filipek dorwał się do niej jak niemowlę do butelki ze smoczką. Wyduldał jednym tchem, wytarł usta przegubem dłoni i zaczął opowiadać.

— Niech mi ośle uszy wyrosną — zakończył — jeżeli ten Szamajski nie jest tym piratem i bandytą, którego szukamy. — Naraz złapał Tolka Banana za rękę. — Szefie, szef nawet nie wie, ile mnie to kosztowało. Ale szef widzi, że nie ma w tym ani cie-358

nia lipy. Odstawiłem robotę na medal. Muka. . . — ulubione słówko Filipka wyrażało zwycięstwo i triumf.

— Zaraz, zaraz. . . — wtrącił rozgorączkowany Julek. — Powiedz, jak wygląda ten twój Szamajski?

Filipek tarł z roztargnieniem policzek.

— Jak wygląda? Trochę jak człowiek, a trochę jak bokser. Ma nad brwią bliznę. . .

— Hura! — Julek podskoczył i zatańczył jak zwariowany. — Ten Szamajski to przecież nasz Ryszard. Bravo, Filipiek! — chwycił fotel na biegunach, zaczął bujać Filipka z radości. — Zrobiliśmy razem wielkie odkrycie. . . Teraz wszystko się zgadza. Ryszard Szamajski zdmuchnął spod domu dentysty volkswagena, a potem jadąc z nieprzepisową szybkością potrącił na rogu Cegiełkę.

— Nie tak szybko — przerwał mu spokojnie Tolek Banan. — To przecież tylko nasze domysły. Musimy mu udowodnić. . . — Zaczął krążyć po pokoju wielkimi krokami.

Naraz zatrzymał się. — Mam pomysł. Wytniemy z „Życia Warszawy” dwa ogłoszenia, to o wypadku i ten komunikat MO. Włożymy ładnie do koperty, zaadresujemy do pana 359

Ryszarda Szamajskiego i wręczymy mu dzisiaj o piątej w „Zaciszu”. Zobaczymy, jak zareaguje.

— Eee. . . — skrzywił się Cygan. — Po co tyle fatygi. Wystarczy zawiadomić mili-cje, i po krzyku.

— Człowieku — natarła z pasją Karioka — przecież on może się wyprzeć.

— Tak — dodał Julek — nikt mu nie udowodni, że przejechał Cegiełkę, a to dla nas najważniejsze.

— I to, żebyśmy przyskrzynili go sami — wtrącił Filipiek. — Zaczęliśmy robotę, to musimy skończyć. Jesteś kolegą Cegiełki czy nie?

Cygan z roztargnieniem szarpał klamerkę paska i spoglądał na milowe czuby swoich czarnych sztylp.
— Czy to mu coś pomoże?

— Ech — jęknął Filipiek — z tobą, Cygan, to nie można gadać. Nie masz inteligencji i wychowania. Nam przecież chodzi o honor gangu, żeby było tak, jakżeśmy mówili, jeden za wszystkich wszyscy za jednego.

— Dobra — powiedział bez przekonania.

360

— Dobra jest — podjął Tolek Banan. — Przed piątą przystąpimy do akcji. Ja pójdę do tego bubka z listem.

— Szef? — przeraziła się Karioka. — Przecież szef nie może się narażać.

— To ja was nie mogę narażać — powiedział tonem nie znosząc sprzeciwu. — Facet jest niebezpieczny, nie wiadomo, jak zareaguje. Pójdę do niego, a wy zrobicie obstawę, żeby się nam nie wymknął. O mnie się nie martwcie. Nie w takich już byłem tarapatach.

Za dziesięć piąta Tolek Banan usiadł przy stoliku w kawiarni „Zacisze”. Rozejrzył się uważnie. Ogród był niemal pusty. Przy stoliku pod rozłożystym kasztanem siedział starszy pan w nasuniętym na oczy słomkowym kapeluszu. W rękę trzymał najnowszy „Express Wieczorny” i wolnymi ruchami przewracał stronicę. Było tak cicho, że Tolek słyszał szelest papieru. W drugim kącie ogrodu, nad szklankami mrożonej kawy ze śmietanką, tkwili Julek i Cygan. Stanowili bowiem bezpośrednią obstawę szefa. Pod 361

pawilonem przy służbowym stoliku otyły kelner palił papierosa. Minę miał znudzoną i pełną niewysłowionego smutku, jak gdyby wrócił przed chwilą z pogrzebu. Karioka i mały Filipek krążyli wzdłuż ulicy.

Dzień był pogodny, upalny. W ogrodzie panował przyjemny chłód. Listowie szeleściło sennie, a gdzieś w gęstwinie pogwizdywał kos. I jaskółki krążyły wysoko ponad drzewami.

Punktualnie o piątej przy ogrodzeniu zjawiała się Karioka. Dała Tolkowi umówiony znak. Po chwili do ogrodu weszła panna Danką.

Szef wyciągnął z kieszeni „Przegląd Sportowy”. Udając zainteresowanie ostatnimi wynikami ligi piłkarskiej, śledził elegantkę spoza gazety. Ta bez namysłu skierowała się do osłoniętego krzewami stolika.

Na jej widok kelner uniósł się ospale. Drobnymi kroczkami poczłapał w jej stronę.

— Koniak i kawę? — zapytał.

— Tak, bardzo proszę — dotarł do uszu Tolka jej głos.

362

Kelner oddalił się nieco raźniej, jakby zamówienie przyspieszyło rytm jego ruchów.

Panna Danką wyjęła z torebki papierosy, lecz nie zapaliła, tylko wzięła jednego i z roztargnieniem obracała go w palcach.

Za chwilę za ogrodzeniem przemknął Julek. Dał znak, że zbliża się Ryszard Szamajski. Tolek odetchnął z ulgą. Nie musiał długo na niego czekać. Wnet w furtce zjawił

się rosły mężczyzna w granatowym, świetnie skrojonym ubraniu. Zbliżył się do stolika panny Danki.

Tolek zwinął gazetę, rzucił ją na stół i również zdecydowanie podszedł do niego.

— Przepraszam — zapytał — czy pan Ryszard Szamajski?

— Taak — odparł tamten zaskoczony i zamienił z panną Danką krótkie spojrzenie.

— Mam list dla pana.

— Dla mnie? Od kogo?

— Od znajomego — powiedział spokojnie Tolek. Podał mu zaklejoną kopertę. Szamajski wyciągnął niepewnie rękę. Zawahał się, lecz wnet energicznie wyszarpnął list.

Tolek widział, jak mu ręka drgnęła, gdy rozrywał białą kopertę, a potem, jak nagle jego twarz stężała w nieoczekiwanym ataku lęku. Wysunął kartkę, na której naklejone 363

były oba komunikaty. Rzucił na nie przelotne spojrzenie i poblądł. Nagle zmiął list w dłoni, jakby chciał się go pozbyć, i powiedział do panny Danki napiętym głosem:

— Przepraszam cię, kochanie.

— Co się stało? — wyszeptwała.

— A nic — rzucił oschle.

Odszedłszy kilka kroków w głąb ogrodu, skinął na Tolka. Tolek spojrzał za siebie.

Zobaczył Filipka i Kariokę zbliżających się od furtki. Pomyślał, że akcja przebiega bez-błędnie. Ruszył za Szamajskim, lecz zatrzymał się w bezpiecznej odległości.

— Kto cię posłał z tym listem? — zapytał nagle Szamajski.

— Znajomy.

— Co to za kawał?

— Nie kawał, tylko prawda — odparł Tolek z niezmaconym spokojem.

Spojrzał w bok. Julek z Cyganem wstawali właśnie od stolika.

Szamajski uśmiechnął się, chcąc nadać swej twarzy wyraz obojętności.

— Chciałbym wiedzieć, kto posłał ten list.

Tolek wzruszył ramionami.

364

— To nieważne. Ważne, co tam napisali.

— Czytałeś?

— Tak.

Ciemne oczy Szamajskiego stały się nagle groźne i wyzywające.

— Tylko bez kawałów — wyszeptał — bo tego nie znoszę.

— Niepotrzebnie pan się denerwuje.

— W ogóle nie mam pojęcia, o co tu chodzi. I wypraszam sobie. . .

— Wolnego — zastopował go Tolek. — Nawet pan dobrze nie przeczytał, a już się pan zdenerwował.

Szamajski zrobił taki ruch, jakby chciał go chwycić za ramię.

— Czego chcesz, cwaniaku?

Tolek uskoczył o pół kroku.

— Nic. . . — odparł przeciągle. — Tylko myślałem, że pan może odpowie.

— Najpierw muszę wiedzieć, kto posłał list.

Tolek uśmiechnął się zaczepnie.

— Może ja. . .

365

— Ty? . . . — powtórzył Szamajski z niedowierzaniem i nagle roześmiał się głośno. — Przeliczyłeś się, mój drogi. Myślałeś, że mnie nabierzesz.

— To pan się przeliczył — powiedział Tolek cofając się przezornie. — Myślał pan, że wszystko ujdzie panu na sucho. Posłał pan chłopca do szpitala i nawet nie zatrzymał się pan przy rannym.

— Ciszej, ciszej — syknął Szamajski. — Tę sprawę da się załatwić. Ile chcesz?

Tolek spojrzał z pogardą.

— Forsę niech pan schowa na koszty sądowe.

Tamten uśmiechnął się pojednawczo.

— Nie bądź frajer. Odpalę ci kilka kawałków.

— Nie potrzeba.

— Zastanów się, temu chłopcu i tak nic nie pomoże, a ty. . .

Tolek Banan rzucił spojrzenie za siebie: Julek i Cygan stali już za krzakami, a Karioka i Filipek zblizali się z drugiej strony.

— Ja chciałem panu tylko udowodnić — powiedział twardo — że takie draństwo nie przechodzą gładko.

366

Szamajski cofnął się, jak gdyby otrzymał cios.

— W takim razie inaczej pogadamy — wyszeptał przez zaciśnięte wargi.

— Straszy pan?

— Nie, tylko ostrzegam i radzę ci, nie mieszaj się do nie swoich spraw. A teraz zjeżdżaj szybko, żebym ci krzywdy nie zrobił.

Zamierzył się do ciosu, lecz Tolek znowu uskoczył o pół kroku.

— Nie będzie pan robił awantury.

Szamajski zaklął przez zęby.

— Nic mi nie udowodnisz. . .

Tolek gwizdnął na palcach. Na jego sygnał cały gang wyłonił się z krzaków. Ma-

ły Filipek szedł z głową wysuniętą do przodu jak zaczepny kogut; Cygan zblizał się z rękami wbitymi w kieszenie; Karioka podchodziła wolno, trzymając oczy utkwione w Szamajskiego; Julek był blady, zaciskał pięści, gotów rzucić się desperacko na przeciwnika. I nagle rosły mężczyzna został otoczony kręgiem zdecydowanych na wszystko.

Mały Filipek wysunął się o pół kroku. Na jego dziecinnej twarzy igrał zjadliwy uśmiezek. Skłonił się kpiąco:

367

— Szanowanie. . . Może panu potrzebna jeszcze jedna bańka lakieru do volkswagena?

— I niech się pan nie wypiera! — zawołał drżącym głosem Julek. — Słyszałem całą rozmowę z tą panią. — Wskazał ruchem głowy na siedzącą w głębi ogrodu pannę Dankę.

A Karioka uniosła rękę i wyciągnęła ją wskazując ku Szmajskiemu.

— To pan przejechał naszego kolegę. Byliśmy wtedy na rogu Suskiej i Walecznych.

Nie wykręci się pan!

Szamajski cofnął się, jak gdyby szukając drogi ucieczki.

Tolek Banan stanął przed Szamajskim. Uniósł się lekko na palcach i spojrzał ostro.

— I co pan teraz powie?

Szamajski przeszył Tolka nienawistnym spojrzeniem i błyskawicznie rzucił się na niego. Tolek uchylił się i cios trafił w próżnię. Napastnik zachwiał się, lecz nie zrezygnował z walki. Chwycił Tolka za ramiona. Ten wywinął się błyskawicznie i wprawnym chwytem przerzucił go przez ramię.

Panna Danka krzyknęła przeraźliwie. Kelner zawołał: 368

— Chuligani! Ratunku!

Chłopcy rzucili się na pomoc Tolkowi. I wtedy jak spod ziemi zjawił się milicjant.

Karioka ujrzała go pierwsza. Krzyknęła jak na alarm:

— Szefie, zwiewamy! Glina!

Chłopcy odskoczyli w bok, lecz Tolek wciąż jeszcze szamotał się z przeciwnikiem.

Trzymał go mocno za klapy eleganckiej marynarki. Wił się, unikając jego ciosów. Dopiero krótki, energiczny okrzyk przedstawiciela władzy rozdzielił walczących.

Szamajski blady i roztrzęsiony otrzepywał kurz z ubrania. Tolek ocierał spoconą twarz, rozmazując cienką stróżkę krwi spływającą mu z nosa. Panna Danka ruchem pełnym rozpaczliwego zakłopotania uniosła dłoń do czoła, a chłopcy zbliżyli się do Tolka, jakby go chcieli osłonić przed groźącym niebezpieczeństwem. Milicjant huknął

głosem tubalnym i pełnym urzędowej powagi.

— Co się tu dzieje?

Pierwsza opanowała się Danka. Podbiegła do przedstawiciela władzy.

— To skandal! W biały dzień napadają na spokojnych ludzi!

— Muka — powiedział Filipek. — Kto na kogo napada? Mamy świadków.

369

Milicjant wodził zdumionym spojrzeniem po otaczających go twarzach. Wtedy Tolek Banan wskazał na Szamajskiego i powiedział spokojnie:

— Niech go pan areztuje. To człowiek, którego szukacie. Ukradł na Walecznych volkswagena, a potem na ulicy Suskiej przejechał naszego kolegę.

Szamajski wzruszył tylko ramionami.

— Napada i jeszcze brednie plecie.

— Możecie sprawdzić! — zawołał z boku Filipek. — Na Białostockiej pod dwudziestym siódmym zamelinował volkswagena.

Szamajski roześmiał się nienaturalnie.

— Pan im wierzy. . . Przecież to chuligani. Wystarczy na nich spojrzeć.

— Przejechał naszego kolegę i nawet się nie zatrzymał! — zawołała dramatycznym głosem Karioka.

— A teraz się wypiera — dodał Julek podchodząc do milicjanta. — Pan przecież powinien znać tę sprawę. . .

— Zmyślają, wszystko zmyślają — powiedział Szamajski siląc się na spokój. —

Niech pan z nimi zrobi porządek, to przecież pana obowiązek.

370

— Chwileczkę — milicjant spojrział na Szamajskiego ostrzegawczo. — Poproszę dowód osobisty.

— To niesłychane — westchnęła panna Danką.

— Przepraszam, ale pani nie pytam o zdanie. Proszę o dowód — zwrócił się do Szamajskiego.

Ten zwlekał chwilę, lecz wnet sięgnął do kieszeni, wyjął dokument i wręczył go milicjantowi.

— Ryszard Szamajski — przeczytał przedstawiciel władzy i spojrział na pobladłą twarz mężczyzny.

— Tak jest.

— To my się już chyba skądś znamy — w głosie milicjanta zabrzmiała nuta zawodowego zadowolenia. — Zdaje mi się, że rok temu prowadziłem sprawę nielegalnej sprzedaży samochodu.

Grubo ciosana twarz Szamajskiego przybladła nagle.

— Przecież to nie ma nic wspólnego z tą sprawą — powiedział już nie tak pewnym głosem.

371

Milicjant pokiwał z powątpiewaniem głową.

— Zobaczymy, zobaczymy. . . — I nagle zwrócił się do Tolka Banana: — A ty jak się nazywasz?

Nastąpiła krótka chwila ciszy. Wszyscy z przerażeniem patrzyli na szefa.

Ten uśmiechnął się nikle i powiedział pewnym głosem:

— Nazywam się Szymon Krusz. Jestem uczniem Technikum Komunikacyjnego.

Mam pokazać legitymację?

— Nie trzeba, wyjaśnimy całą sprawę w komisariacie.

— To skandal, panie sierżancie — zachnął się Szamajski. — Nie ma pan prawa.

Złożę na pana zażalenie.

Milicjant zasalutował uprzejmie.

— Proszę bardzo, to pana prawo, a ja muszę wyjaśnić sprawę. Zarzuty są zbyt poważne. — I nagle swym urzędowym spojrzeniem zahaczył Tolka Banana. — Ty też pójdziesz ze mną, musisz złożyć zeznanie.

372

— Muka — wyszeptał mały Filipek. Tym razem jego ulubione słówko oznaczało zupełną rozpacz. Spojrzeli na Tolka. Ten zachował się z godnością, jak przystało na szefa gangu. Uśmiechnął się, zmrużył oko i powiedział:

— Trzymajcie się, wiara. Wszystko będzie w porządku. Jeśli dobrze pójdzie, to wieczorem się spotkamy.

5

Nastrój, jaki panował „Pod Dębem”, można by śmiało określić jako grobowy. Gang został bez szefa, gangsterzy bez nadziei. Siedzieli teraz na poddaszu w klubie, który właściwie przestał być klubem. Ponuro rozglądali się po kątach, jakby oczekiwali cudu; może nagle odezwą się kroki na schodach, a po chwili w drzwiach zjawi się Tolek Banan. Uśmiechnie się i powie: „Jak się macie, wiara?” 373

Tymczasem nikt się nie zjawił. Nawet rudy kocur nie zaszczycił ich swą obecnością.

Tylko dwa wspaniałe łabędzie z uniesionymi skrzydłami sunęły po szmaragdowej tafli obrazu, ale i one wydawały się być zasmucone.

— A jednak — powiedział nieśmiało Julek — wykryliśmy tego przestępcę.

— Gratulacje — uśmiechnął się drwiąco Cygan. — Przestępca jest, a szefa nie ma.

Idź do Cegiełki i powiedz mu to. Zobaczysz, jak się ucieszy.

Julek zerwał się, zacisnął pięści, natarł na Cygana.

— Przynajmniej będzie wiedział, żeśmy o nim nie zapomnieli.

— Siadaj — Cygan błysnął gniewnie czarnymi oczami.

— Czy to mu coś pomoże? Co za różnica, kto go przejechał? A my tymczasem nie możemy zaczynać akcji Kobra.

— O to ci chodzi? — powiedziała nagle Karioka. Do tej pory stała przy oknie i spoglądała w głąb ogrodu. Była smutna, przygnębiona. Naraz podeszła do Cygana i spojrzała z niechęcią. — Ty, Cygan, nie powinienes otwierać buzi, bo palcem nie kiwnąłeś w całej robocie.

Filipek złapał się za głowę.

374

— Przestańcie się kłócić, bo to w ogóle nikomu nie pomoże. Życ się nie chce. Wy tu mędrkujecie, a tam szefa wałkują.

Cygan szarpnął sprzączkę paska.

— Sam sobie winien. Po co się pchał? Teraz generalna kłapa. Myślałem, że znajdziemy grubą forszę, a tu gips.

Karioka syknęła zniecierpliwiona:

— Nie mogę tego słuchać. Nie mogę na was patrzeć. Tolek Banan to wspaniały chłopak, a wy. . .

— Forsa też się liczy — przerwał jej spokojnie Filipek. — Przecież mieliśmy zain-kasować grubszą gotówkę.

— Tolek gwizdże na forszę! — zawołała rozgniewana. — Wy go jeszcze dobrze nie znacie. Ma honor i godność. Słyszeliście, jak rozmawiał z tym całym Szamajskim?

A potem jaki był wspaniały, gdy zjawił się milicjant. . . A potem, gdy się z nami żegnał. . .

— Był wprost fenomenalny — wtrącił z zapalem Julek.

375

— Nie przerywaj — ofuknęła go Karioka. Stała na środku pokoju, ciągnęła z pa-sją: — Daję wam słowo, nie znałam takiego chłopaka. Ten marynarz, co pisał do mnie z Gibraltaru, też był fantastyczny, ale przy Tolku to szczeniak. Nasz szef to superklasa, a wy od razu rączki do góry, i cześć. Co nam powiedział, kiedy go brali?

— No właśnie — podjął skwapliwie Julek. — Powiedział: „Trzymajcie się, wiara.

Wszystko będzie w porządku. Jeżeli dobrze pójdzie, to wieczorem się spotkamy”.

— Mowa — wtrącił z powątpiewaniem Cygan. — Myślicie, że go tak szybko wypuszczą?

Dziewczyna z politowaniem kiwnęła głową.

— Zobaczycie, że szef jeszcze dzisiaj będzie na wolności, a w „Expressie,” znowu napiszą o nim na pierwszej stronie: „Tolek Banan przyczynił się do ujęcia znanego złodzieja samochodów. . . ”

Julek zachłysnął się.

— Słuchajcie, może on naumyślnie oddał się w ręce władzy, żeby wyjść z całej sprawy z honorem?

Filipek prychnął kpiąco.

376

— Człowieku, gdzie twoja inteligencja! Zupełnie nie umiesz kalkulować. Nie ma cudów.

— Stać go na to — zaperzył się Julek. — Ma honor i odwagę.

— Siadaj — powiedział przeciągle Cygan. — Nie masz, bracie, zielonego pojęcia.

To nie w jego stylu. Za dumny na to. Zresztą po co zaczynał z nami akcje Kobra? Po co został szefem gangu? Nie ma szefa, nie ma gangu. Cześć. Możemy rozejść się na kolację do domu.

Julek Seratowicz wyprostował się, jakby go coś ukłuło. Zacisnął pięści. Doskoczył do Cygana.

— Jak śmiesz tak mówić, przecież gang to my wszyscy. Pamiętasz, jakeśmy przyrzekali na stadionie: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

— Muka — wyszeptał Filipek. Zsunął się z fotela i podszedł do Julka. — Ładnie mówisz, ale powiedz lepiej, co będzie z akcją Kobra?

Julek ogarnął Filipka i Cygana rozplómiętym spojrzeniem.

— Nie macie fantazji ani wyobraźni. Trzeba wam wszystko wbijać do głowy. —

Naraz zatoczył ręką krąg wokół siebie. — A to, że mamy klub, to się nie liczy? A to, 377

żeśmy się wszyscy zżyli i zaprzyjaźnili, to też nie ma znaczenia? Szef chciał, żebyśmy byli zgraną paką, żebyśmy czegoś dokonali. Złapaliśmy groźnego przestępcę, a wy nic z tego nie rozumiecie.

— Właśnie — podjęła z jeszcze większym zapalem Karioka. — Teraz, kiedy udało nam się zrobić

pierwszą akcję, kiedy pomogliśmy koledze, zwiesiliście nosy na kwintę.

— Karioka — powiedział Filipek marszcząc kartofelkowaty nosek. — Mnie chodzi o to, że szef tak głupio wpadł. . . I niepotrzebnie.

Dziewczyna zadygotała z gniewu.

— Nie martw się o szefa. Bez ciebie da sobie radę. Co ci powiedział? Nie w takich już był tarapatach. Jeżeli mu nie ufasz, to nie wiem, co tu w ogóle robisz. Ja stawiam na Tolka Banana.

Filipek chciał odpowiedzieć, lecz zanim zdążył otworzyć usta, na dole załomotały drzwi, a potem usłyszeli kroki. Ktoś biegł po schodach. Byli tak zaskoczeni, że nie ruszyli się z miejsca, tylko skierowali ku drzwiom pełne napięcia spojrzenia. Trwali w milczeniu. A kroki coraz bardziej się zbliżały.

378

Naraz ktoś pchnął drzwi. W progu stanął Tolek Banan. Po prostu Tolek Banan. Wy-dało im się to tak oczywiste, jak gdyby w ogóle stąd nie wychodził. I przypomnieli sobie dzień, kiedy pierwszy raz zobaczyli go na Stadionie Dziesięciolecia. Jak wtedy, był spokojny, skupiony i tajemniczy. Spojrzał na nich uważnie, uśmiechnął się.

— Jak się macie, wiara!

— Szefie! — zawołał pierwszy Julek.

I nagle wszyscy go otoczyli jak piłkarza zwycięskiej drużyny schodzącego z boiska.

Zasypali go pytaniami. On wolnym krokiem zbliżył się do stołu, usadowił się na nim jednym skokiem i chlasnął dłonią w udo.

— Dobra jest — powiedział. — Dziękuję wam. To była znakomita robota. Milicja nam gratuluje. Będziecie musieli złożyć dodatkowe zeznania. W każdym razie Szamajski jest już pod kluczem.

— Muka — westchnął Filipek. Tym razem jego sławne powiedzonko wyrażało wątpliwość. — Szamajski pod kluczem, a szef jak się stamtąd wydostał?

— Ja? — Tolek Banan uśmiechnął się tajemniczo.

— Uciekł szef?

379

— Nie — zaprzeczył żywo.

— Zaczarował ich?

— Nie.

— W takim razie zaczynam wierzyć w cuda.

Tolek roześmiał się.

— Bez cudów, po prostu mnie wypuścili.

Małe oczka Filipka zaokrągliły się jeszcze bardziej.

— Po prostu. . . wypuścili? — wyszeptał. — Nawet nie wylegitymowali?

— Wylegitymowali.

— I co im szef pokazał?

— Legitymację.

— Jaką? Falszywą?

— Nie, prawdziwą.

— W takim razie ja jestem święty turecki, a ci na milicji dostali zaćmienia głowy.

Tolek wolno zsunął się ze stołu, podszedł do okna, oparł się o ramę.

380

— Słuchajcie — powiedział patrząc im w oczy. — Teraz już mogę wam wszystko wyjawić. Ja nie jestem Tolkiem Bananem. Ja jestem Szymek Krusz, uczeń trzeciej klasy technikum komunikacyjnego.

6

Było zupełnie cicho. Tolek stał oparty plecami o framugę okna. Patrzył im w oczy twardo i wyczekująco. A oni stali naprzeciw niego pełni zakłopotania i zdumienia, jak gdyby nagle wszystko się odmieniło.

Pierwszy poruszył się Cygan. Szarpnął gwałtownie klamrą paska. Nagle opuścił ramiona ruchem pełnym rezygnacji.

— To ładnie nas szef wykiwał — powiedział, patrząc na czuby czarnych sztylp.

Tamten uśmiechnął się pojednawczo.

— Możesz mi mówić — Szymek. Jestem waszym starszym kolegą.

Cygan wzruszył ramionami.

— Eee. . . tam. . . Teraz to i tak wszystko jedno. Nie ma co tu robić.

Spojrzał na kolegów, jakby chciał znaleźć u nich poparcie, a gdy nikt się nie odezwał, odwrócił się i ruszył do drzwi.

— Cygan! — zawołał za nim Szymek. Dogonił go kilkoma krokami, złapał za ramię i odwrócił do siebie. — Nie będę cię zatrzymywał. Powiedziałem wam, że każdy może odejść. Ale powiedz, dokąd pójdziesz?

Chłopiec łypnął czarnymi oczami.

— Myślałem, że będzie inaczej.

— Chcesz zacząć wszystko od nowa? Znowu drobne kradzieże, znowu strach przed milicją, znowu upokorzenia. Nie zbrzydło ci?

— Niech każdy myśli za siebie.

Szymek Krusz puścił jego ramię.

— Żal mi cię, Cygan, ale rób, jak chcesz.

Cygan stał jeszcze chwilę, jakby wrósł w podłogę. Naraz uniósł głowę i spojrzał

na Filipka. Myślał, że tamten pójdzie za nim, a może chciał, żeby go chłopiec zatrzymał. Ale Filipek milczał, a jego okrągłutkie oczy wyrażały ogromne zakłopotanie. Inni 382

też milczeli. I ta cisza ciążyła jak kamień. Cygan opuścił z wolna głowę, przygarbił

się. Ciężkimi krokami ruszył przed siebie. Gdy doszedł do drzwi, odwrócił się i rzekł

żałamującym się głosem:

— A ten abażur, co przyniosłem, może wam się przyda.

Szymek zrobił taki ruch, jakby go chciał zatrzymać.

— Ej, Cygan. . . zostań lepiej.

Chłopiec zamrugał gęstymi rzęsami, wbił wzrok w podłogę.

— No, nic. . . — wyszeptał. — Ja tylko myślałem, że będzie inaczej. . . ale jak chcecie, to zostanę. . .

— Nawet nie wiesz, jak się cieszę. — I nagle Szymek zwrócił się do pozostałych: —

Jeżeli uważacie, że was zawiodłem, to możecie odejść.

Nikt nie ruszył się z miejsca. Nikt nie śmiał się odezwać. Zamienili tylko pełne zakłopotania spojrzenia i z respektem spoglądali na Szymka. Ten uśmiechnął się do nich po swojemu.

— Nie patrzcie tak na mnie. Zaraz wam wszystko wytłumaczę.

Filipek tarł koniuszek okrągłego noska.

383

— Muka — powiedział zdławionym głosem. — Jeszcze nigdy nikt mnie tak nie nabrał.

— Zupełnie jak w kinie — wyrwał się nieoczekiwanie Julek Seratowicz.

Karioka uniosła dłoń do czoła, jakby się dopiero teraz obudziła.

— Nic z tego nie rozumiem. Skąd ten pomysł z Tolkiem Bananem, skąd ta akcja Kobra?

Szymek usiadł na stole i swoim zwyczajem chlasnął się w udo.

— O, właśnie. . . Akcja Kobra to nie bujda. Akcja Kobra trwa. Możecie o niej przeczytać w rozkazie żoliborskiego hufca harcerzy.

Filipek jęknął:

— W imię Ojca, to szef harcerz!

Szymek skinął głową.

— Tak, jestem drużynowym piętnastki. Ale proszę was, mówcie do mnie po imieniu.

Tak będzie lepiej.

Filipek złapał się za głowę.

384

— Niech mi bratki między palcami wyrosną. To chciałeś z nas zrobić drużynę harcerską?

— Nie — roześmiał się Szymek. — Chciałem, żebyście stali się zgraną, solidarną paką. I żebyście już nie byli gośćmi komisariatów. Pamiętacie nasze pierwsze spotkanie na Stadionie Dziesięciolecia?

— No, jasne! — zawołali jednocześnie.

— Przyznacie, że was solidnie замуrowało, gdy wam wygarnąłem, co o was wiem?

Filipek chrząknął znacząco.

— Ja myślałem, że masz zdolności telepatyczne.

Szymek przymrużył oko.

— A może? — ząrtował, ale wnet dorzucił poważnie: — Nie, nie jestem telepatą ani magikiem. A poznałem was dzięki akcji Kobra. Nie przerywajcie mi. Zaraz wam wytłumaczę. Akcja Kobra to akcja wakacyjna dla aktywu, który został w Warszawie.

Każdy z nas podjął zobowiązanie, że podczas wakacji zrobi coś pożytecznego. Ja miałem pomóc w Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami.

385

— Teraz już wszystko jasne! — zawołała Karioka. — Tam poznałeś panią Tułajową, a pani Tułajowa, oględnie mówiąc, opowiedziała ci o nas. . .

— Zgadza się — ciągnął Szymek. — Pani Tułajowa powiedziała mi wtedy: „Ty, Szymek, jesteś energiczny, powinieneś się zająć moimi utrapieniami”. Te „utrapienia” to niby wy. Znaście dobrze panią Tułajową. Nieraz wyciągała was z komisariatu.

— Tak — wtrącił mały Filipek. — Zawsze mówiła, że my jesteśmy niewinni, tylko środowisko.

Szymek pokiwał głową.

— Tak, tak. . . ale nie mogła sobie z wami poradzić. Wiem coś o waszych wycieczkach.

— No dobrze — przerwała mu Karioka — ale skąd wpadł ci pomysł, żeby udawać Toleka Banana?

— To przypadek. Zobaczyłem napisy w parku Skaryszewskim i pomyślałem sobie:

„Dobrze się składa. Któż może zaimponować im, jak nie Tolek Banan?” Powiedzcie tak szczerze, gdybym przyszedł do was i przedstawił się jako Szymek Krusz, czy chcieli-byście w ogóle ze mną rozmawiać?

386

— Wszystko zależy od podejścia — zaznaczył filozoficznie Filipek.

— O właśnie — podjął z humorem Szymek. — Miałem już do was podejście. Bo kiedy znalazłem się w niedzielę pod Klondike, widziałem, jak obrabialiście biednego Julka. . .

— To była świetna heca — wtrącił zuchowato Julek.

— Heca hecą, ale miałeś niewyraźną minę — żartował Szymek. — Potem przygotowałem list, który wywołał taką sensację. Wrzuciłem go w odpowiednim momencie.

Sami widzicie, że nazwisko Tolka Banana działało jak magiczne zaklęcie.

Filipek jęknął żałośnie.

— Aleśmy się dali nabrać.

— Nie przerywaj — upomniął go Szymek. — Był więc list. Było pierwsze spotkanie. Wiedziałem, że jeżeli mam być sławnym i tajemniczym Tolkiem Bananem, to muszę coś takiego wymyślić., żeby was wzięło. Pomogła mi przypadkiem pani Tułajowa. Kiedyś opowiedziała mi historię starego domu i pokazała zagadkowy list pana Mauera. List ten znalazła przypadkowo wśród szpargałów na korytarzu.

— Więc tajemniczy list Mauera był prawdziwy? — westchnął Julek.

387

— List był prawdziwy i wystarczająco tajemniczy, żeby wam zabić porządnego ćwieka. Sens jego jest właściwie prosty. Stary człowiek, który doznał w życiu wielu zawodów, rozgoryczony, rozczarowany, postanowił swój dom oddać komuś, komu sprawiłby on radość.

— A skarb? — wyrwał się Cygan.

Szymek wzruszył ramionami.

— Nie wiem, o jaki skarb chodziło zdziwaczemu staruszkowi. Może właśnie o ta-ki, jaki znaleźliśmy w tym domu: wspólny dach nad głową, koleżeństwo, przyjaźń.

— Metafora — wtrąciła Karioka, uśmiechając się przekornie. — Przenośnia poetyc-ka.

— Co ty wygadujesz, Karioka — odezwał się nagle Filipek. — Żadna metafora, tylko po prostu czarowanie. Piękna bajeczka o puszcze zakopanej pod samotną gruszą w zapomnianym ogrodzie. Dałaś się nabrać jak i my. Do tej pory czuję w krzyżach to kopanie.

Karioka spojrzała na swe delikatne dłonie.

— Jak te moje ręce jeszcze dziś wyglądają.

388

— Manicure, pedicure — zażartował Cygan. — Nic ci nie będzie. Przynajmniej raz fedrowałaś uczciwie.

— Nie gniewajcie się — podjął Szymek. — Pomysł z działką podsunęła mi pani Tułajowa. Jej znajomy, niejaki pan Eustachiewicz, od dwóch lat leżał chory i nie mógł pracować w swoim ogrodzie.

— Dziękuję pięknie — droczyła się żartobliwie Karioka. — A wielkie pranie i generalne porządki u pani Kokoszyńskiej?

— To zamiast porannej gimnastyki — zakpił Julek Seratowicz. — Nic nam się nie stało, a pani Kokoszyńska była wniebowzięta.

— Jezusie, jakie tam były brudy! — zawołał Cygan.

— Można powiedzieć: przedpotopowe — dodał mały Filipek. — Ar-che-o-lo-gi-

-czne. — Naraz zwrócił się do Szymka: — Ciekawe, co byś dla nas po tym wszystkim wykombinował?

Szymek rozłożył szeroko ręce.

389

— Nie martw się, miałem już cały plan dokładnie ułożony. Szukając skarbu Mauera nauczylibyście się niejednego. Stało się jednak inaczej. Nastąpił ten wypadek z Cegieł-

ką. Chciałem wam jeszcze raz podziękować. Okazaliście się dobrymi kolegami. . .

Julek Seratowicz zatarł dłonie.

— Pokazaliśmy, że nie można tak bezkarnie. . . — zająknął się, a potem dodał: —

Ale się Cegiełka ucieszy.

Karioka zadreptała w miejscu, jakby chciała zatańczyć.

— Robota była koronkowa, najlepsi detektywi nie wykonaliby jej lepiej.

— A wszystko dzięki pani Teci — wtrącił Julek. — Gdyby nie ona, długo byśmy szukali.

— O, właśnie! — zaperzył się Filipek. — A ja to się nie liczę? A kto odnalazł

skradzionego volkswagena?

— Myśmy już wcześniej byli na tropie! — zawołała Karioka. — Przecież ja o mały figiel dałabym wyrwać sobie zdrowy ząb.

— Muka — Filipek łypnął ponuro okrągłutkimi oczkami. — Beze mnie nie nakry-libyśmy tego gagatka.

390

— Czy to takie ważne? — zapytał Szymek. — Grunt, że dopięliśmy swego, a pan Ryszard Szamajski odpowie za dwa przestępstwa. — Naraz zsunął się ze stołu i stanął

między nimi. — A teraz, wiara, idziemy wszyscy do szpitala, do Cegielki.

ZAKOŃCZENIE

Minał miesiąc.

Nad Saską Kępą zapadał zmierzch. Ulica Dąbrówki tonęła w głębokim cieniu. Tylko szczyty topoli żarzyły się jak dogasające świece, a okna połyskiwały w refleksach zachodu.

Julek Seratowicz wbiegł zdyszany do kuchni.

— Pani Teci, jest mama?

— Nie — odparła gospoia. — Pani dzwoniła, że wróci późno, bo ma brydza u pani doktor Sekocińskiej. — Przyjrzała mu się uważnie. — A gdzieś ty był, Julek?

Chłopiec wydał lekko wargi.

— Przecież mówiłem pani Teci, że mam dyżur na rogu Nowego Światu i Alej. Peł-

nimy teraz służbę pomocniczą w Komendzie Ruchu. Pani Teci, żeby pani wiedziała, jaki kierowcy mają przede mną respekt! Zapisałem dwóch za nieprawidłowe mijanie 391

i trzech za to, że wjechali na skrzyżowanie przy czerwonych światłach. Jutro będę stał

na Pradze, przy Ząbkowskiej. Przepisy znam już na pamięć. Może pani powiedzieć, jaki jest dwudziesty trzeci paragraf Kodeksu Drogowego?

Gospoia machnęła ręką.

— A dajże mi spokój, przecież ja się na tym nie znam. Dawniej nie było żadnego kodeksu, a ludzie nie ginęli pod samochodami.

— Bo był mniejszy ruch — stwierdził fachowo. — W ogóle w sprawach motoryzacji jestem teraz pierwszorzędnym specem. Mogę zagiąć nawet Krzyśka Sekocińskiego, który wszystko wie.

Gospoia uniosła oczy do sufitu.

— Nie poznaję cię, Julek. Co się z tobą stało? Jesz za dziesięciu, wstajesz o świcie, nie grymasisz i nigdy się nie nudzisz.

Chłopiec chwycił ją za ręce i zakręcił dokoła siebie.

— Jestem głodny! I nie nudzę się!

— I nie musisz iść do psychiatry — dodała z przekąsem. — Chwała Bogu, zaoszczędziliśmy pięćset złotych. No jedz, na co czekasz?

Julek porwał z półmiska plaster cieleciny.

— Pierwszorządne żarcie! — Naraz przypomniał sobie coś. — Pani Teciū, był może Cegielka?

— Nie. Nie było go. A co, wyszedł już ze szpitala?

— To pani nie wie? Wczoraj go zwolnili.

— Biedaczysko, co się nacierpiał, to się nacierpiał. I za czyje winy?

— Zapomniałem pani powiedzieć, że pojutrze jest śledztwo w sprawie Szamajskiego. Dostaliśmy wezwanie na świadków.

— W imię Ojca — przeżegnała się gospoia. — To ty się będziesz włóczył po sądach?

— Nie tylko ja. Karioka i Filipek też dostali zawiadomienia.

— Ciekawa jestem, ile ten gagatek dostanie?

— Niech pani Teciā będzie spokojna, porządnie beknie. A najciekawsze, że ta cór-ka dentysty, panna Danka, też odpowiada, ale z wolnej stopy. Podobno pomagała mu w kradzieży volkswagena, wyniosła mu kluczyki od tego samochodu. ..

— Pomagała w kradzieży samochodu gościa, który przyjechał do nich na kawę?

Świat się kończy! To przecież nie do wiary.

— Nie do wiary, a jednak tak właśnie było. Gość popijał kawę, a ona wyciągnęła mu kluczyki z kieszeni płaszcza i zaniósła je temu Szamajskiemu. Podobno mieli opylić samochód i prysnąć z Warszawy. Jak w kinie, pani Teciū.

Gospoia wyrwało się żalosne westchnienie:

— Do czego to wszystko doprowadzi?

— Nie mam pojęcia. Dowiemy się pojutrze na rozprawie.

W tym momencie za oknem rozległ się znajomy gwizd.

Julek rzucił się do drzwi.

— Cegielka! Cegielka! — zawołał radośnie.

Za ogrodzeniem stał Cegiełka. Wspierał się na kulak i nogę miał jeszcze w gipsie.

Wysunął ją lekko do przodu opierając piętą o płytę chodnika.

— Cześć, Julek! Chodź na chwilę! — zawołał przez sztachety.

Julek stał w miejscu obezwładniony nagłym przyływem radości. Oto jego najlepszy kolega. . . Nic się nie zmienił. Ta sama koszula w kratę, te same wyszarzałe spodnie, 394

a na zdrowej nodze jedna rozczłapana tenisówka. I tak samo patrzy po swojemu: trochę nieufnie, a trochę zaczepnie.

Uścisnęli sobie dłonie, krótko, twardo, jak mężczyźni.

— Wstąp do mnie — powiedział Julek.

— Człowieku, nie mam czasu.

— Ty zawsze nie masz czasu. Jak się czujesz? Jak noga?

— Noga w porządku. Doktor powiedział, że mi za jednym zamachem zoperowali kolano. Po zdjęciu gipsu będę mógł je zginać. Wdechowo, co?

— Fantastycznie. Bardzo się cieszę. I w ogóle. . . co nowego?

— A nic. Wszystko w porządku. Tylko jedna znajoma z Pelcowizny powiedziała mamie, że na pijaństwo najlepszy proszek ze zdechłej myszy. Sypie się to świństwo do jedzenia. . . — utknął w połowie zdania, wruszył ramionami i dodał z uśmiechem: —

Ale mojemu staremu nawet proszek ze zdechłej myszy nie pomoże. Ciągnie jak gąbka.

— Można spróbować — powiedział Julek bez przekonania.

— Pewno, że można, tylko jak się stary dowie, to nie daj Boże.

Julek uścisnął mocno jego ramię.

395

— Możesz na mnie liczyć, Cegiełka.

Chłopiec łypnął złotawymi oczami.

— Na ciebie i na całą pakę. Byłem u Szymka. . .

— I co?

— W porządku. Załatwił mi już miejsce u Kasprzaka. Będę się uczył i pracował.

Przy radioaparatach, człowieku. A co u ciebie? Byłeś już z Karioką w kinie?

— Jeszcze nie.

— Ofiara. Na co czekasz?

— Już raz miałem z nią iść, ale tak jakoś wypadło. . . — zająknął się i pomyślał, że nie warto opowiadać o tym zdarzeniu. Ujął kolegę pod ramię. — Chodź na chwilę do mnie, to pogadamy.

— Człowieku, mówię ci, że nie mam czasu. Muszę walić po metrykę i inne papierki potrzebne do podania. — Naraz szarpnął Julka za rękaw. — Ty, słuchaj, Szymek kazał

ci powiedzieć, że jutro o siedemnastej zbiórka „Pod Dębem”. Masz zawiadomić Filipka i Kariokę. Cygana biorę na siebie. Podobno zaczynamy nową akcję.

— Jaką?

396

— Nie mam pojęcia, ale nie martw się. Szymek ma głowę na karku. — Naraz syknął z przejęciem, jakby sobie przypomniał coś niezwykle ważnego: — Czytałeś „Express”?

— Nie. A co się stało?

— To przeczytaj — wyciągnął zza koszuli zmiętą gazetę. — O, tu, na pierwszej stronie.

Julek wyszarpnął mu z rąk gazetę.

Najpierw w zamęcie liter mignęło mu nazwisko Tolka Banana, po chwili przeczytał

już spokojniej wielki nagłówek:

TOLEK BANAN

ZGŁOSIŁ SIĘ DOBROWOLNIE

NA POSTERUNEK MILICJI

Nieoczekiwany koniec historii

Tolka Banana

— To sensacja — wyszeptał.

— Czytaj dalej — przynaglał go Cegiełka. Mówię ci, prawdziwa bomba.

397

Julkowi litery tańczyły przed oczyma. Wkrótce jednak opanował się.

Czytał głośno:

Wczoraj w godzinach popołudniowych na

posterunek w Otwocku pod Warszawą

zgłosił się dobrowolnie Tolek Banan. . .











Julek zająknął się. Głos uwiązł mu w gardle. Posłał Cegiełce pełne zdumienia spojrzenie.

— Co o tym myślisz?

— No, co? — uśmiechnął się Cegiełka. — Ma chłopak honor i ambicję. Sam się zgłosił. . . z fasonem. Jedno ci mogę powiedzieć, jak było, tak było, ale my nigdy o nim nie zapomnimy.

Wolsztyn, czerwiec 1966

Document Outline

-  
- 
- 
- 
- 
- 
- 
- 
- 
- 